

**Barbara Cartland**

**Magia miłości**

**The magic of love**



## OD AUTORKI

Opisałam w tej książce piękną tajemniczą wyspę kwiatów - Martynikę.

Byłam na Martynice z synem w 1976 roku. Zatrzymaliśmy się w Leyritz, miejscu, które tutaj nazwałam Vesonne - des - Arbres. Osiemnastowieczny pałacyk tej niegdysiejszej plantacji został w ciągu ostatnich pięciu lat odrestaurowany, a następnie przekształcony w hotel przez mądrą i atrakcyjną madame Yveline de Lucy de Fossarieu.

Baraki niewolników odbudowano jako wiejskie chaty i urządzono w nich pokoje dla gości. W dawnym młynie była teraz piękna sala jadalna. Zakątek ten określany jest słusznie mianem Shangrila. Nic dziwnego, że gdy prezydent Francji, Valery Giscard d'Estaing, chciał ugościć prezydenta USA, Geralda Forda, na francuskiej ziemi, zaprosił go na Martynikę i podejmował obiadem właśnie w Leyritz.

Podczas mojego pobytu na wyspie w pięknym salonie pałacyku zorganizowano wystawę lalek wykonanych z liści. Przedstawiały one wiele sławnych postaci, począwszy od królowej Elżbiety I aż po Josephine Baker. Twórcą tych figurek był młody ciemnoskóry menedżer.

Miasto Saint - Pierre, nazywane także Paryżem Indii Zachodnich, uległo zagładzie w 1902 roku. podczas erupcji wulkanu Pelee. W ciągu trzech minut zginęło wówczas trzydzieści tysięcy ludzi. Miasto częściowo odbudowano, ale rolę, jaką odgrywało zarówno w gospodarczym, jak i w kulturalnym życiu wyspy, przejął Fort - de - France.

Martynika jest dla mnie jednym z najbardziej fascynujących zakątków świata.

## ROZDZIAŁ 1

1842

Statek powoli wpływał do portu. Melita stojąc na pokładzie z zachwytem przyglądała się wyspie.

Wiedziała, że Martynika jest piękna, ale widok, który miała przed oczyma, przerastał wszelkie oczekiwania. Czegoś tak cudownego jak to wybrzeże jeszcze nie widziała.

Saint - Pierre, miasto pobudowane na zboczu wzgórza, tuż za łagodną krzywizną plaży, odcinało się zielonością roślin od żywego błękitu nieba.

Po lewej stronie wznosiła się Montagne Pelee, czyli Łysa Góra. Melita czytała gdzieś, że nazwano ją tak z powodu pozbawionego wszelkiej roślinności pasa nagich skał w pobliżu wierzchołka. Na przekór tej mało romantycznej nazwie większą część góry porastały drzewa, które Melita od dawna już chciała zobaczyć: mahoniowce, kauczukowce, ogromne puchowce, a także bananowce, mango i palmy kokosowe.

Podczas długiej podróży z Anglii marynarze raczyli Melitę opowiadaniem o urodzie wyspy i o porastających tę ziemię tajemniczych lasach równikowych. Teraz wreszcie mogła nasycić oczy widokiem Saint - Pierre.

Kiedy tak stała, przyglądając się białym domom krytym czerwonymi dachami i dwóm bliźniaczym strzelistym wieżom, które zapewne stanowiły zwieńczenie katedry, podszedł do niej kapitan.

- Nazywają to miasto Paryżem Indii Zachodnich - powiedział.

- Jest takie piękne!

- A jakie wesołe! - Roześmiał się i odszedł. Oto kończyła się przedziwna, chwilami zatrważająca

podróż. Melita była pewna, że nigdy nie zapomni względów, jakie okazywali jej marynarze i pasażerowie.

Z początku była zbyt przygnębiona myślą, że opuszcza Anglię i zbyt przerażona tym, co niosła ze sobą przyszłość, by zwracać uwagę na innych podróżnych.

Nie wychodziła ze swojej kabiny, czuła się bezradna i przytłoczona niespodziewaną zmianą, jaka zaszła w jej życiu.

Wreszcie, dzięki energii właściwej młodości, otrząsnęła się z przygnębienia. Zrozumiała, że musi pogodzić się z losem i że nie można uniknąć przeznaczenia.

Wówczas wyszła na pokład i wystawiła twarz na ostre poddmuchy grudniowego wiatru. Przekonała się, że życzliwość współpasażerów budzi w niej nową nadzieję.

Podczas tej długiej podróży poznała także inny rodzaj strachu, gdy w drodze przez Atlantyk napotkali sztorm. Wichry i potężne fale miały statkiem jak łupinką orzecha. Było to zjawisko tak przerażające, że Melita - jak większość pasażerów - myślała, iż nadeszła ich ostatnia godzina.

A jednak - dzięki prawdziwie mistrzowskiej nawigacji kapitana i odwadze załogi - przeżyli i wpłynęli na wody tropikalne. Słońce, szmaragdowy błękit morza i jasne niebo zatarły wspomnienie strasznej przygody.

Teraz Melita ponownie czuła lęk - bała się tego, co czekało ją na Martynice, bała się przede wszystkim swoich nieznanymi pracodawców. Samo słowo „pracodawca” wywoływało w głębi jej piersi niespokojne drżenie.

Jak to jest, kiedy się dla kogoś pracuje? Gdy trzeba wypełniać czyjeś polecenia i stosować się do nakazów, wiedząc, że nie wolno się ośmielić ich nie wykonać lub choćby sprzeciwić?

Przez chwilę wydawało jej się, że słońce świecące nad miastem straciło swój blask, zapragnęła uciec przed tym, co ją czekało.

Ale dokąd mogłaby uciec?

Wiedziała, że nie uniknie swego przeznaczenia.

Z ledwością mogła uwierzyć, że od pierwszych dni grudnia w jej życiu zaszła aż tak wielka zmiana.

To właśnie wówczas macocha wyjawiała jej swoje zamysły.

- Melito, chcę z tobą pomówić - oznajmiła, a dziewczyna, słysząc twarde tony w jej głosie, instynktownie odgadła, że ta rozmowa nie będzie miła.

W bardzo krótkim czasie po powtórnym ślubie ojca Melita zdała sobie sprawę, że jej życie nie będzie łatwe. Pomiedzy nią a tą dziwną kobietą, która próbowała zająć miejsce jej matki, od pierwszej chwili pojawiła się antypatia.

Melita odczuła to od razu, gdy nowa lady Cranleigh, wysoka, tęga i tak wyniosła w porównaniu z matką dziewczyny - drobną, kruchą istotą o anielskiej twarzy - zaczęła się panoszyć w ich domu w Eaton Place.

Już pierwsze spotkanie pozostawiło po sobie niemiłe wrażenie.

- Więc to jest Melita! - Uwłaczające tony w głosie macochy aż nazbyt wyraźnie powiedziały dziewczynie, że nowa lady Cranleigh nie jest zachwycona jej osobą.

- Córeczko - odezwał się ojciec - dostałaś mój list?

- Tak, tatusiu, dostałam. Pisałeś, że zamierzasz się ożenić. Życzę wam wiele szczęścia.

- Jestem pewien, iż będziemy bardzo szczęśliwi - odparł trochę niezręcznie ojciec.

Melita wyczuła, że jest skrupowany i nie chce rozmawiać o swoim nowym związku. Jak zawsze wrażliwa na nastroje ojca, natychmiast zmieniła temat:

- W gabinecie podano kanapki i napoje. Pomyślałam, że nie będziecie mieli ochoty na obfity posiłek półtorej godziny przed obiadem.

- Mam zamiar wziąć kąpiel i potrzebny mi ktoś do rozpakowania bagaży. - Kobieta, która od niedawna nazywała

się lady Cranleigh, mówiła tonem niemal agresywnym, jak gdyby podejrzewała, że może pozostać nie zauważona.

- Na górze czeka pokojówka - wyjaśniła Melita - a lokaje już wnoszą kufry.

- Sama tego dopilnuję.

- To niepotrzebne, naprawdę - zaproponowała Melita i zanim jeszcze skończyła mówić, zdała sobie sprawę, że popełniła błąd.

Macocha nie miała zamiaru pozwolić jej, dziecku zaledwie siedemnastoletniemu, na zarządzanie domem. W ciągu kilku następnych dni nie pozostawiła co do tego najmniejszych wątpliwości.

Melita, będąc sam na sam z ojcem, nieraz chciała go zapytać, dlaczego ożenił się ponownie i dlaczego wybrał tę bezwzględną, apodyktyczną kobietę, tak całkowicie różną od jej matki.

Ale właściwie nie musiała pytać.

Bardzo szybko zorientowała się, że macocha jest bogata, a na dodatek skoligacona z kilkoma wpływowymi osobistościami, w tym także z samym ministrem spraw zagranicznych.

Już dawno zdała sobie sprawę z tego, że ojciec jest człowiekiem ambitnym, lecz dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak daleko mogła go zaprowadzić własna ambicja. Jednocześnie była całkowicie pewna, iż tym razem sam stał się ofiarą. Po raz pierwszy w życiu był raczej zwierzyną aniżeli myśliwym.

- Postaram się dostrzec jakieś dobre strony tej sytuacji. Muszę się dostosować - postanowiła z westchnieniem.

Ani Melita, ani jej ojciec, ani lady Cranleigh - żadne z nich nie przypuszczało wówczas, jak niewiele pozostało im czasu, by dostosować się do sytuacji, w której się znaleźli.

W rok po ponownym ożenku sir Edward zmarł.

Dla Melity był to wstrząs tak wielki, że nawet po odprowadzeniu trumny do grobu nie mogła uwierzyć w śmierć ojca. Wracając do domu podświadomie oczekiwała, że usłyszy jego głos. Wiele razy chodziła nocą do sypialni ojca, prześladowana upartą myślą, że wszystko, co się zdarzyło, było koszmarnym snem i sir Edward jest w swoim pokoju - jak zawsze.

Jeśli chodzi o lady Cranleigh, odzianą w żałobną czerń w rok zaledwie po dniu wesela, to - zgodnie z jej własnymi słowami - owo tragiczne wydarzenie nie zdołało w niej złamać hartu ducha.

Otoczyła się kręgiem przyjaciół skłonnych nieść jej ukojenie w żalu, a fakt, że w czerni wyglądała szczególnie atrakcyjnie, był z pewnością niejakim pocieszeniem w długich miesiącach żałoby.

Dla Melity życie straciło sens.

Po śmierci matki była przekonana, że nie może jej spotkać już nic gorszego, lecz gdy odszedł ojciec, poczuła, iż ziemia usuwa jej się spod stóp.

Do tej pory byli zawsze razem. Gdziekolwiek sir Edwarda zawiodła kariera dyplomaty, Melita podążała wraz z nim, a on, nawet gdy był bardzo zajęty, dla niej zawsze znajdował czas.

Jakiż ból sprawiało teraz wspomnienie radosnego pobytu w Wiedniu czy w Italii, gdzie ojciec cierpliwie opowiadał jej dzieje wspaniałych gmachów i pomników. Był nie tylko wybitnym dyplomata, lecz również tak znakomitym erudyta, że potrafił tchnąć życie w opowieści o dawnych czasach. Kiedy go zabrakło, Melita szukała pocieszenia w książkach zgromadzonych w jego gabinecie. Wyobrażała sobie, że sir Edward objaśnia jej ich treść, tak jak to robił za życia.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że zamiłowanie do książek i to, że w nich znajdowała pociechę, nasunęło macosze myśl, jak zaplanować jej przyszłość.

Melita była zbyt nieszczęśliwa i przygnębiona, by brać udział w proszonych herbatkach, które lady Cranleigh - pogrążona w żałobie - organizowała w każdy czwartek. Prawdę mówiąc, nieczęsto ją zapraszano na te skromne, lecz wesołe przyjęcia, jakie wdowa mogła wydawać bez obrazy moralności.

Pewnego grudniowego ranka, gdy niebo było szare, a po wszystkich pokojach Eaton Place hulały zimne przeciągi, macocha oznajmiła Melicie wiadomość, która spadła na dziewczynę jak grom z jasnego nieba.

- Zastanawiałam się nad twoją przyszłością, Melito - zaczęła lady Cranleigh, a spojrzenie, które spoczęło na twarzy pasierbicy, ponad wszelką wątpliwość było niezycliwe.

Melita знаła źródło tego uczucia. Bez odrobiny próżności zdawała sobie sprawę, że w ciągu minionych dwóch lat wyrosła na piękną dziewczynę.

Jej włosy, jasne jak włosy matki, promieniały blaskiem wiosennego słońca, a ciemnoniebieskie oczy wydawały się ogromne w niewielkiej twarzyczce o białej, delikatnej cerze, zaróżowionej jak drezdeńska porcelana. Była drobna, szczupła i poruszała się z gracją, której mogłaby jej pozazdrościć primabalerina.

- Dziękuję Bogu za twój taneczny wdzięk - powiedział kiedyś sir Edward. - Nie mogę patrzeć na kobiety, które siedzą jakby kij połknęły, a podnoszą się z krzesła jak sztywne manekiny.

Wówczas Melita się roześmiała, ale wiedziała doskonale, co ojciec miał na myśli. Jej matka idąc zdawała się unosić nad podłogą lekka jak piórko i Melita zawsze miała nadzieję, że kiedyś będzie w tym do niej podobna.



I rzeczywiście, stanowiła całkowite przeciwieństwo swojej macochy - ciężko zbudowanej kobiety, po której należało się spodziewać, że z biegiem czasu jeszcze bardziej utyje.

- Nad moją przyszłością? - zdziwiła się Melita.

- Tak, właśnie - przytaknęła lady Cranleigh. - Nie wiem, czy ty już o niej myślałaś.

- Ja... chyba... nie rozumiem...

Melita zdawała sobie sprawę, że nie ma wielkiego wyboru. Musiała nadal mieszkać z macochą, a podczas zbliżającego się karnawału powinna - później o rok ze względu na żałobę - zostać wprowadzona do towarzystwa. -

Zgodnie ze starym obyczajem miała być przedstawiona królowej w pałacu Buckingham, a następnie uczestniczyć w licznych balach i spotkaniach, które tylu już innym debiutantkom pozwoliły rozpocząć życie towarzyskie.

- Będę z tobą zupełnie szczerą - oznajmiła lady Cranleigh.

- Na początek chcę ci uświadomić, że nie mam zamiaru zbyt długo odgrywać roli majątnej wdowy i opiekunki młodej panny.

Melita patrzyła na macochę szeroko otwartymi oczyma.

- Ale... nie mam nikogo innego, z kim mogłabym zacząć bywać na przyjęciach - odezwała się po chwili. - Tatuś mówił, że spośród jego krewnych niemal wszyscy już zmarli, a mama pochodziła przecież aż z hrabstwa Northumberland.

- Obawiam się, że nawet gdybyś znalazła krewnego, który byłby skłonny wprowadzić cię do towarzystwa, niełatwo by ci było wydać się za męża, jako że nie masz posagu.

- Nie mam... posagu?

- Zapoznałam się ze stanem finansów twojego ojca - wyjaśniła lady Cranleigh. - Okazało się, że po spłaceniu wszystkich długów i zastawu pod hipotekę domu nic dla ciebie nie zostało.

Melita przycisnęła dłonie do piersi.

Kiedy po śmierci matki zajęła się finansami Eaton Place, pojęła, że utrzymanie tego domu jest dla nich stanowczo zbyt kosztowne; jednak ojciec nie chciał słuchać żadnych przestroż. Nie przyjmował jej sugestii, by się przeprowadzić do mniejszego domu, i tak żyli z dnia na dzień, ciągle mając nadzieję na odmianę losu, na to, iż kiedyś znów staną się wypłacalni.

Teraz pojęła aż nazbyt jasno, że ojciec żył w świecie złudzeń.

Sir Edward nie miał żadnej szansy na uzyskanie sumy potrzebnej do spłacenia stale rosnących długów, poza jedną: mógł się ożenić z majątną kobietą.

Zrobił to i w ostatnim roku swego życia był z pewnością bardzo bogaty.

Melita dopiero teraz, spoglądając wstecz, zdała sobie sprawę, w jakim przepychu żyli przez ten rok.

Ojciec obdarowywał ją wytwornymi, kosztownymi prezentami, wydawał bająnskie sumy na nowe stroje dla ukochanej córki i kupował jej konie pod siodło.

Teraz Melita z przykrością uświadomiła sobie coś, czego nie rozumiała wcześniej - za wszystkie te prezenty ojciec płacił pieniędzmi macochy.

Lady Cranleigh śledziła uczucia odbijające się na twarzy dziewczyny.

- Widzę, że pojęłaś wszystko - odezwała się wreszcie. - Kiedy twój ojciec żył, byłam przygotowana na utrzymywanie jego córki, jednak w obecnej sytuacji nie zamierzam tego kontynuować.

Rysy jej twarzy stężały.

- Co więcej - dodała - powiem otwarcie iż nie życzę sobie, byś mieszkała ze mną w tym domu.

- Jak to... co więc mam robić? - spytała Melita bezradnie.

- Właśnie zamierzam ci to wyjaśnić. I szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, byś miała inne wyjście, niż skorzystać z mojej propozycji.

Melita czekała zalekniona. Wydawało się jej, choć nie miała pewności, że lady Cranleigh była jakby nieco skrepowana tym, co miała zamiar powiedzieć.

Niemniej musiała to kiedyś zrobić.

- Trzy miesiące przed śmiercią twojego ojca - zaczęła - spotkaliśmy w Paryżu czarującego człowieka, hrabiego de Vesonne. Opowiadał mi o swojej małej córeczce, do której jest, zdaje się, bardzo przywiązany. Rozmawiał o niej także z twoim ojcem i obaj się zgodzili, że najważniejsze w edukacji młodego dziewczęcia jest nabycie umiejętności posługiwania się różnymi językami. Hrabia wyjeżdżając zwrócił się do mnie z pewną prośbą: „Kiedy Rose - Marie będzie już nieco starsza - powiedział - ośmielę się prosić panią, madame, o pomoc w znalezieniu dla niej angielskiej guwernantki. Chciałbym, aby moja córka mówiła po angielsku równie dobrze jak po francusku, a gdy będzie starsza, zamierzam dodać do programu jej edukacji naukę jeszcze innych języków.”

Lady Cranleigh przerwała.

- Melito, zaczynasz się chyba domyślać, jakie mam w stosunku do ciebie plany?

Melita nie była w stanie się odezwać.

- W sierpniu napisałam do hrabiego de Vesonne - ciągnęła lady Cranleigh - i zawiadomiłam go, że znalazłam wyśmienitą moim zdaniem guwernantkę dla jego córki. Dwa dni temu otrzymałam odpowiedź. Hrabia prosi, abym możliwie jak najszybciej wysłała guwernantkę do Saint - Pierre na Martynice!

- Na... na Martynice? - wykrztusiła dziewczyna wstrząśnięta. - To znaczy... że mam jechać tam sama i zamieszkać u... zupełnie obcych ludzi?

- Och, na miłość boską - zachnęła się lady Cranleigh - kiedyś przecież musisz zacząć samodzielne życie!

- Ale... ale to jest bardzo daleko... - próbowała oponować Melita.

- Tak się składa - lady Cranleigh wzruszyła ramionami - że to akurat jest dokładnie po mojej myśli. Nie życzę sobie, by ludzie wzięli mnie na języki, bo kazałam ci zarabiać na swoje utrzymanie, a jestem pewna, że znaleźliby się i tacy, którzy z zazdrości mogliby sugerować, iż moją powinnością było zająć się twoim wychowaniem i wyszukać ci odpowiedniego męża. Ale ja jestem na to za młoda, Melito. O wiele za młoda!

Lady Cranleigh miała co najmniej trzydzieści pięć lat. Melita od kilku miesięcy odnosiła niejasne wrażenie, że macocha postanowiła jeszcze raz wydać się za męża. To było oczywiste, że nie życzy sobie przeszkody czy wręcz konkurencji w osobie młodszej kobiety.

Melita wstała i poczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju jadalnym.

- Musi... musi być jakieś inne wyjście...

- Jeżeli wolisz dać się pogrzebać za życia, możesz wstąpić do klasztoru. Z całą pewnością nie będę cię powstrzymywała.

- Nie... nie mogłabym... Ale... Martynika? Przecież to na końcu świata! - Ujrzawszy wyraz twarzy macochy, zrozumiała, że odgadła najważniejszy powód, dla którego lady Cranleigh obmyśliła ten plan. - Nigdy... nigdy nikogo nie uczyłam... Nie wiem, czy potrafię to robić.

- Twoja uczennica to jeszcze dziecko. A poza tym biorąc pod uwagę fakt, że tak dużo czytasz oraz to, ile pieniędzy wyłożył ojciec na twoją edukację i ile jej poświęcił starań, powinnaś umieć wystarczająco wiele, by móc podzielić się swoją wiedzą z jakąś małą i jak się wydaje niespecjalnie inteligentną Kreolką.

- A jeśli się nie spodobam hrabiemu i hrabinie? Co się wtedy ze mną stanie?

- Lepiej zrób wszystko co w twojej mocy, żeby chcieli cię zatrzymać - poradziła lady Cranleigh - bo w przeciwnym wypadku będziesz musiała wplaw przepłynąć ocean, żeby wrócić do Anglii. - Podniosła się i zmierzyła Melitę jawnie wrogim spojrzeniem. - Odpowiedziałam już na list hrabiego. Napisałam, że przybędziesz statkiem, który odpływa z Southampton za dwa tygodnie. Pokryję koszty twojej podróży na Martynikę i dam ci sto funtów. To znacznie więcej, niż pozostało ci ze spadku po twoim ojcu, więc powinnaś być wdzięczna, że daję ci te pieniądze!

- A co będzie, kiedy je już... wydam? - Melita podniosła na macochę oczy. Wzrokiem błagała o litość.

W tej samej chwili nieśmiały promyk zimowego słońca wślizgnął się przez okno i rozświetlił jasne włosy dziewczyny na kształt złocistego nimbu. Wyglądała tak uroczo, że aż zdawała się nierzeczywista.

- Zdziwiłabyś się gdybyś wiedziała, jak niewiele mnie to obchodzi! - rzuciła lady Cranleigh i opuściła jadalnię, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

\*

Do dnia wyjazdu Melita żyła jak w przerażającym koszmarze sennym, z którego nie mogła się obudzić.

Dogłądała pakowania kufrów. Zabierała nie tylko drogie sercu osobiste drobiazgi, lecz także wszystko, co mogła wziąć, spośród przedmiotów należących niegdyś do matki. I cały czas miała uczucie, że to, co się dzieje, nie dzieje się naprawdę.

Nie mogła uwierzyć, że być może już nigdy nie wróci do Anglii. Oczyma wyobraźni widziała, jak nie sprostała roli guwernantki, jak straciła pracę, a sto funtów stopniało w mgnieniu oka, zanim znalazła inne zatrudnienie.

„Będę głodowała” - pomyślała przerażona.

Z uczuciem pewnej ulgi przypomniała sobie o oceanie, którego wody otaczały wyspę. Nietrudno byłoby umrzeć, bo śmierć połączyłaby ją z matką i z ojcem. Wreszcie nie byłaby samotna na tym wrogim świecie, gdzie nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc.

Zastanawiała się, czy nie powinna odszukać krewnych, jakich z pewnością miała w hrabstwie Northumberland. Szybko jednak zrezygnowała z tych zamierzeń, wiedząc, że taka daleka uboga krewna jest dla rodziny prawdziwą kulą u nogi.

A tak naprawdę nie miała czasu właściwie na nic poza wypełnieniem poleceń macochy - spakowaniem waliz i podróżą do Southampton.

Zupełnie niespodziewanie uświadomiła sobie, że ma całkowitą pustkę w głowie, że nie jest w stanie nikogo, nawet małego dziecka, czegokolwiek nauczyć. Zapakowała więc także mnóstwo książek. Miała przy tym nadzieję, że właśnie one pozwolą jej, nawet w dalekim Nowym Świecie, przywołać wspomnienie chwil spędzonych z ojcem.

Przeglądając zniszczone karty jeszcze dotkliwiej odczuwała samotność i nieprzychylność losu. Stronice, nad którymi tak często się razem pochylali, wyciskały jej z oczu łzy.

Słyszała dźwięczny głos ojca deklamującego wiersze, które jej sprawiały tyle samo radości co jemu - wiedział o tym, bo wiedzieli o sobie wszystko.

- Och, tatusiu, tatusiu... - załkała.

Wiedziała, że nie ma wyboru, że musi się podporządkować woli macochy.

Ciągle miała nadzieję, iż zdarzy się jakiś cud, a kiedy nadeszła ta nieunikniona chwila i statek wypłynął z przystani w Southampton, łzy przesłoniły jej oczy i nie mogła nawet rzucić ostatniego spojrzenia na ojczystą ziemię.

Nie zobaczyłaby wiele, bo ołowiane morze i niebo zasłonięte chmurami skryła szara mżawka.

Teraz statek dopływał do Martyniki. Wspaniałe fale uderzające o piaszczysty brzeg miały kolor oczu Melity, a tak błękitnego nieba dziewczyna nie widziała jeszcze nigdy w życiu.

Podczas gdy statek wolno zbliżał się do długiego nabrzeża, Melita oglądała niezliczone małe łódki - niektóre z postawionymi na wietrze żaglami, inne przycumowane do boi. Przy brzegu stało zakotwiczonych wiele trzymasztowych szkunerów. Na masztach trzepotały flagi i proporce, nadając przystani odświętny wygląd, który sprawiał, że Saint - Pierre wydawało się en fete.

- Paryż Indii Zachodnich - powtórzyła Melita cicho i zdała sobie sprawę, że uroda tego miasta dla niej nie ma żadnego znaczenia.

Z listu hrabiego do lady Cranleigh dowiedziała się, iż dom, a raczej chateau, do którego miała się udać, nie znajdował się w samym Saint - Pierre, lecz poza granicami miasta.

Osobiście wyjdę na spotkanie młodej osoby, którą Pani do nas posyła - pisał hrabia stylem zdradzającym ogładę i elegancję - i zapewniam Panią, że zrobimy wszystko co w naszej mocy, by mogła się u nas czuć jak w domu.

„Jak w domu!” - pomyślała Melita z rozpaczą. Czy mogła czuć się jak w domu - pomiędzy obcymi i na obcej ziemi?

A jednak Martynika, choć obca, równocześnie była niezaprzeczalnie piękna.

Mimo gorączkowych przygotowań do opuszczenia Londynu Melita znalazła czas, by odwiedzić bibliotekę Moody'ego na Mount Street i poprosić o jakieś książki o tej wyspie.

Bibliotekarz, który wiele już razy pomagał jej i ojcu wyszukiwać książki, jakie ich interesowały, tym razem szperał bardzo długo, a mimo to nie mógł dziewczynie zaproponować nic szczególnie pomocnego.

W encyklopedii znajdowało się zaledwie kilka akapitów i mapa, która - jak bibliotekarz sam przyznał - nie wyglądała na specjalnie dokładną. Melita odnalazła na niej zaznaczone dosyć wyraźnie miasto Saint - Pierre, a nieco dalej na północ wulkan Montagne Pelee. Bardziej na południe było jeszcze jedno miasto - miało ono przystań i nosiło nazwę Fort - de - France.

Historia Martyniki przedstawiona była krótko i rzeczowo: w 1502 roku odkrył ją Krzysztof Kolumb, który natknąwszy się na nieprzyjaźnie nastawionych tubylców, zwanych Karaibami, szybko opuścił wyspę. Znacznie później Martynika została skolonizowana przez Francję, a następnie władanie nad nią zdobywały i przejmowały inne mocarstwa, w tym także Anglia. W końcu wyspa wróciła pod panowanie Francji i pozostała terytorium francuskim.

Melita odwiedziła kiedyś z ojcem Paryż, ale sir Edward nigdy we Francji nie pracował, więc nie bawili tam długo. Teraz żałowała, że tak niewiele wie o Francuzach.

Wydawali się czarujący i ujmująco grzeczni, lecz przecież kiedy ich poznała, była jeszcze dzieckiem, a przy tym stykała się wyłącznie z osobami z kręgów dyplomatycznych.

Co wiedziała o zwykłych ludziach? Miała wrażenie, że różnią się od Anglików pod każdym względem. Poza tym oba ich kraje - Anglia i Francja - były sobie wrogie i na przestrzeni wieków często ze sobą walczyły.

„A jeżeli poczują do mnie niechęć po prostu dlatego, że jestem Angielką?” - zastanawiała się Melita lękliwie.

Statek podpływał coraz bliżej nabrzeża, a Melita była zdenerwowana jak jeszcze nigdy.



Zeszła do swojej kabiny pod pokładem i narzuciła na ramiona pelerynkę z jedwabnej tafty, uszytą zgodnie z wymogami najnowszej mody.

Jeszcze w Londynie zdecydowała, że nie będzie wyglądać jak załamana i godna litości guwernantka, całkowicie zależna od fanaberii swoich pracodawców.

Sprzedła maleńki diamentowy pierścionek, należący kiedyś do matki, i uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczyła na nowe ubrania.

Kiedy macocha się o tym dowiedziała, wzruszyła pogardliwie ramionami i oznajmiła zjadliwie:

- Jeśli masz ochotę trwonić ostatnie grosze na kolorowe szmatki, nie będę ci w tym przeszkadzała. Ale nie prosz mnie o więcej pieniędzy, bo nie mam zamiaru ci ich dawać!

Melita nic nie odpowiedziała, ale pomyślała, że wolałaby raczej umrzeć, niż poprosić macochę o cokolwiek.

W ciągu ostatniego roku, będąc w żałobie, nosiła jedynie czarne sukienki, a te, które miała przedtem, były już za małe i zupełnie nie nadawały się dla guwernantki.

Wiedziała też, że na Martynice panuje tropikalny klimat, więc kupiła całe metry woalu i muślinu, by w czasie długiej podróży uszyć sobie lekkie sukienki.

Ojciec Melity przykładał dużą wagę do wiedzy zaczerpniętej z książek, ale matka, mistrzyni igły, nauczyła córkę szyć.

- Każda kobieta powinna umieć posługiwać się igłą - powiedziała kiedyś. - Być może sama się przekonasz, kochanie, że taka umiejętność bywa niekiedy przydatna.

Tamtego dnia Melita nie do końca zrozumiała jej słowa, dopiero teraz dziwiła się, jakim sposobem matka odgadła, że nadejdzie taka chwila, kiedy córce bardzo się przyda ta kobieca umiejętność.

Pelerynka z jedwabnej tafty nie była tania, dobrany do niej czepeczek ozdobiony miękką koronką także kosztował немало, lecz Melicie było w nim wyjątkowo do twarzy. Zawiązała pod brodą błękitne wstążki i wyszła na pokład trzymając w dłoniach torebkę z pieniędzmi i biżuterią. Mimo że serce trzepotało się w jej złkniętej piersi, mimo że czuła się przerażona i zagubiona, była świadoma swego wyglądu prawdziwie eleganckiej młodej damy.

Podeszła do relingu, by wśród ludzi stłoczonych na nabrzeżu i na molo odnaleźć swego przyszłego pracodawcę.

Zanim wyruszyła w podróż, poprosiła macochę, by opisała jej hrabiego, lecz lady Cranleigh nie wdawała się zbytnio w szczegóły.

- To mężczyzna o dosyć miłej powierzchowności, mniej więcej tak wysoki jak twój ojciec - odparła lakonicznie. - Nie mogę powiedzieć ci o nim nic więcej. Wszyscy Francuzi wydają mi się jednakowi.

- Czy ma więcej dzieci czy tylko tę dziewczynkę, którą będę uczyć?

- Doprawdy nie mam pojęcia. Nie byłam wówczas specjalnie zainteresowana jego osobą. Dopiero po śmierci twojego ojca pomyślałam, że mógłby się do czegoś przydać i - jak się okazało - miałam rację.

„Nie wiem nawet, czy jest młody czy stary” - pomyślała Melita.

Uspokajała sama siebie, że tak czy inaczej hrabia ją z pewnością odnajdzie.

Spuszczono trap i na pokład wtargnęli ludzie - nie tylko ci, którzy oczekiwali na pasażerów i chcieli jak najszybciej ich powitać, ale i wielu bagażowych oraz sprzedawców pamiątek, a także ci, którzy zdaniem Melity weszli na pokład wiedzeni zwykłą ciekawością.

Załoga statku usiłowała powstrzymać napór tłumu, lecz szybko zrezygnowała z tych zmagania, skazanych z góry na niepowodzenie.

Steward wyniósł z kabiny Melity bagaże i postawił je obok dziewczyny.

- To chyba wszystko, panienko.

- Tak, to wszystko - potwierdziła Melita. - Dziękuję za opiekę w czasie podróży.

Dała mu dwie gwinee, bo czuła, że nie może ofiarować mniej za troskę w czasie tak długiego rejsu. Podziękował jej wylewnie.

- Życzę panience miłych wakacji - powiedział na koniec, chowając napiwek do kieszeni.

„Wakacje! - pomyślała Melita z goryczą. - To przecież dożywotnie więzienie!”

Czekała stojąc nie opodal trapu. Tłum się powoli przerzedzał; ci, którzy odnaleźli wśród pasażerów krewnych i znajomych, zaczęli już schodzić ze statku na molo.

Melita zaniepokojona przyglądała się potężnemu tłustemu Francuzowi, tubalnym głosem konwersującemu z jakimś marynarzem. Wyglądał jak nadmuchany balon, jego twarz ozdabiał absurdalny spiczasty wąsik. Melita miała głęboką nadzieję, że to nie on okaże się jej pracodawcą.

Na szczęście przybył tylko po to, by odebrać wielki pakunek i już kilka chwil później taszczył go po trapie, pocąc się przy tym i sapiąc.

Było gorąco i parno, ale od strony morza wiała chłodna bryza. Palmy kołysały się, jakby z gracją tańczyły walca. Za nimi Melita zobaczyła wiele innych zachwycających drzew pokrytych kwieciem.

Dziewczynie trudno było skupić uwagę na pięknie przyrody. Coraz bardziej zaniepokojona czekała, by ktoś po nią przyszedł, ale jej pracodawca wciąż się nie zjawiał.

„A jeśli zaszła jakaś pomyłka? - pomyślała z przerażeniem. - I nikt po mnie nie przyjdzie? Albo jeśli się rozmyślili i w ogóle mnie tu nie chcą?”

Bała się coraz bardziej. Spoglądała dokoła, wznosząc gorące modły, by ktoś ją stąd zabrał. Wreszcie ujrzała wysokiego mężczyznę w cylindrze zsuniętym na bakier, rozmawiającego z oficerami. Nie zauważyła, kiedy wszedł na pokład, choć niewątpliwie wyróżniał się spośród ludzi, których widziała na statku.

Miał na sobie uszyte według najnowszej mody wąskie spodnie i haftowaną dwurzędową kamizelkę, zupełnie inną niż ta, którą często nosił jej ojciec. Stał bokiem do Melity i dziewczyna widziała tylko jego profil. Po chwili, słuchając odpowiedzi oficera, odwrócił się i spojrzał w jej stronę.

„Nie, niemożliwe, żeby to był on! - myślała gorączkowo. - Jest o wiele za młody i stanowczo zbyt przystojny!”

Jednak ze zdumieniem spostrzegła, że ruszył ku niej. Stwierdziła, że nie pomyliła się biorąc go za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziała. Gdy tak kroczył po pokładzie, ciemnowłosa i ciemnooki, o ogorzałej od słońca twarzy, pięknie kontrastującej z białym kołnierzem koszuli, stanowił uosobienie męskości i elegancji.

Dopiero kiedy stanął u jej boku, zdała sobie sprawę, że podczas gdy ona przygląda mu się ze zdumieniem, on patrzy na nią całkowicie osłupiały.

- Proszę mi wybaczyć, mademoiselle - odezwał się zdejmując kapelusz - właśnie powiedziano mi, że to pani jest panną Cranleigh.

- To prawda - odparła Melita. - A pan...?

- Jestem hrabia de Vesonne.

Melita złożyła głęboki ukłon. Hrabia nie odrywał od niej oczu.

- Naprawdę pani jest panną Cranleigh, której oczekiwałem? To pani przybyła na Martynikę jako guwernantka mojej córki?

- Nazywam się Melita Cranleigh, monsieur. Moja macocha zawiadomiła pana o moim przybyciu.

- Nom de Dieu! - wykrzyknął hrabia. Po chwili odezwał się już innym tonem:

- Proszę mi wybaczyć, ale nie mogłem uwierzyć, że jest pani taka młoda. Spodziewałem się raczej osoby w średnim wieku.

- Macocha... lady Cranleigh... pana nie uprzedziła...?

- Zawiadomiła mnie, że znalazła guwernantkę dla mojej córeczki, inteligentną i wykształconą, którą może mi z całą odpowiedzialnością polecić. Jednak nie wspomniała, że to pani, córka sir Edwarda...

Melita zagryzła usta. Doskonale wiedziała, dlaczego tak się stało.

Lady Cranleigh, gorąco pragnąc pozbyć się pasierbicy, rozmyślnie nie wspomniała hrabiemu, kogo poleca na guwernantkę, ani o tym, że nie ma ona jeszcze dziewiętnastu lat.

- Bardzo... bardzo mi przykro - powiedziała Melita zawstydzona. - Musi pan być rozczarowany...

Hrabia spojrział jej prosto w oczy, a w jego źrenicach pojawiły się wesołe błyski.

- Nie, nie jestem rozczarowany - uśmiechnął się. - Jestem tylko zdumiony, a powinienem chyba jeszcze dodać: uradowany! Zejdźmy już, proszę, na brzeg. Możemy pomówić o tym później.

- Tak... oczywiście - zgodziła się dziewczyna. Zerknęła niezdecydowanie na swoje bagaże leżące obok, lecz monsieur le comte tylko pstryknął palcami i natychmiast, jak spod ziemi, pojawił się bagażowy.

Hrabia wziął z rąk Melity torebkę i przepuszczając dziewczynę przodem ruszył w stronę zejścia.

Przy trapie Melita zauważyła oficera, który był dla niej szczególnie uprzejmy w czasie rejsu.

- Do widzenia panu, panie Jarvis - odezwała się. - Pragnę podziękować panu za wspaniałą podróż i prosić, by zechciał pan przekazać moje gratulacje kapitanowi.

- Z pewnością to uczynię, panno Cranleigh. Życzę pani szczęśliwego pobytu na tej pięknej wyspie.

- Dziękuję.

Ruszyła w dół po trapie, a kiedy stanęła na lądzie, odwróciła się, by spojrzeć na idącego za nią hrabiego.

- Ma pani jeszcze jakieś bagaże? - zapytał.

- Och, tak... mam ich jeszcze... dość dużo - odparła Melita.

- Bagażowy się nimi zajmie.

Wydał odpowiednie dyspozycje i zaczęli na molo. aż tragarze wyniosą z ładowni statku na nabrzeże pięć wielkich kufrów należących do Melity.

- Mam nadzieję, że nie zabraknie miejsca w powozie - zaniepokoiła się dziewczyna.

- Sprowadziłem tu tak duży powóz, że pomieszczą się bez trudności - odparł hrabia. - Jest już dwunasta, więc proponuję, byśmy odesłali bagaże do Vesonne i zjedli coś w mieście. Potem ruszymy do domu bryczką - jeśli nie ma pani nic przeciwko podróży otwartym powozem.

- Och, nie! - ucieszyła się Melita. - Chciałabym obejrzeć okolicę. Tu jest przepięknie!

Hrabia popatrzył na dziewczynę z tak dziwnym wyrazem w oczach, że poczuła się nieco zażenowana. Wydawało się jej przez chwilę, choć było to uczucie całkowicie absurdalne, że miał zamiar powiedzieć, iż ona także jest piękna. Zaraz jednak

skarciła się za tę próżność i wytłumaczyła sobie, że hrabia po prostu nie może się pogodzić z jej młodym wiekiem.

Powóz hrabiego, zaprzężony w dwa konie, prezentował się bardzo okazale. Dwóch służących uwijało się ładując kufry Melity na dach i tył, a bagaż podręczny do wnętrza, na wyściełane siedzenia.

Hrabia dopilnował, by wszystko zostało bezpiecznie załadowane, a następnie zaprowadził Melitę do oczekującej ich bryczki.

Był to powozik zgrabny i szykowny, choć nie przypominał w niczym bryczek, którymi powozili młodzi ludzie w Lasku Bulońskim w Paryżu.

Hrabia pomógł Melicie wsiąść i ujął lejce, a lokaj przytrzymujący konie wskoczył na ławeczkę z tyłu.

Melita zauważyła, że człowiek ten miał na sobie liberię z wypukłymi guzikami i kapelusz z kokardą, niepodobny do tych, jakie nosili służący w jej własnym domu.

Ruszyli ulicami miasta. Kiedy przejeżdżali obok imponującej budowli z dwiema wieżami, które widziała ze statku, przekonała się, że miała rację przypuszczając, iż to wieże katedry. Miejski ratusz, z wielkim zegarem nad frontowym wejściem, także zrobił na dziewczynie ogromne wrażenie.

Wszystkie budynki miały dachy kryte czerwoną dachówką i - jak większość domów w klimacie tropikalnym - okna bez szyb. Uliczki były kręte i wąskie, a jedyny wyjątek stanowiła aleja biegnąca wzdłuż brzegu morza - szeroka i ocieniona obsypanymi kwieciami drzewami. Wszędzie pełno było kwiatów - hibiskusów o żywej czerwonej barwie, a także purpurowych, szkarłatnych i pomarańczowych bugenwilli.

- I cóż? Jak pani znajduje nasze miasto? - zapyta! hrabia po dłuższej chwili jazdy w milczeniu.

- Jest... jest wspaniałe... o wiele piękniejsze, niż przypuszczałam - odpowiedziała Melita.

- Pani pochodzi z Londynu?

- Tak.

- I sądzi pani, że można porównać Saint - Pierre z pani rodzinnym miastem?

- Porównywałam je z Paryżem - wyjaśniła dziewczyna. - Powiedziano mi, że Saint - Pierre nazywane jest Paryżem Indii Zachodnich.

- Jest dobrą imitacją, jednak tylko imitacją!

- Wolałby pan być w Paryżu? - spytała Melita.

- Niekiedy - odparł z uśmiechem - choć z drugiej strony właściwie podoba mi się klimat i beztroska Martyniki.

- Od dawna pan tu mieszka? - Melita czuła, że zadaje zbyt wiele pytań, ale pożerała ją ciekawość.

- Ojciec osiedlił się na Martynice, zanim ja przyszedłem na świat - rzekł hrabia. - Ale często bywałem w Paryżu. Tam uczęszczałem do szkół.

Melita właśnie zamierzała zadać jeszcze kilka pytań, gdy uświadomiła sobie, że to nie miejsce ani czas, by okazywać ciekawość i że to raczej hrabia powinien pytać o nią. Nim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, hrabia ściągnął wodze i zatrzymał konie przed restauracją usytuowaną nad brzegiem morza.

Na zewnątrz wyglądała jak typowa francuska budowla z kolorowymi markizami. Kiedy weszli do środka, Melita ujrzała, że stoliki ustawiono wokół wewnętrznego dziedzińca z niewielką fontanną pośrodku i bogactwem kwiatów pod ścianami.

Dziewczynie wyrwał się z ust okrzyk zachwyty:

- Jak pięknie!

- Zapewniam panią, że jedzenie, jakie tutaj podają, jest równie wspaniałe - powiedział hrabia z uśmiechem.



Właściciel zbliżył się do nich pośpiesznie.

- Bonjour, monsieur le comte! Pański stolik czeka - oznajmił. - Bonjour, madame!

- Mój gość, mademoiselle Cranleigh, właśnie przybyła do nas z Anglii - rzekł hrabia. - Pańska restauracja to pierwsze miejsce, które odwiedziła. Nie chciałbym, żeby poczuła się rozczarowana.

- Mais non, monsieur le comte! To niemożliwe! Mademoiselle otrzyma najlepszy repas, jaki jej kiedykolwiek podano. - Zaprowadził ich do stolika w bocznej niszy.

Wokół pięła się bugenwilla, przekształcając wnękę w kolorową altanę, a ściany zdobiły piękne freski o jasnych, świetlistych barwach.

- Kiedy opuszczałam Anglię, było tam szaro i zimno. Wszystko tonęło w listopadowej mgle - powiedziała Melita w zadumie.

Hrabia uśmiechnął się do niej. Na wolnym krześle położył swój cylinder i torebkę Melity.

Torebka należała niegdyś do matki dziewczyny, wyglądała bardzo szykownie. Wykonana była z krokodylej skóry i ozdobiona inicjałami.

- Cóż pani w niej przywiozła ze sobą? - zapytał hrabia z uśmiechem. - Klejnoty koronne?

- Nie, to tylko moja biżuteria, monsieur. Jest tak skromna, że nie warto o niej wspominać.

- W każdym razie została bardzo wytwornie opakowana.

- Ta torebka należała do mojej matki.

- Czy pani matka była... tak samo piękna jak pani? Melita spłonęła rumieńcem.

- Ja... nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Musi mi pani opowiedzieć o sobie - poprosił hrabia. - Nie mogę wyjść ze zdumienia patrząc na panią. Wyobrażałem sobie panią zupełnie inaczej. Czy to możliwe, żeby macocha

rozmyślnie nie wspomniała ani słowem o pani młodości i urodzie?

Melitę zdumiała jego domyślność.

- Moja macocha chciała... chciała się mnie pozbyć - wyjaśniła cicho.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł hrabia. „Jakie to dziwne - pomyślała Melita - że on potrafi pojąć wszystko tak szybko, bez żadnych wyjaśnień.”

- I dlatego wysłała panią na koniec Świata - mówił hrabia dalej. - Zawsze wiedziałem, że Martynika jest pod szczególną opieką bogów!

- To Martynika ma swoich bogów? - spytała Melita. Była trochę zmieszana i pragnęła zmienić temat. - Sądziłam, że panuje tutaj kult voodoo, który przybył z Afryki wraz z niewolnikami.

- Owszem - zgodził się hrabia - tak się składa, że mamy tu sporo wyznawców tego kultu, jednak lubię sobie wyobrażać, że bogowie, którzy żyli na Olimpie, mieszkają na wyniosłych szczytach naszych gór. Kiedy chmury są nisko, te szczyty wyglądają bardzo tajemniczo i intrygująco.

- Cieszę się, że je zobaczę - powiedziała Melita.

- Pokażę je pani.

Podniosła na niego oczy i ich spojrzenia spotkały się nad blatem stołu.

Melita znowu odniosła wrażenie, że znalazła się w nierzeczywistym świecie, świecie ze snu. Nie był to jednak nocny koszmar, lecz senne marzenie - sen, z którego za nic nie chciała się obudzić!

## ROZDZIAŁ 2

Hrabia, jak każdy prawdziwy Francuz, z uwagą i starannie dobierał menu.

- Przede wszystkim - zwrócił się do Melity - powinna pani skosztować naszego dania z krabów.

- Bardzo lubię kraby - powiedziała Melita.

- Tu, na Martynice, jadamy kraby lądowe - objaśniał hrabia. - Przez dwa tygodnie trzymane są w beczkach i karmione owocami mango, pieprzem oraz kukurydzą. Sądzę, że będą pani smakowały.

Następnie wybrał kurczę w kokosie podawane z kreolską ratatouille - bogatą mieszanką warzyw i ziół smażonych w oliwie i przyprawionych czosnkiem. Melita uznała to danie za niezwykle, a przy tym równie smaczne jak potrawy, które jadała z ojcem we Francji.

- Teraz, skoro znalazła się pani na Martynice, musi pani posmakować bananów - zdecydował hrabia.

- Ależ ja doskonale znam smak bananów!

- Naprawdę? - spytał hrabia z niedowierzaniem. - Mamy tu wiele gatunków tych owoców: zielone banany podawane są z solą, pieprzem i ostrym sosem korzennym; żółte, bardzo dojrzałe, jemy w winie z dodatkiem cynamonu; poza tym są jeszcze banany kukurydziane w kształcie rogu...

- Proszę - roześmiała się Melita - niech pan przestanie... Zgoda, nigdy nie jadłam prawdziwych bananów!

Do posiłku popijali wino, lecz hrabia nalegał, by Melita przynajmniej skosztowała rumu z sokiem owocowym. Napój ten wydał jej się orzeźwiająco chłodny i bardzo smaczny.

- Rum sprawia, że ludzie czują się szczęśliwi - powiedział hrabia - i dlatego, jak pani z pewnością zauważy, mieszkańcy tej wyspy nieustannie się uśmiechają.

Istotnie, Melita zwróciła już uwagę na to, że od chwili gdy zeszła ze statku, przez całą podróż bryczką hrabiego każdy, na

kogo spojrzała, odsłaniał w szerokim uśmiechu lśniące białe zęby.

- Czy naprawdę rum daje ludziom szczęście? - zapytała z powagą.

- Rum wraz ze słońcem i ciepłem domowego ogniska - odparł hrabia.

W tonie jego głosu, gdy wymawiał ostatnie trzy słowa, było coś, co nasunęło Melicie myśl, że hrabia podkreślił je celowo. Czowała się trochę winna, że do tej pory nie zainteresowała się swoimi obowiązkami, więc zapytała szybko:

- Opowie mi pan o swojej córce?

- Nazywa się Rose - Marie - zaczął hrabia. - Ma osiem lat i jest moim zdaniem śliczna i mądra.

„Właśnie taka powinna być - pomyślała Melita - jeśli jest choć trochę podobna do ojca.”

Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek w życiu będzie jej dane jeść obiad w towarzystwie tak przystojnego mężczyzny, o tak pięknych, bezustannie zmieniających kolor oczach. Właściwie były ciemne, lecz gdy hrabiego coś rozbawiło, zdawały się promieniować słonecznym blaskiem.

- Czy Rose - Marie jest jedynaczką? - spytała.

- Tak, niestety nie mam więcej dzieci - odparł hrabia. - Kiedy zobaczy pani Vesonne - des - Arbres. zrozumie pani, że jest to wymarzone wprost miejsce dla licznej rodziny. Wspaniale się tam czułem, kiedy byłem chłopcem.

- Ma pan rodzeństwo?

- Mój brat zmarł mając siedemnaście lat, ale mam cztery siostry. Wszystkie są już zameżne i mieszkają w Europie.

- Zapewne bardzo ich panu brakuje - powiedziała Melita ze współczuciem.

- To prawda. Zapadła cisza.

Po chwili Melita odezwała się z lekkim niepokojem w głosie.

- Czy pańska żona... madame la comtesse... nie będzie uważała, że jestem za młoda, by opiekować się Rose - Marie?

Od chwili gdy na twarzy hrabiego ujrzała zdumienie na jej widok, w głębi duszy ciągle się bała, że zarówno on, jak i jego żona mogą uznać, iż nie jest odpowiednią guwernantką dla ich córki, i zechcą odesłać ją z powrotem do Anglii.

- Moja żona... moja żona nie żyje od trzech lat. Melicie słowa uwięzły w gardle. Oto jeszcze jeden szczegół, o którym macocha najwyraźniej zapomniała jej powiedzieć.

Musiała mieć zakłopotaną minę, bo hrabia dodał szybko:

- Mieszka z nami kuzynka mojej żony, madame Boisset. Jest wdową. Ona zarządza domem... i majątkiem.

Przed ostatnim słowem nastąpiła pauza; Melita dostrzegła wyraźny cień w oczach hrabiego, a uśmiech znikł z jego warg.

- Przykro mi... z powodu pańskiej żony... - odezwała się niepewnie. - Czy madame Boisset wyjaśni mi, czego powinnam nauczyć Rose - Marie?

- Sam to zrobię - rzekł hrabia zdecydowanie.

- Mam całkowicie sprecyzowane poglądy na ten temat. - Podniósł nieco głos. - Życzę sobie, by Rose - Marie została wychowana tak, jak ja to zaplanowałem, i nie pozwolę, żeby ktokolwiek mi w tym przeszkodził!

- Gwałtownie wyrzucił z siebie słowa, spostrzegłszy jednak przestach na twarzy Melity, odezwał się spokojniej: - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem pani zdenerwować, mademoiselle. Spróbujmy o tym zapomnieć. Teraz niech pani opowie mi coś o sobie.

Melita, spłoszona trochę, spuściła wzrok.

- Niewiele mam do powiedzenia - zaczęła. - Jak pan zapewne wie, mój ojciec ożenił się powtórnie, a kiedy rok

temu zmarł, okazało się, że nie pozostawił żadnego majątku. Nie odziedziczyłam po nim ani grosza.

- Jednak pani macocha jest kobietą majątną? Melita podniosła oczy na hrabiego i znów spuściła powieki.

- Moja macocha... jest młoda i nie życzy sobie... matkować pasierbicy.

- To akurat mogę zrozumieć z łatwością, ale czy naprawdę musi pani zarabiać na swoje utrzymanie?

- O, tak.

- Kiedy przypominam sobie - zamyślił się hrabia - jak ważną osobistością w kołach dyplomatycznych był pani ojciec i jak serdecznie mówili o nim inni politycy, wydaje mi się dziwne, że musi pani pracować jako guwernantka.

- Ja... nie potrafiłam znaleźć sobie żadnego innego zajęcia - przyznała Melita otwarcie.

- A nie myślała pani o tym, żeby wyjść za mąż? - zapytał hrabia.

Dziewczyna milczała przez chwilę.

- Przez cały zeszły rok nosiłam żałobę. Nigdzie nie bywałam i nie spotkałam mężczyzny, który... który mógłby starać się o moją rękę.

Zapanowała cisza. Hrabia skinął na kelnera, każąc napęlnić kieliszki winem.

- Nie, nie, już dziękuję. - Melita uniosła dłoń.

- Na pewno? - zdziwił się hrabia.

- Nie wiem, czy w ogóle wypada, żeby guwernantka piła wino.

- Jest pani na francuskiej ziemi. Jak pani wie, każdy, nawet najpośledniejszy i najbiedniejszy Francuz codziennie wypija butelkę win.

- Tatuś też mi o tym mówił - zgodziła się Melita.

- A jednak wydaje mi się dziwne, że można uważać Martynikę za część Francji i tutaj, tak daleko od Europy, podtrzymywać francuskie obyczaje.

- Daleko jest jedynie wówczas, gdy mierzy pani odległość w milach morskich - zaprotestował hrabia.

- Sercem należymy do naszej ojczyzny.

Melita uśmiechnęła się do niego.

- Być może - dodał hrabia - jesteśmy jak wygnańcy tęskniący za rodzinnymi stronami. I dlatego uczynimy wszystko co w ludzkiej mocy, by pani nie czuła się bezdomna.

- Postaram się tu zadomowić - obiecała Melita z powagą.  
- Choć jednocześnie to nieco... przerażające uczucie, jeśli się nie wie, co robić i... jak się zachować.

- Z pewnością niedługo się pani przekona, że wystarczy, by była pani sobą - powiedział hrabia w taki sposób, iż zabrzmiało to jak komplement.

Melita pomyślała, że już dość długo jej osoba była tematem rozmowy.

- Co się uprawia w pańskim majątku, monsieur? - zapytała. - Podczas rejsu dowiedziałam się od marynarzy, że główne bogactwa tej wyspy to cukier, banany, kawa i przyprawy korzenne.

- W rzeczy samej - przytaknął hrabia. - Na mojej plantacji rośnie głównie trzcina cukrowa. Poza tym trochę bananów i kawy.

- To bardzo interesujące. A kogo pan zatrudnia na plantacji? Martynika nie ma chyba wielu mieszkańców, więc pewnie trudno tu o robotników.

- W Vesonne - des - Arbres pracują niewolnicy.

- Niewolnicy?! - wykrzyknęła Melita. - Sądziłam... - Zamilkła.

- Co pani sądziła? - zapytał hrabia.

- Sądziłam, że w tym rejonie wszyscy niewolnicy zostali już wyzwoleni.

- Owszem, na Antigui i kilku innych wyspach - tak. Jednak na Martynice jeszcze nie.

- Ale z pewnością... - Nagle Melita zdała sobie sprawę, że rozmowa na temat niewolnictwa prowadzona z właścicielem niewolników może być wręcz niegrzeczna.

Ponieważ ojciec miał ustalone poglądy na ten temat, Melita wierzyła, że praktycznie cały świat zaakceptował opinię, iż niewolnictwo jest okrutne, stanowi obrazę ludzkiej godności i wszystkim niewolnikom powinno się wrócić wolność.

Hrabia jakby odgadywał jej myśli.

- Niewolnictwo na Martynice będzie ostatecznie zniesione, tak jak i gdzie indziej - stwierdził. - Jednakże na razie trwają na ten temat gorące debaty w rządzie. Dopóki nie zostaną podjęte decyzje, poszczególni właściciele są bezsilni i nie mogą nic począć w tej sprawie.

- Rozumiem... - powiedziała Melita cichutko.

- Cóż, kiedy zobaczy pani niewolników w Vesonne, przekona się pani, mademoiselle, że w większości są oni szczęśliwymi ludźmi... w każdym razie tak mi się wydaje.

Zdziwiło Melitę, że monsieur le comte mówił o sprawach dotyczących majątku takim tonem, jakby go one właściwie nie dotyczyły. W pierwszej chwili pomyślała, że być może wiąże się z tym jakaś mroczna tajemnica, ale zaraz doszła do wniosku, iż dała się ponieść fantazji.

Kiedy zabrano talerze, Melita powiedziała:

- Chciałabym podziękować panu za jeden z najcudowniejszych posiłków, jakie kiedykolwiek jadłam. Wszystko było wspaniałe i bardzo dla mnie egzotyczne.

- Jest wiele egzotycznych rzeczy, które chciałbym pani jeszcze pokazać... - Hrabia przerwał raptownie.



Melita odniosła wrażenie, że nagle przypomniał sobie, iż byłoby błędem z jego strony nawiązywać tak bliskie stosunki z guwernantką córki.

„Nie wolno mi zapominać, że teraz jestem tylko wyższej rangi służącą” - pomyślała i spróbowała przypomnieć sobie, jak zachowywały się jej guwernantki.

We wspomnieniach ujrzała proste, nieciekawe kobiety, które najczęściej zaraz po przyjeździe przekonywały się, że o wielu sprawach mają znacznie skromniejsze pojęcie niż ich wychowawca. Mimo że bardzo się starały dając lekcje Melicie, dziewczynka i tak we wszystkim, co dotyczyło literatury czy filologii klasycznej, a szczególnie poezji i mitologii, polegała wyłącznie na ojcu.

Języków obcych nauczyła się niejako mimo woli. Kiedy przebywali poza granicami kraju, ojciec nalegał zawsze, by każdy nauczyciel wykladał jej lekcje w swojej mowie ojczystej. Wyjątkiem był język francuski, którego uczyła się także w Londynie i Wiedniu. Z pewną ulgą uświadomiła sobie, że posługuje się tym językiem tak dobrze jak żadnym innym; równie dobrze jak rodzimym.

Hrabia patrzył na nią, jakby czytał w jej myślach.

- Powiniennem chyba pogratulować pani wspaniałego akcentu prosto z Paryża. Choć z drugiej strony czegoż innego można było się spodziewać po córce sir Edwarda?

- Dziękuję panu - odparła Melita. - Jednak nigdy nie będę mogła w pełni dorównać tacie. Mówił biegle siedmioma językami, a prócz tego znał wiele dialektów Europy Południowej.

- Chcę, żeby zaczęła pani uczyć Rose - Marie angielskiego - powiedział hrabia. - Obawiam się też, że nie jest szczególnie biegła w żadnej z podstawowych dziedzin wiedzy, jak arytmetyka, geografia czy muzyka.

- Uważa pan muzykę za jedną z podstawowych dziedzin wiedzy?

- Dla kobiety - tak.

- Dlaczego bardziej niż dla mężczyzny? - Zwracała się do niego, jak niegdyś do ojca - z przejęciem i nieco zaczepnie; oboje lubili wieść ze sobą słowne utarczki.

- Sądzę, że muzyka jest częścią istoty kobiecości

- wyjaśnił hrabia. - Kobieta powinna mówić melodyjnie i poruszać się z wdziękiem. Muzyka pomaga zharmonizować nie tylko ciało, lecz także umysł i usposobienie.

- Chyba ma pan rację - zgodziła się Melita po chwili zastanowienia - choć muszę przyznać, że nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób.

- Choćby pani, porusza się pani, jakby słuchała melodii i rytmu własnego serca.

Jego głos był cichy i głęboki.

Melita spojrzała na hrabiego szeroko otwartymi oczyma i jakoś nie mogła odwrócić wzroku. Nigdy nie sądziła, że czyjeś oczy mogą być tak ciemne, tak wyraziste i jednocześnie tak władcze, zniewalające. Na policzkach dziewczyny powoli wykwitł rumieniec. Nagle przy sąsiednim stoliku ktoś roześmiał się głośno. Czar przysł.

- Powinniśmy już ruszać - zdecydował hrabia.

- Do Vesonne - des - Arbres mamy ponad pięćdziesiąt kilometrów. Nawet moim koniom droga zabierze co najmniej dwie godziny.

Opuścili restaurację, wsiedli do bryczki i pojechali wzdłuż zalanego promieniami słońca morskiego brzegu.

Ogromne wrażenie wywarły na Melicie majestatyczne fale uderzające o piaszczystą plażę.

Skrećili w głąb lądu i po niedługim czasie zanurzyli się w cieniu drzew rosnących po obu stronach drogi. Konie niosły ich szlakiem pnącym się coraz wyżej wśród egzotycznej flory.

Wreszcie Melita ujrzała z bliska wszystkie te cuda przyrody, które tak bardzo chciała zobaczyć: gujawę, drzewa chlebowe, mango i awokado. Po jakimś czasie dziewczyna zorientowała się, że jadą przez dżunglę.

Teraz otaczały ich bambusy, kwitnące królewskie palmy i tamaryndowce. Gigantyczne białe paprocie wyrastały tak wysoko, że momentami tworzyły nad drogą prawdziwy tunel.

Kiedy zjechali ze zbocza wzgórza w głęboki wąwóz, napotkali srebrne potoki spadające z urwistych skał.

Melita nigdy nie przypuszczała, że roślinność może być tak wspaniała i tak różnorodna. Hrabia pokazywał dziewczynie drzewiaste paprocie, które nierzadko rosły na wysokość dziesięciu metrów, oraz puchowce - drzewa sięgające niekiedy nawet i trzydziestu metrów. Pokazał Melicie także winorośle i epifity - rośliny pasożytujące, które oplątywały się wokół drzew czy krzewów, by je w końcu zadusić.

- To są prawa dżungli. Rośliny, podobnie jak ludzie, żyją jedna kosztem drugiej - hrabia mówił z goryczą - i tylko najsilniejsze z nich mają szansę na przetrwanie.

Melita odezwała się cicho:

- Dżungla jest taka piękna, że trudno pogodzić się z myślą, iż kryje w sobie tyle okrucieństwa.

- Natura jest okrutna, także natura ludzka jest okrutna - rzekł hrabia. - Każda istota cierpi i zadaje cierpienie. - W jego głosie zabrzmiały bolesne nuty.

Melita zerknęła na niego spod rzęs.

„Z początku wydawał się wesoły i beztroski - pomyślała. - Wyglądał na prawdziwie szczęśliwego człowieka.”

Teraz nie była już pewna swojego pierwszego wrażenia. Mimo że nie widziała wyraźnych przyczyn, coś kazało jej sądzić, że monsieur le comte cierpi.

Ale dlaczego?

„Być może nigdy się tego nie dowiem - westchnęła. - Guwernantka nie powinna się interesować uczuciami i tajemnicami swego pracodawcy.”

Wyjeżdżali z głębokiego wąwozu.

- Nic pani nie mówi - odezwał się hrabia. - O czym pani myśli?

- Rozmyślałam o tym, jakie to wszystko dziwne - odpowiedziała Melita. - Poza tym jestem trochę... zaniepokojona tym, co mnie czeka.

- Nie czuje się pani jak poszukiwacz przygód badający nowe ziemie, przejęty chęcią poznania czegoś zupełnie nowego?

- Próbuję patrzeć na wszystko w ten sposób - przyznała szczerze Melita - ale tak bardzo boję się potknąć... błędów...

- Pomogę pani ich uniknąć - obiecał hrabia, jakby wiedziony impulsem. Po chwili dodał: - Jeśli będę na miejscu.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie mieszka pan na plantacji? - spytała Melita. - Czy dobrze zrozumiałam?

- Rzeczywiście bywam tam... od czasu do czasu.

- Ale przecież ma pan z pewnością mnóstwo pracy przy nadzorowaniu majątku?

Podczas długiej podróży statkiem słyszała opowieści o ciężkiej pracy plantatorów i o tym, jak trudno jest dostarczyć zbiory na sprzedaż w odpowiednim czasie i we właściwym stanie.

- Zdawało mi się, że już pani o tym mówiłem odparł hrabia. - Majątkiem zarządza kuzynka mojej żony.

- Kobieta? - wykrzyknęła Melita zdumiona.

- Tak. kobieta. Ona tam sprawuje rządy! - Teraz z głosu hrabiego można było nieomylnie odczytać, że ten fakt nie cieszy się jego aprobatą.

„Bardzo dziwne to wszystko” - pomyślała Melita. Nie miała już śmiałości pytać o nic więcej.

Po jakimś czasie hrabia, jakby z wysiłkiem oderwawszy się od swoich myśli, wskazał jej piękne kwiaty anturium. Kształtem przypominały nieco kalie, lecz kielich miały w kolorze szkarłatnym, a słupek śnieżnobiały.

Jechali przed siebie, ciągle w głąb lądu, aż wreszcie Melita ujrzała pola uprawne. Z drzew zwisały wielkie kiście bananów, a wysokie trzciny cukrowe z gracją kołysały na wietrze długimi liśćmi w kształcie mieczy.

Zewsząd przyciągały wzrok kolorowe plamy - pędy bugenwilli pnące się po murach i pniach drzew, szpalery jaskrawoczerwonych i żółtozłotych hibiskusów oraz gdzieś tam pomarańczowe lilie, które hrabia nazwał sceptre aux fleurs, kwietne berło.

Hrabia, jakby chcąc podtrzymać Melitę na duchu, zaczął raczyć ją zabawnymi historyjkami o kreolskim życiu i o tym, jak Ludwik XVI nadał Martynice status kolonii.

- Jesteśmy bardzo dumni z naszej wyspy - mówił. - Sądzę, że jeśli żyje się w zgodzie z samym sobą, można się tu czuć jak w prawdziwym raju.

- Pan nie jest szczęśliwy?

Melita zadała to pytanie, nim zdążyła pomyśleć.

Odwrócił twarz w jej stronę i spojrzał na dziewczynę jakby zdziwiony jej słowami, a ona z ulgą zdała sobie sprawę, że nie odebrał ich jako impertynencji.

- Nie, nie jestem szczęśliwy. I bez wątpienia bardzo szybko po przyjeździe do Vesonne zorientuje się pani dlaczego.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, a on zapytał cicho:

- Czy zechce mi pani coś przyrzec?

- Tak, oczywiście - zgodziła się natychmiast.

- Rozsądniej byłoby najpierw dowiedzieć się, o co chodzi, zanim da mi pani swoje słowo.

- A więc... dam panu słowo... jeśli będę mogła go dotrzymać.

- Tak już lepiej! - Jego usta wykrzywił dziwny grymas.

- Jakiej obietnicy chce pan ode mnie? -

- Że nie przełęknie się pani tego, co panią spotka w Vesonne. Chciałbym, żeby pani z nami została - rzekł z powagą. - Chcę, by pani wiedziała, że zawsze pani pomogę, jeśli tylko będę mógł.

Po chwili Melita odezwała się cicho:

- Co to znaczy... „tego, co mnie spotka”?

- Zorientuje się pani zaraz po przyjeździe. Jednak bez względu na wszystko nie chcę, by pani wyjeżdżała, mimo że może pani sobie tego życzyć.

- Chcę tu zostać - powiedziała Melita. - Ja... właściwie... nie mam dokąd wyjechać.

Odniosła wrażenie, że to nie była odpowiedź, jakiej oczekiwał hrabia. Nie wydawał się specjalnie podniesiony na duchu.

Przez kilka minut powoził w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w końskie grzbiety. Wreszcie się odezwał:

- To, co powiem, może się wydawać nieco dziwne. Wiem, że przyjazd tutaj był dla pani ogromnym wydarzeniem, a czuję, że może on być ważnym wydarzeniem także dla mnie.

- Chyba... niezupełnie pana rozumiem.

- Mam przeczucie - hrabia mówił powoli, jakby do siebie - że za pani sprawą zacznę walczyć o to, co uważam za słuszne, zamiast biernie akceptować zło tylko dlatego, że tak jest łatwiej.

Melita chciała go zapytać, co uważa za słuszne, a co za złe, chciała go prosić, by wyjaśnił, o czym właściwie mówi. Była jednak bardzo wrażliwa na ludzkie nastroje i intuicyjnie wyczuła, że nie zechciałby teraz odpowiadać na takie pytania. Najwyraźniej w jakiś niepowszedni sposób usiłował ją

przygotować na to, co się miało zdarzyć, uzbroić przeciwko wszelkim trudnościom.

Zostawili już za sobą dziką dżunglę i jechali przez bardziej ucywilizowane ziemie, choć droga, jak przedtem, znów pograżyła się w wąwozie. Raz jeszcze otoczyły ich paprocie, tamaryndowce i gorące wilgotne powietrze, roznoszące zupełnie inne wonie niż nad uprawną ziemią.

Jechali dwie i pół godziny, zanim skręcili w prowadzącą w górę, piaszczystą wyboistą drogę, rozmytą przez ulewne deszcze i pooraną koleinami.

Bryczka niebezpiecznie kolebała się z boku na bok, aż wreszcie przejechali przez most nad potokiem i znaleźli się na plantacji. Z jednej strony pojawiły się bananowce obwieszane kłębami owoców, z drugiej zielone morze kawowców.

Melita spojrzała pytająco na hrabiego.

- Jesteśmy w majątku Vesonne - des - Arbres - powiedział.

Ujechali jeszcze około stu metrów i Melita dostrzegła kilka budynków.

Pierwszy z nich był wysoki, zbudowany z szarego kamienia. Dziewczyna domyśliła się od razu, że to młyn. Po jego ścianach pięły się bugenwille i winorośle.

Melita zobaczyła ogromne, majestatycznie obracające się koło wodne, jasny strumień spadał do wąskiego potoku, mieniając się w słońcu wszystkimi barwami tęczy.

Obok stały inne duże budynki, a po lewej stronie kilka małych chat, krytych dachami z drewna. Przyglądała się im z zainteresowaniem.

- To baraki niewolników - wyjaśnił krótko hrabia.

Teraz Melita zobaczyła kilkoro czarnoskórych dzieci bawiących się na trawie. W chwilę później na wzgórzu otoczonym kwitnącymi drzewami po raz pierwszy ujrzała dom mieszkalny, górujący nad innymi zabudowaniami. Był to

budynek jednopiętrowy, wzniesiony z czerwonej cegły, ze spadzistym dachem i z werandą, otoczony ogrodem tonącym w feerii barw.

Przejechali przez bramę i hrabia z fasonem zatrzymał konie przed werandą.

- Witamy w Vesonne - des - Arbres - powiedział cicho.

Melita właśnie chciała go zapewnić, jak bardzo się jej podoba ten dom, ale zanim zdążyła się odezwać, usłyszała dobiegający z wnętrza domu czyjś okrzyk, a w drzwiach ukazała się kobieta i przez werandę pośpieszyła ku nim.

- Etienne! Nie spodziewałam się ciebie! - wykrzyknęła.

Melita oceniła, że może mieć trzydzieści siedem, może trzydzieści osiem lat. Poruszała się energicznie, choć była dosyć tęga i przysadzista. Jej twarz trudno było uznać za szczególnie piękną.

Kobieta miała ciemne oczy o przenikliwym spojrzeniu. Ciemne włosy, choć uczesane w modne loki po bokach głowy, przy ziemistej twarzy zwisały w prostych pasmach.

Hrabia, zanim się odezwał, oddał lejce lokajowi.

- Przywiozłem mademoiselle Cranleigh.

- Tego się właśnie spodziewałam - madame Boisset całkowicie zmieniła ton - kiedy zobaczyłam, że w powozie są same kufry.

Melita nagle zdała sobie sprawę, że oczekiwano na jej przyjazd powozem, który dowiózł tu jedynie bagaże, i że hrabia, chociaż wyszedł po guwernantkę na przystań, nie miał zamiaru wracać z nią na plantację.

Madame Boisset spojrzała wreszcie na Melitę, która wyszła z bryczki i dygnęła ceremonialnie.

- Pani jest mademoiselle Cranleigh? - spytała madame Boisset z wyraźną pretensją w głosie.

- Tak, madame.



- To niemożliwe! Jest pani o wiele za młoda na guwernantkę. To śmieszne!

Wyraz oczu tej kobiety do złudzenia przypominał Melicie spojrzenie macochy. Nie miała pojęcia, jakich słów powinna użyć, by przeprosić za swoją młodość i być może także za swoją urodę.

- Zdawało mi się - madame Boisset zwróciła się do hrabiego - że mówiłeś, iż lady Cranleigh przysyła do nas kobietę w wieku dojrzałym.

- Sądzę, droga Josephine, że mądrzej będzie omówić tę sprawę w domu - zakładając, że w ogóle potrzebuje ona jakiegoś omawiania.

- Musimy to omówić - podkreśliła stanowczo madame Boisset.

Niemniej poprowadziła ich w głąb budynku. Melita zdumiona rozejrzała się wokół.

Pokój, do którego weszli, był przestronny i niewątpliwie pełnił rolę salonu. Na ścianach wisiały obrazy; sofy i krzesła miały obicia z adamaszku. Nie oszklone okna zaopatrzone były w solidne drewniane okiennice, które z pewnością bywały przydatne wyłącznie podczas burzy. Ściany pokoju pokrywały tapety. Cały salon pełen był rozmaitych ozdób, na stolikach w stylu Ludwika XIV leżały francuskie książki i stała sewrska porcelana. Wszystko było bardzo piękne i Melita wiedziała, że czułaby się tu doskonale, gdyby nie wyraźna niechęć madame Boisset.

Mówiła teraz do hrabiego głosem ostrym i coraz bardziej piskliwym, w miarę jak rosło jej oburzenie:

- Sam doskonale wiesz, Etienne, że to całkowity absurd! Przecież ta dziewczyna nie może być solidną guwernantką, jakiej oczekiwaliśmy z Anglii!

- Rozmawiałem z mademoiselle Cranleigh - odparł zimno hrabia - i przekonałem się, że jest wyjątkowo inteligentna.

Uważam, że mogłaby być doskonałą i kompetentną nauczycielką nawet dla dziecka znacznie starszego niż Rose - Marie.

Madame Boisset wydała okrzyk, który był w równym stopniu wyrazem zawodu, co irytacji, po czym wybuchnęła gwałtownie:

- Zupełnie nie pojmuję, dlaczego lady Cranleigh przysłała nam tak młodą osobę. Musimy odesłać ją z powrotem!

- Lady Cranleigh jest macochą mademoiselle - odpowiedział hrabia, zanim Melita zdążyła się odezwać. - A że panna Cranleigh to córka sir Edwarda, mam pewność, iż w jej wypadku młody wiek nie jest przeszkodą dla znacznych umiejętności.

Madame Boisset, nie kryjąc wrogości, wzrokiem zmierzyła Melitę od stóp do głów.

- Teraz rozumiem, Etienne, dlaczego zostaliśmy niespodziewanie zaszczytzeni twoją obecnością - syknęła zjadliwie.

Hrabia zignorował tę uwagę i zwrócił się do Melity:

- Chciałbym, żeby pani poszła teraz na górę i poznała moją córkę.

Melita zerknęła na madame Boisset nieco zalekniona i podążyła za hrabią do hallu, skąd kręcone drewniane schody prowadziły na piętro.

Zostawili patrzącą za nimi madame Boisset i ruszyli w górę po nagich stopniach. Melicie wydawało się, że kroki ich dwojga budzą nienaturalnie głośnie echo.

Kiedy tylko dotarli do podestu, odezwała się cicho:

- Źle się złożyło, że macocha nie powiedziała nikomu, ile mam lat. Mógłby się pan wtedy nie zgodzić na mój przyjazd.

- Czy muszę powtarzać, jak bardzo się cieszę z pani przybycia? - spytał hrabia. - Jestem pewien, że Rose - Marie także będzie szczęśliwa.

Otworzył drzwi u końca długiego korytarza.

Prowadziły do dużego pokoju pełnego najróżniejszych kosztownych zabawek. Były tam lalki i misie, piłki, klocki i skakanki, dom dla lalek - zupełnie jak prawdziwy - i oczywiście koń na biegunach. Przy stole mała dziewczynka jadła posiłek w towarzystwie czarnoskórej kobiety.

Kiedy zobaczyła, kto stoi w drzwiach, krzyknęła radośnie:

- Tatku! Tatusiu! - Zeskoczyła z krzesła i podbiegła do ojca, wyciągając ramionka.

Hrabia schylił się i podniósł dziewczynkę, a ta zaczęła go całować szaleńczo, jakby się bała, że widzą się po raz ostatni w życiu.

- Wróciłeś! - Wykrzykiwała między pocałunkami. - Wróciłeś, tatusiu!

- Tak, wróciłem - powiedział hrabia - i specjalnie dla ciebie przyprowadziłem kogoś, kogo na pewno bardzo polubisz.

Rose - Marie, z rękoma splecionymi na szyi ojca, spojrzała na Melitę. Dziewczynka była ładnym dzieckiem o ciemnych włosach i brązowych oczach.

- Kto to jest? - spytała po chwili.

- To mademoiselle Cranleigh. Będzie dawała ci lekcje i opowie o wielu rzeczach, o których powinnaś wiedzieć.

- Czy to jest ta guwernantka, o której mówiła ciocia Josephine?

- Tak, to ona.

- Ale ciocia Josephine mówiła, że ona będzie stara i sroga i będzie mi kazała robić wszystko, czego nie lubię.

- Na pewno sama się przekonasz, że mademoiselle nauczy cię wielu nowych, interesujących rzeczy, o których ci się nawet nie śniło - powiedział hrabia.

Melita uśmiechnęła się do Rose - Marie. Dziewczynka przyglądała się jej z powagą w oczach.

Hrabia spojrział nad głową córki na Murzynkę, z którą mała piła herbatę, i która teraz podniosła się od stołu.

- Co u ciebie, Eugenie? - zapytał.

- Wszystko dobrze, panie. Dzięki, panie.

- Chciałbym, Eugenie, żebyś pomogła się zadomowić mademoiselle Cranleigh i powiedziała jej, gdzie co jest.

- Ja pomagać panience - przytaknęła Eugenie i spojrzała na Melitę.

- Dziękuję ci - powiedziała Melita. - To bardzo miło z twojej strony. - Mówiąc to wyciągnęła do niej dłoń.

Eugenie zamarła w bezruchu ze zdziwienia, a po chwili podała jej rękę i równocześnie złożyła głęboki ukłon.

- Jaki śliczny pokój! - zachwyciła się Melita. - Nigdy nie widziałam tylu zabawek.

- Przywiozłeś mi jakiś prezent, tatusiu? - zapytała Rose - Marie.

- Dzisiaj nie - odparł hrabia. - Chociaż... tak, przywiozłem! Przywiozłem ci mademoiselle Cranleigh!

- To wspaniały prezent - roześmiała się Rose - Marie. - I taki duży!

- Przekonasz się, że twój nowy prezent jest bardzo zajmujący. Mademoiselle potrafi grać na fortepianie i jestem pewien, że jeśli ją zapytasz, okaże się, że umie także tańczyć.

- Lubię tańczyć - ucieszyła się Rose - Marie - ale nie lubię ćwiczyć gam. To nudne. Okropnie nudne!

Melita zauważyła fortepian stojący w drugim końcu pokoju i podeszła do niego. Był to instrument wysokiej klasy.

- Ja też nie znosiłam gam, kiedy byłam w twoim wieku - zaczęła - Mogę ci pokazać, jak się ich nauczyć inaczej.

Rose - Marie wysunęła się z ramion ojca.

- Inaczej? - spytała z ciekawością.

- W piosence.

- W piosence? Jak to...?

Melita rzuciła hrabiemu przepaszające spojrzenie i usiadła na taborecie przy fortepianie. Zdjęła rękawiczki i przebiegła palcami po klawiszach z kości słoniowej. Zagrała pogodną piosnkę skomponowaną z gam, której nauczyła się wiele lat temu; opowiadała ona o dziecku wchodzącym po schodach w czasie pierwszej i schodzącym w dół podczas drugiej gamy.

Zagrała melodię, ale słowa jedynie wyrecytowała, bo wstydziła się zaśpiewać. Jednak nawet tak niewiele wystarczyło, by pobudzić wyobraźnię Rose - Marie i po chwili dziewczynka zawołała:

- Podoba mi się! Bardzo mi się podoba!

- Mogę nauczyć cię tej melodii, żebyś następnym razem potrafiła zagrać ją dla tatusia. Możesz też nauczyć się słów i śpiewać przy muzyce.

- To cudownie, naprawdę wspaniale! Niech pani zagra jeszcze raz, mademoiselle, proszę, niech pani jeszcze zagra!

Melita właśnie miała usłuchać, gdy nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła madame Boisset.

- To niesłychane, co się tu dzieje! Takie hałasy! A w dodatku czas już kłaść Rose - Marie do łóżka. - Mówiła podniesionym głosem; na koniec zwróciła się do Melity: - Mam nadzieję, mademoiselle, że nie zacznie pani pracy od łamania dobrych nawyków, które udało mi się wpoić Rose - Marie. Zdrowie jest w przypadku dziecka rzeczą najważniejszą.

Melita podniosła się z taboretu i stała, nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić w obliczu tak bezpośredniego osobistego ataku.

- Bardzo mi przykro, madame, obawiam się... nie wiedziałam, która jest godzina. - Miała ochotę powiedzieć, że pora jest zbyt wczesna, by ośmioletnie dziecko szło spać, ale

zdała sobie sprawę, iż taka odpowiedź byłaby tylko niepotrzebną prowokacją.

Madame Boisset spojrzała na stół.

- Skończ kolację, Rose - Marie. A pani, mademoiselle, będzie zapewne chciała pójść do swojego pokoju i dopilnować rozpakowania bagaży. Kiedy pani skończy, wydam instrukcje dotyczące nauki Rose - Marie. Jeśli będzie już późno, zaczekamy z tym do jutra rana.

- Ja to zrobię - odezwał się cicho hrabia.

- Ty? - zdziwiła się madame Boisset. - Dlaczego? Dlaczego chcesz się do tego wtrącać?

- Bo tak się złożyło, że Rose - Marie jest moją córką i jak doskonale wiesz, mam bardzo sprecyzowane plany dotyczące jej wykształcenia.

- Ale jeśli ja mam ją wychowywać...

- Robiłaś to, dopóki nie było nikogo innego, kto mógłby się tym zająć - przerwał jej hrabia. - Teraz zaangażowałem mademoiselle Cranleigh i z nią zamierzam omówić edukację Rose - Marie.

- Ty zaangażowałeś mademoiselle - powtórzyła znacząco madame Boisset.

- Dobrze wiesz, że to ja odpowiedziałem na list lady Cranleigh i że to był mój pomysł, by zatrudnić angielską guwernantkę.

- I jak rozumiem, masz także zamiar jej płacić!

- Tak, ja będę jej wypłacał pensję - rzekł monsieur le comte.

Madame Boisset roześmiała się nieprzyjemnie.

- Pewnie z tego, co wygrasz w karty? - zadrwiła. - A co będzie, jeśli przegrasz?

Zaciekle kłótnia tych dwojga sprawiała tak nieprzyjemne wrażenie, że Melita nie zdziwiła się czując, iż stojące przy niej dziecko drży. Podobne sceny musiały zdarzać się wcześniej.

Melita instynktownie schyliła się nad dziewczynką i szepnęła:

- Jak już rozpakuję bagaże, pokażę ci coś, co ci się bardzo spodoba.

W oczach Rose - Marie zabłysła ciekawość.

- Coś zza morza? - spytała. Melita pokiwała głową.

- Z Paryża? - domyśliła się dziewczynka.

- Nie, zgaduj dalej.

- Wiem, z Londynu!

- Zgadłaś! - uśmiechnęła się Melita. Próbowwała się skoncentrować na rozmowie z Rose - Marie, ale nie mogła nie słyszeć, jak madame Boisset mówi do hrabiego pogardliwie:

- Sądziłam, że na dobre nas opuściłeś. Wyjeżdżając mówiłeś, iż nie zamierzasz wracać.

- Zmieniłem zdanie - stwierdził hrabia. - Tu jest mój dom i tu powinienem być.

Zapadła cisza. Potem madame Boisset odezwała się zupełnie innym tonem:

- Mówiłam ci to wiele razy, ale nie chciałeś mnie słuchać.

Melita odniosła wrażenie, że hrabia unika wzroku madame. Zwrócił się do Rose - Marie:

- Chodź, zabiorę cię na spacer do ogrodu. Pokażesz mi kwiaty przy fontannie. Kiedy oglądaliśmy je trzy dni temu, były jeszcze zamknięte w pączkach, teraz chyba się już całkiem rozwinęły.

- Tak! Tak! Chodźmy, chodźmy! - wykrzykiwała Rose - Marie podekscytowana.

Złapała go za rękę i pociągnęła do drzwi.

- Rose - Marie powinna już iść do łóżka - powiedziała madame Boisset, ale w jej głosie nie było już tego rozkazującego tonu co wcześniej.

- Nie zajmie nam to dużo czasu, Josephine - odparł spokojnie hrabia.

Ojciec z córką wyszli z pokoju i Melita słyszała, jak Rose - Marie szczebiocze idąc przez korytarz.

- To dziecko trzeba wziąć w karby - stwierdziła madame Boisset. - Zdaje się, Eugenie, że pobłażałaś jej jak zwykle. - Popatrzyła na stół uważnie, jakby usiłowała znaleźć jakiś dowód przestępstwa. - Kazałam kucharzowi przysłać jej prosty posiłek. To zbyt wykwintne jedzenie dla dziecka w jej wieku.

- La petite m'mselle nie chce jeść, co nie lubić, madame.

- To trzeba ją zmusić - oznajmiła kategorycznie madame Boisset - i spodziewam się, że pani tego dopilnuje, mademoiselle.

Obdarzyła Melitę spojrzeniem, które mówiło wyraźnie, że byłaby bardzo zdziwiona, gdyby dziewczyna potrafiła dopilnować czegokolwiek, i wyszła z pokoju.

Melita spojrzała na czarnoskórą kobietę i spostrzegła, że Eugenie się uśmiecha.

- Panienka iść ze mną, ja pokazać sypialnię. Ja pomóc rozpakować, ale ja myśleć Jeanne już zacząć. Kufry przyjechać więcej niż godzina temu.

Eugenie miała rację.

Kiedy zaprowadziła Melitę do sąsiedniego pokoju, okazało się, że jest on zastawiony kufkami, a dwie pokojówki wyjmują z nich suknie Melity i jej rzeczy osobiste.

- Panienka przywieźć dużo rzeczy - zauważyła Eugenie.

- Przyjechałam z daleka - wyjaśniła Melita - i nie mogłam zostawić moich skarbów.

- My opiekować się panienką i sprawić, że panienka być szczęśliwa na Martynice.

Eugenie złożyła tę obietnicę z takim zapalem, że Melita aż się roześmiała.

- Mam nadzieję, Eugenie, że mi pomożesz. Z przyjemnością zajmę się Rose - Marie, ale będę potrzebowała



twoich rad; musisz mi powiedzieć, o której mała wstaje i kiedy jada posiłki. Mam na ten temat własne zdanie, ale nie chciałabym irytować madame bardziej niż to konieczne.

- Madame!

W jednym słowie zabrzmiało nieprawdopodobne bogactwo uczuć, a jeszcze Eugenie poparła je gestem rąk, który powiedział równie wyraźnie jak słowa, że nie można zadowolić madame, choćby człowiek starał się ze wszystkich sił.

„Dlaczego madame jest taka nieprzyjemna? - zastanawiała się Melita. - I dlaczego atakuje hrabiego bez żadnego pardonu? A w dodatku w obecności służby!”

Była pewna, że jej matka nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie zachowanie, i widziała, jak zły wpływ miało ono na Rose - Marie. Dawno już przeczuwała, że jej praca nie będzie łatwa i teraz żałowała, że jest taka niedoświadczona i słabo przygotowana. Jednocześnie dobrze było mieć świadomość, iż hrabia pomoże jej zawsze, kiedy będzie tego potrzebowała.

Zdjęła czepeczek i płaszcz i z ulgą spostrzegła, że śliczna suknia z woalu, którą sama sobie uszyła, nie pogniotła się mimo długiej podróży.

Poprawiła włosy i zwróciła się do Eugenie:

- Jak sądzisz, co powinnam teraz zrobić?

- Panienska iść i poszukać w ogrodzie monsieur le comte i la petite m'mselle. Kiedy pan się zmęczyć zabawą, panienska zabrać la petite m'mselle. Potem panienska i ja położyć ją spać.

- Dziękuję, Eugenie.

Zeszła do hallu i tam odnalazła wyjście prowadzące do ogrodu. Nie widziała ich, ale słyszała śmiech Rose - Marie i głęboki głos jej ojca.

Stała na końcu zielonego trawnika, na wpół ukryta za bujnymi krzewami o obsypanych kwiatami gałązkach. Przed nią roztaczał się widok zapierający dech w piersiach.

Patrzyła z góry na rozległą plantację, a jakieś pół kilometra dalej połyskiwała błękitna toń morza zamknięta niewyraźnym horyzontem.

Dziewczyna długo stała bez ruchu czując, że nie może pójść nigdzie dalej, dopóki ten cudowny widok nie wryje się jej w pamięć na zawsze.

Rose - Marie rozgarnęła ukwiecone gałązki i zobaczyła Melitę.

- Mademoiselle! - wykrzyknęła. - Niech pani zobaczy, co znaleźliśmy z tatą.

Wzięła Melitę za rękę i omijając krzewy poprowadziła nad brzeg strumienia, gdzie siedziała wyjątkowo duża zielona żaba.

Hrabia podniósł wzrok i Melita poczuła, że monsieur le comte patrzy na jej włosy. Ucieszyła się, że kiedy zdjęła czepeczek, poprawiła uczesanie i rozpuściła loki po obu stronach twarzy. Ponieważ włosy miała długie i bardzo gęste, zwinęła je w kok i spięła z tyłu głowy. Fryzura ta sprawiała, że szyja Melity wydawała się jeszcze dłuższa i delikatniejsza, a przy tym podkreślała piękne trzymanie głowy, co nie było tak oczywiste, gdy Melita nakładała kapelusz.

Hrabia patrzył na nią. Melita nie byłaby kobietą, gdyby nie pochwyciła błysku uwielbienia w tym spojrzeniu.

- Tu jest żaba, mademoiselle! - wykrzykiwała Rose - Marie. - Taka ogromna żaba! Tatuś mówi, że może się zamienić w księcia z bajki!

- Wydaje mi się, że jest zupełnie szczęśliwa w swej własnej postaci - powiedziała Melita. - I jeśli dobrze poszukasz, to pewnie gdzieś tu znajdziesz mnóstwo maleńkich żabich dzieci.

- Och, tak, tak! Poszukam! - Rose - Marie pobiegła w dół strumienia, zaglądając pod kamienie.

- Co pani myśli o mojej córce? - zapytał hrabia.

- To rozkoszne dziecko.

- Ja też tak uważam. Nie chcę jej uczyć rzeczy, których nie powinna umieć, pragnę, żeby zachowywała się naturalnie.

Melita spojrzała na niego. - Co pan ma na myśli? Hrabia milczał jakiś czas.

- Moja żona - odezwał się wreszcie - była ujmująca i pełna słodyczy. Każdy w tym domu i w tym majątku robił wszystko, żeby sprawić jej przyjemność. Wszyscy chętnie spełniali każde jej życzenie. Nie trzeba było nikogo zmuszać, by wypełniał jej polecenia.

„Nie musi mówić, kto zachowuje się w zupełnie odmienny sposób” - pomyślała Melita.

- Chcę - ciągnął hrabia - żeby Rose - Marie była w tym podobna do swojej matki.

- Uczynię wszystko, co leży w mojej mocy - przyrzekła Melita.

I zaraz dodała bezwiednie:

- Chociaż... to może być trudne.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział hrabia - jednak polegam na pani. Może powinienem to ująć jaśniej: mam do pani zaufanie, mademoiselle, i będę pani pomagał w każdy możliwy sposób.

- Bardzo dziękuję - odparła Melita - tylko... nie chciałabym być przyczyną jakichkolwiek... kłopotów.

- Dopóki w Vesonne - des - Arbres istnieje taka, a nie inna sytuacja, kłopotów nie da się uniknąć - odparł hrabia. - Ale chciałbym, by nie zwracała pani na nie uwagi i robiła to, co według pani będzie dla Rose - Marie najlepsze.

- Zrobię, co będę mogła - przyrzekła Melita. Były to proste słowa, lecz Melita czuła, że są tak samo ważne, jakby złożyła uroczystą przysięgę.

Popatrzyła na hrabiego, na zarys ciemnych włosów na tle błękitnego nieba. Jego oczy raz jeszcze pochwyciły jej spojrzenie.

Melita czuła drgające w powietrzu napięcie i przyśpieszone bicie własnego serca. Z ogromnym trudem zdołała oderwać wzrok od źrenic hrabiego. Wstała i po zielonej trawie poszła śladem Rose - Marie szukającej żabich dzieci między kamieniami.

- Nie ma małych żabek - odezwała się dziewczynka ze smutkiem. - Ani jednej!

- Poszukamy ich jutro - obiecała Melita. - Teraz trzeba wracać do domu. Eugenie z pewnością już na nas czeka.

- Tatuś wróci z nami? Melita obejrzała się przez ramię.

Hrabia stał nieruchomo w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą rozmawiali. Wzrok utkwiał w twarzy Melity, a w jego oczach malowało się uczucie, którego nie śmiała nazwać po imieniu.

### ROZDZIAŁ 3

Kiedy Melita dawała Rose - Marie śniadanie w pokoju lekcyjnym, przez okno sączyły się promienie słońca. Na stole stała kryształowa misa wypełniona owocami, których Melita nie kosztowała nigdy w życiu.

Zaraz po przebudzeniu dziewczyna z radością spostrzegła, że z okien jej sypialni roztacza się ten sam zapierający dech w piersiach widok, który ujrzała poprzedniego wieczoru na spacerze w ogrodzie. Niebo i morze miały kolor lazuru, a plantacja tak żywej zieleni, że Melicie trudno było uwierzyć w realność tego krajobrazu.

Po śniadaniu Rose - Marie spytała bojaźliwym głosem:

- Ciocia Josephine powiedziała, że dziś rano będziemy miały prawdziwe lekcje. Czy to będzie coś bardzo trudnego?

Melita pomyślała, że madame Boisset zdecydowanie robi wszystko, by zniechęcić do niej dziewczynkę.

Zrozumiała też, że pomysł zatrudnienia angielskiej guwernantki musiał się spotkać ze sprzeciwem madame, już choćby z tego powodu, że pochodził od monsieur le comte.

Sytuację pogarszał fakt, że Melita przyjechała na plantację bryczką hrabiego oraz to, że była młoda, ładna i pełna dziewczęcego wdzięku. I nie miała nic wspólnego z postacią srogiego żandarma, którym madame próbowała straszyć Rose - Marie.

Melita uśmiechnęła się do dziecka mile i powiedziała:

- Mam pomysł. Ponieważ jestem tutaj pierwszy dzień, może dzisiaj ty udzielisz mi lekcji.

- Jak to? - zdziwiła się Rose - Marie.

- Cóż, na początek mogłabyś oprowadzić mnie po Vesonne - des - Arbres, wyjaśnić, co się mieści w każdym z budynków, i pomóc mi poznać ogród.

- Wspaniały pomysł! - zgodziła się dziewczynka podskakując z radości. - Ale czy to będzie prawdziwa lekcja?

- Będziemy mogły się czegoś nauczyć. Powiem ci, jak po angielsku nazywają się różne rzeczy, a ty spróbujesz to zapamiętać. Na przykład czy wiesz, jak brzmi "Vesonne - des - Arbres" po angielsku?

- Tak, wiem - powiedziała szybko Rose - Marie. - Tatuś mi mówił. To jest Vesonne of the Trees.

- Bardzo dobrze! Jeśli zapamiętasz jeszcze kilka angielskich słów, kiedy następnym razem zobaczysz tatę, będziesz mogła pochwalić się, jaka jesteś mądra.

Rose - Marie była uszczęśliwiona tym pomysłem. Obie z Melitą wyszły w słoneczny blask, trzymając się za ręce.

Tego ranka madame Boisset nie pojawiła się jeszcze na dole i Melita była z tego bardzo zadowolona. Miała nadzieję, że madame nie dojrzy, jak uciekają do ogrodu, bo wtedy najpewniej odesłałaby je z powrotem do pokoju.

Rose - Marie miała na głowie słomkowy kapelusz z zawiązaną pod brodą różową kokardą. Melita zaś uznała, że wyglądałaby zbyt sztywno w którymkolwiek ze swoich czepeczków, wzięła więc ze sobą parasolkę, by osłonić jasną cerę przed palącymi promieniami słońca.

Na początek Rose - Marie zaprowadziła Melitę do kaplicy.

Zbudowano ją z szarego kamienia, tak że z zewnątrz robiła wrażenie prostej i surowej. Kiedy Melita weszła do środka, zobaczyła, że prezbiterium zdobiły barwne freski, a na rzeźbionym, bogatym ołtarzu stało sześć świeczników. Przed figurami świętych migotały płomyki świec. W powietrzu unosił się zapach kadzidła.

- Czy są tu odprawiane msze? - spytała Melita.

- W każdą niedzielę przyjeżdża ksiądz z Basse - Pointe - odpowiedziała Rose - Marie. - Niewolnicy prócz tego modlą się codziennie o piątej po południu. Tak każe ciocia Josephine.

- Codziennie? - powtórzyła Melita zdziwiona. Rose - Marie skinęła główką i dodała:

- Ona mówi, że mają nikczemne czarne dusze i muszą się modlić więcej niż inni ludzie.

Melita pomyślała, że właśnie takich przesądów spodziewałaby się po madame Boisset, ale miała wystarczająco dużo rozwagi, by jej nie krytykować w obecności Rose - Marie, więc tylko odezwała się łagodnie:

- Nie sądzę, żeby Bóg zwracał uwagę na kolor skóry człowieka. On kocha nas wszystkich.

- Mnie nie zawsze kocha - powiedziała Rose - Marie. - Nie kocha mnie, kiedy jestem niegrzeczna.

- Kocha cię także wtedy - tłumaczyła Melita - ale jest rozczarowany i trochę smutny, jeśli nie zachowujesz się tak, jak powinnaś.

Rose - Marie wsunęła rączkę w dłoń Melity.

- Chce pani poznać mój sekret? - spytała. - Nie zdradzi go pani cioci Josephine?

- Nie zdradzę - obiecała Melita.

- Myślę, że Boga trzeba się bać - zwierzyła się Rose - Marie. - On ciągle patrzy, co robimy, i uważa, że trzeba nas ukarać.

- To nie jest tak - sprzeciwiła się Melita. - Przeczytam ci książkę, którą przywiozłam ze sobą z Anglii, i wtedy się przekonasz, że Bóg bardzo dba o każde żywe stworzenie, nawet o najmniejszego ptaszka. Jeśli popełniamy błędy, On je nam wybacza i zapomina o naszych winach.

- Naprawdę?

- Przysięgam ci, że to najprawdziwsza prawda. Bóg nas kocha, jest wyrozumiały i zawsze chce nam pomagać, kiedy mamy kłopoty albo jesteśmy w niebezpieczeństwie. - Opowiedziała Rose - Marie o tym, jak w drodze z Anglii napotkali groźny sztorm i jak wszyscy pasażerowie modlili się, myśląc, że statek zatonie. Wkrótce wiatr zaczął przycichać i morze stało się mniej burzliwe.

- Czy to Bóg uciszył sztorm? - spytała Rose - Marie.

- Tak, On to zrobił - odparła Melita z przekonaniem.

Zauważyła, że w główce dziecka zbudziły się zupełnie nowe myśli, ale wiedziała, że czas zmienić temat.

- Co mi teraz pokażesz? - spytała.

- Zaprowadzę panią do mojego przyjaciela - zdecydowała Rose - Marie. - Jest bardzo mądry i robi dla mnie śliczne lalki. Chyba teraz też dostanę nową.

- Chodźmy więc - zgodziła się Melita. Spozrzegła, że Rose - Marie ukradkowo spogląda przez ramię, i odniosła wrażenie, że ten przyjaciel, kimkolwiek jest, nie cieszy się przychylnością madame Boisset.

Jednak najważniejsze było zdobycie zaufania Rose - Marie, więc nic nie mówiąc podążyła za dziewczynką do baraków niewolników.

Po obu stronach trawiastej alei ciągnęły się kamienne chaty. Było ich kilkanaście i wszystkie identyczne. Kiedy Melita i Rose - Marie podeszły bliżej, za domami zobaczyły gromadkę czarnoskórych dzieci. Maluchy śmiały się i dokazywały na trawie, lecz w chwili gdy ujrzały Melitę, natychmiast zapanowała cisza; wszystkie dzieci - nawet te najmniejsze - usiadły, zamarły w bezruchu i wpatrywały się w dziewczynę czarnymi oczyma.

Rose - Marie poszła szybko do trzeciej chaty po prawej stronie alei. Przed tą chatą nie bawiły się dzieci, a drzwi były szeroko otwarte. Dziewczynka weszła bez pukania.

Z ciemnego kąta wychynęła stara Murzynka o pooranej zmarszczkami twarzy i ostrym, badawczym spojrzeniu ciemnych oczu. Rose - Marie zwróciła się do niej władcym tonem:

- Chcę porozmawiać z Philippem, Leonore!

- On być na dworze, m'mselle Rose - Marie, za chatą. On lubić spokój, kiedy pracować.



- Robi dla mnie lalkę? - upewniła się Rose - Marie podeksycytowana.

- Tak, m'mselle.

- Pójdę do niego.

Dziewczynka odwróciła się i miała zamiar wyjść z chaty, lecz Melita stała nieporuszona. Przeraziło ją ubóstwo tego domu.

Całą podłogę zajmowały słomiane maty do spania rozłożone tuż obok siebie. Poza tym stały tam dwa czy trzy połamane krzesła i stół, a pod jedną ze ścian umieszczono prymitywną kuchnię, na której widać było kilka żelaznych garnków. Było tu wprawdzie czysto i schludnie, ale Melita nigdy sobie nie wyobrażała, że ludzie mogą żyć w takiej nędzy, bez jakichkolwiek osobistych drobiazgów.

- Dzień dobry - zwróciła się do Leonore. - Nazywam się Melita Cranleigh, jestem guwernantką Rose - Marie.

Jej przyjazny ton wywołał uśmiech na twarzy starej kobiety.

- Panienska przybywać z za morza. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Przyplłynęłam statkiem z Anglii - odpowiedziała Melita.

- Bardzo mi się podoba na Martynice.

Staruszka pokiwała głową.

- To dobrze ty być tutaj, bardzo dobrze.

Melita wprawdzie nie zrozumiała, co Murzynka miała na myśli, ale jej słowa zabrzmiały tak stanowczo, że odniosła wrażenie, jakby zawierały jakiś głębszy sens.

Nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo Rose - Marie pociągnęła ją za rękę.

- Chodźmy już, mademoiselle, chodźmy szybko! - zawołała. - Chcę iść do Philippe'a!

Melita pozwoliła się wyprowadzić na zewnątrz. Obie obeszły chatę i w jej cieniu znalazły przyjaciela Rose - Marie.

Chłopiec miał mniej więcej szesnaście lat. Był kaleką, nie miał jednej nogi. Siedział na ziemi; obok niego leżała kula, a przed nim kupka liści.

- To jest Philippe - przedstawiła go podekscytowana Rose - Marie.

Chłopiec uśmiechnął się do niej.

- Zrobiłeś już moją lalkę? - spytała dziewczynka niecierpliwie.

Pokiwał głową i uniósł w dłoniach jakiś przedmiot.

Melita ujrzała prawdziwie cudną lalkę. Figurka miała około pół metra wysokości i ubrana była w suknię o najpiękniejszych kolorach na świecie.

Rose - Marie powitała ten podarunek okrzykiem zachwyty.

- Jest śliczna, Philippe, jest taka śliczna! Najpiękniejsza ze wszystkich, jakie dla mnie zrobiłeś. Ogromnie mi się podoba! - Ujęła lalkę w obie ręce i zaprezentowała ją Melicie.

- Niech pani spojrzy, mademoiselle, jaka piękna! Jak ją nazwać?

Melita przyjrzała się lalce bliżej i ku swemu zdumieniu odkryła, że suknia, podobnie jak nakrycie głowy, zrobiona jest z liści.

- To liście! - wykrzyknęła. - Cóż za wspaniały pomysł! Philippe, jak ty to robisz?

Philippe nie odpowiedział. Uśmiechał się tylko.

- On jest niemową - wyjaśniła Rose - Marie - ale wszystko rozumie. - Powiedziała to całkiem zwyczajnie, lecz Melita miała przez chwilę trudności ze znalezieniem odpowiednich słów.

Popatrzyła na to, co Philippe trzyma! w dłoniach, i zdała sobie sprawę, że chłopiec pracuje nad następną lalką.

- Pokażesz mi, jak to robisz? - spytała. - Jesteś bardzo zręczny.

- Tak, on jest bardzo zręczny - obwieściła Rose - Marie z dumą. - Niech pani spojrzy, mademoiselle, twarz także jest z liścia! Kiedy robi lalkę podobną do mnie, używa białego liścia, a kiedy taką jak on, znajduje liść brązowy jak jego skóra.

„Ta lalka jest rzeczywiście niezwykła” - pomyślała dziewczyna.

Philippe zrozumiał, że Melita czeka, by pokazał jej, jak pracuje, więc wziął liść młodej palmy kokosowej i uformował z niego najpierw głowę, potem tułów i resztę figurki. Następnie za pomocą długiego szpikulca, który przypominał Melicie drut do robótek ręcznych, złączył wszystkie elementy. Potem szybko zebrał liście leżące obok i zaczął okrywać nimi korpus lalki, owijając je wokół głowy i ramion i przytwierdzając szpilkami.

- To ja przyniosłam mu szpilki - pochwaliła się Rose - Marie. - Poprosiłam tatusia i kupił mi je w Saint - Pierre.

Melita patrzyła zafascynowana na ciemne palce chłopca, poruszające się ostrożnie i z zadziwiającą wprawą. Głowa lalki została ozdobiona liściem podobnym do chusty, jakie czarnoskóre kobiety okręcają wokół włosów. Ramiona zyskały okrycie z zielono - czerwonego pędu, a talia została owinięta szarfą do złudzenia przypominającą purpurowy jedwab. Chłopiec zrobił lalce ręce ze skreconych liści, a po chwili, warstwa po warstwie, powstała spódnica, zupełnie taka sama jak sztywne halki, które Melita nosiła pod muślinową suknią.

Philippe pracował tak szybko i zręcznie, że Melicie trudno było uwierzyć własnym oczom. Kiedy skończył, Rose - Marie krzyknęła z zachwytem.

- Jaka ona piękna! Philippe, czy ta też jest dla mnie?

Chłopiec przecząco potrząsnął głową.

- Nie? - Usta Rose - Marie wygięły się w podkówkę.

- Masz już nową lalkę - odezwała się Melita.

- Myślę, że Philippe przyrzekł tę drugą komuś innemu. Nie możesz być zachłanna. Nie należy oczekiwać dwóch prezentów jednego dnia.

- To prawda - zgodziła się Rose - Marie. - Dziękuję ci, Philippe. Bardzo mi się podoba moja lalka. Wymyślę dla niej wyjątkowe imię. - Podniosła wzrok na Melitę. - Może kiedyś Philippe zrobi lalkę podobną do pani, mademoiselle. Wtedy będziemy mogły nazwać ją Melita. Ta ma ciemną skórę, więc nie może być panią, prawda?

- Będzie mi bardzo miło, jeśli Philippe zechce zrobić lalkę podobną do mnie. - Melita uśmiechnęła się do chłopca i wraz z Rose - Marie, tulącą nową zabawkę w ramionach, skierowała się w stronę domu.

- Jak długo możesz się bawić taką lalką? - zagadnęła dziewczynkę. - Kiedyś przecież liście muszą zwiędnąć.

- Dwa, a czasem nawet trzy tygodnie - odpowiedziała Rose - Marie. - Kiedy liście uschną i zaczną brzydko pachnieć, Philippe zrobi mi nową.

- A czy ty dałaś kiedyś Philippe'owi jakiś prezent? - spytała Melita, myśląc o pustej chacie, w której mieszkał chłopiec.

Rose - Marie potrząsnęła główką.

- Ciocia Josephine by mi nie pozwoliła - westchnęła ze smutkiem. - Chciałam dać dzieciom niewolników trochę swoich zabawek, którymi już się nie będę bawić, ale ona powiedziała: „Nie. Są niewolnikami i nie wolno ich rozpuszczać.”

„To do niej pasuje.” - Melita o mały włos nie wyrzekła tego głośno.

Wiedziała, że jeszcze za wcześnie, by zadawać kłam twierdzeniom madame Boisset czy próbować zmieniać polecenia, jakie wydawała dziewczynce. Zrozumiała teraz, co

miał na myśli hrabia mówiąc, że godzi się na wiele rzeczy, które uważa za niesłuszne.

„Nie będzie mi tu łatwo” - pomyślała.

Niespodziewanie poczuła strach przed madame Boisset; napawał ją lękiem jej ostry głos i twarde, badawcze spojrzenie.

- Teraz pokażę ci cukier - odezwała się Rose - Marie.

Zostawiły za sobą chaty niewolników i stąpając po trawie poszły w stronę wysokiego budynku z wodnym kołem; tam miażdżono trzcinę cukrową.

We wnętrzu młyna wrzała praca. Melita, prowadzona przez Rose - Marie, przeszła przez otwarte drzwi i ujrzała wielką miedzianą kadź, w której gotowano sok z trzciny cukrowej.

Nadzy do pasa niewolnicy mieszały gęstą ciecz nad paleniskiem. Powietrze przesycone było wonią cukru, panował trudny do zniesienia upał. Wokół rozbrzmiewał gwar ludzkich głosów i szmer nieustannej krzątaniny. Melita stała oszołomiona. Niespodziewanie tuż za nią ktoś powiedział:

- Chciała pani zobaczyć, jak ogromnego potrzeba trudu, żeby mogła pani wrzucić kawałek cukru do filiżanki herbaty?

To był monsieur le comte. Melita usłyszała w jego głosie kpiącą nutę, jakby bawiło go jej zdumienie i zaskoczenie tym niezwykłym widokiem.

- Niech mi pan to wszystko objaśni - poprosiła zwyczajnie.

Milczał przez chwilę, przypatrując się niewolnikom pracującym przy miedzianej kadzi.

- Cukier ściągnął na te wyspy przekleństwo niewolnictwa. Pewnie pani wie, że to Krzysztof Kolumb ze swojej drugiej podróży, w 1493 roku, przywiózł na Santo Domingo trzcinę cukrową?

- Tak, wiem.

- Roślina się przyjęła, więc rozciągnięto jej uprawę na Kubę i pozostałe wyspy. Ponieważ jednak na miejscu nie było dość siły roboczej, pewien hiszpański kapłan wpadł na pomysł, by kupować w Afryce Murzynów sprzedawanych przez Portugalczyków i sprowadzać ich jako niewolników do Indii Zachodnich.

- Duchowny?! - wykrzyknęła Melita z niedowierzaniem.

Przypomniały jej się opowieści o tym, z jakim okrucieństwem traktowano niewolników, jak pozbawiano ich wszelkiej własności, jak ich torturowano. Ojciec opowiadał jej, ile cierpień zadawali tym ludziom handlarze żywym towarem uprowadzający ich z rodzinnej ziemi.

- Pewien Holender - ciągnął hrabia - nauczył angielskich plantatorów na Barbadosie budować wielkie młyny miażdżące trzcinę cukrową i warzyć sok, żeby go skryształizować, w miedzianych kadziach - takich jak ta.

- Czy to trudne? - spytała Melita.

- Właściwie nie. Najważniejsze, by przetwarzać trzcinę zaraz po ścięciu.

Melita przez kilka chwil przyglądała się pracującym. Potem westchnęła:

- Tyle lat trwa ludzkie cierpienie i wszystko jedynie po to, by uzyskać słodką substancję, którą można dodać do herbaty albo do konfitur.

- Ma pani rację - rzekł hrabia poważnie. - Wielki podziw budzi we mnie hart ducha tych ludzi, którzy po tylu latach ciężkiej próby nadal potrafią się śmiać, śpiewać, tańczyć i mieć nadzieję.

- Nadzieję na odzyskanie wolności? - zapytała Melita. - Przecież nawet wolność nie pozwoli im wrócić na rodzinny ład.

- To prawda - zgodził się hrabia.

W tej chwili, jakby dla zobrazowania jego słów, kilku robotników przy miedzianej kadzi zaczęło śpiewać. Melodia nucona niskimi głosami brzmiała dokładnie tak, jak powinna według wyobrażeń Melity brzmieć pieśń Murzynów.

Przez parę unoszącą się znad miedzianych kadzi dziewczyna widziała połyskujące białe zęby i pot ściekający z nagich piersi i ramion.

Pieśń miała w sobie coś zaraźliwego; w niedługim czasie niemal wszyscy podchwycili melodię, której potężne tony wkrótce uniosły się pod sam dach.

Aż nagle zapadła cisza, zupełnie jakby ktoś zatrzasnął okiennice przed słonecznym blaskiem. Nadzorcy, jeden po drugim, zaczęli wykrzykiwać rozkazy i złowieszczo strzelać batami.

Melita zdumiona spojrzała na hrabiego oczekując wyjaśnień. Wówczas zorientowała się, że w drzwiach za ich plecami pojawiła się madame Boisset.

Ubrana była w czerwoną suknię, a na ciemnych włosach miała słomkowy kapelusz.

- Widzę, Etienne - odezwała się opryskliwie - że zachęcasz ludzi, by tracili czas na śpiewy, zamiast wykorzystać go na pracę.

- Wręcz przeciwnie - odparł chłodno monsieur le comte. - Zawsze uważałem, że ludzie szczęśliwi pracują lepiej i szybciej niż ponurzy i cisi.

- To jest tylko twoja opinia, ja się z nią nie zgadzam - stwierdziła madame Boisset pogardliwie.

Podeszła do jednego z nadzorców i Melita usłyszała, jak rozmawia z nim ostrym tonem. Zauważyła, że niewolnicy pracujący opodal odsunęli się nieco, jakby już czuli na plecach smagnięcia bata.

Hrabia odwrócił się raptownie i wyszedł z młyna.

Rose - Marie dopiero po chwili zorientowała się, że jej ojciec zniknął. Pobiegnęła za nim, a Melita pośpieszyła w jej ślady.

Nie zdążyły.

Kiedy wybiegły z młyna, zobaczyły, jak hrabia, pięćdziesiąt metrów przed nimi, wskakuje na grzbiet osiodłanego konia przytrzymywanego przez młodego Murzyna.

- Tatku! Tatusiu! - krzyknęła Rose - Marie. - Zaczekaj na mnie!

Ale on już pognał wierzchowca. Końskie kopyta wzbijały w powietrze obłoczki kurzu. Bez wątplenia hrabia chciał być jak najdalej stąd.

„I nie sposób go za to winić” - pomyślała Melita.

Mogła sobie wyobrazić, jak przykry musiał być dla niego fakt, że madame Boisset nieustannie podawała w wątpliwość wszystko, co zrobił czy powiedział. Dlaczego jej na to pozwalał? Przecież skoro nosił tytuł hrabiego de Vesonne, plantacja z pewnością stanowiła jego własność.

Dziewczyna rozmyślała o tym, gdy Rose - Marie prowadziła ją do koła wodnego, a potem do długiego budynku magazynu, który Melita widziała przejeżdżając wczoraj.

Tutaj uzyskany wcześniej cukier pakowano do beczek i w ten sposób przygotowywano do przewiezienia na statki czekające w przystani w Saint - Pierre, skąd płynął do sklepów na całym świecie.

- O której godzinie niewolnicy zaczynają pracę? - spytała Melita jednego z nadzorców, który pilnował Murzynów przetaczających beczki.

- Dokładnie o szóstej rano, panienko - odpowiedział.

- A kiedy ją kończą?

- O zmierzchu.



- To długi dzień pracy - zauważyła Melita. Zastanawiała się, ilu spośród tych ludzi jest chorych z wyczerpania, ale nie śmiała zadawać więcej pytań. Przypomniała sobie, jak ojciec opowiadał jej o ogromnej śmiertelności wśród niewolników transportowanych z wybrzeży Afryki do Brazylii, na tereny hiszpańskich kolonii, na wyspy Morza Karaibskiego i do Ameryki Północnej.

Nikt się nigdy nie dowie, ile tego „towaru” zmarło lub popełniło samobójstwo podczas transportu.

- Niewolnicy płynęli w niewyobrażalnej ciasnocie - opowiadał ojciec - ręce i nogi skuwano im kajdanami i po dwóch przytwierdzano do specjalnych metalowych pierścieni zamocowanych do pokładu.

- Och, tatusiu, to straszne! - wykrzyknęła Melita.

- Niekiedy pozostawali pod pokładem dwa, nawet trzy dni bez przerwy. Wielu z nich się po prostu dusiło z braku świeżego powietrza. Co dziesiąty umierał w drodze.

Rose - Marie miała Melicie jeszcze wiele do pokazania. Odwiedziły zamknięte w klatce małpki, które dziewczynka nakarmiła bananami i orzechami, a potem oglądały dużą wolierę z papugami schwytanymi w dżungli. Melitę zachwyciło ich błyszczące upierzenie, długie ogony i bystre, patrzące bez mrużenia powiek oczka.

Kiedy oddaliły się nieco od ogrodu, Melita zdała sobie sprawę, że nadeszło już południe i pora wracać na obiad. Skierowały się w stronę domu. Melita wprawdzie cały czas rozmawiała z Rose - Marie, jednak nie mogła uwolnić się od pytania, dokąd pojechał hrabia i czy spotka go w czasie posiłku.

Monsieur le comte pojawił się, gdy kończyły pierwsze danie.

Przeprosił madame Boisset za spóźnienie, a ona zwróciła się do niego ostrym tonem:

- Mam nadzieję, Etienne, że nie straciłeś całego przedpołudnia, tak jak twoja córka. Wydawało mi się, że przy tych wszystkich kosztach i kłopotach związanych ze sprowadzeniem guwernantki, ta osoba mogłaby przysiąc fałdów i zabrać się do ułożenia programu nauki dla Rose - Marie.

Melita zdecydowała się nie odpowiadać, za to rozległ się głosik dziewczynki:

- Nauczyłam się dzisiaj wielu angielskich słów! Sugar, doll i... i parrot!

- Wspaniale! - pochwalił ją hrabia. - Bardzo dobrze, Rose - Marie! Jak sądzisz, czy jutro też będziesz je pamiętała?

- Do jutra nauczę się jeszcze wielu innych! - oznajmiła ufnie dziewczynka.

Madame Boisset nie odezwała się ani słowem, jedynie zmierzyła ich nieprzyjaznym spojrzeniem. Zaczekała, aż służba nałoży hrabiemu posiłek, i spytała prowokująco:

- Czy będę niedyskretna, jeśli zapytam, jak długo zamierzasz zaszczycać nas swoją obecnością? Chociażby jako gospodyni tego domu chciałabym znać twoje plany.

- Szczerze mówiąc, nie mam konkretnych planów - odparł hrabia. - Rozejrzałem się trochę po majątku. Czy wiesz, że większość dachów w barakach niewolników jest w haniebnym stanie? Nie zapewniają najmniejszej ochrony przed deszczem, trzeba je jak najszybciej naprawić.

Madame Boisset obdarzyła go złośliwym uśmiechem.

- A czy ty pomyślałeś o tym, ile będą kosztowały te naprawy i skąd wziąć na to pieniądze?

- Sądzę, choć nie widziałem rachunków, że plony, które już sprzedaliśmy w tym roku, przyniosły niemały zysk.

- Czyżbyś zapomniał, że mamy do spłacenia ogromne długi?

- Chciałbym przejrzeć księgi. Madame Boisset uniosła brwi.

- Skąd to nagle zainteresowanie? - spytała. - W zeszłym roku zachowywałeś się zupełnie inaczej.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zgodził się monsieur le comte - i jestem gotów nadrobić swoje zaniedbania.

- Co za szczęście! - wykrzyknęła drwiąco madame Boisset. - Możemy wspólnie, ramię przy ramieniu, przejrzeć wszystkie rachunki. Będę ci wdzięczna za radę i pomoc, tak jak byłabym wdzięczna zawsze, gdybyś mi je kiedykolwiek zaoferował.

Z przepelnionych ironią słów ziało szyderstwo. Melita dostrzegła, że Rose - Marie przestała jeść i zbladła jak płótno. Najwyraźniej słowny pojedynek między hrabią i madame Boisset miał na dziewczynkę fatalny wpływ. Trzeba było temu przeciwdziałać. Melita postanowiła, że musi o tym porozmawiać z monsieur le comte. Chyba mógł w jakiś sposób powstrzymać tę napastliwość madame Boisset, przynajmniej w obecności dziecka.

- Madame. - odezwała się odkładając sztućce

- Rose - Marie skończyła już jeść, a miała bardzo męczące przedpołudnie. Pójdziemy na górę, żeby mogła wypocząć.

- To pierwsze rozsądne słowa, jakie słyszę z pani ust, mademoiselle - stwierdziła madame Boisset.

- Chciałabym tylko zaznaczyć, że gdyby Rose - Marie spędziła przedpołudnie w pokoju lekcyjnym, tak jak powinna, nie byłaby taka zmęczona. - W jej głosie pojawiły się ostre tony. - Mam nadzieję - ciągnęła - że po sjeście zajmiecie się w końcu nauką. Chciałabym wreszcie zobaczyć jakieś postępy.

Melita nie odpowiedziała, jedynie lekko dygnęła i pomogła Rose - Marie zejść z wysokiego krzesła.

Dziewczynka podbiegła do ojca i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tatusiu, ja cię tak kocham! - wykrzyknęła. - Tak cię kocham! Proszę, zostań z nami.

Hrabia ucałował córkę, ale nie odezwał się nawet słowem.

Melita i Rose - Marie wyszły z jadalni. Kiedy znalazły się już za drzwiami, dziewczynka powiedziała:

- Tak bym chciała, żeby tatuś został tutaj. Ciocia Josephine ciągle go wyrzuca! Sprzecza się z nim, potem tato się złości i jedzie do Saint - Pierre, a ja ciągle się boję, że więcej nie wróci.

- Zawsze do ciebie wróci, kochanie - uspokoiła ją Melita.

- Chcę, żeby ze mną został - upierała się Rose - Marie.

- Myślę, że nie wyjedzie, w każdym razie nie teraz - powiedziała Melita. - Nie musisz sobie tym zaprzętać główki. Spróbuj się trochę zdrzemnąć.

Zaprowadziła Rose - Marie do sypialni usytuowanej tuż obok jej pokoju.

Sypialnia dziewczynki była przestronna, chłodna i pięknie umeblowana. Nad łóżkiem wisiał olejny portret młodej kobiety, bardzo podobnej do Rose - Marie.

- To twoja mama? - spytała Melita. Rose - Marie przytaknęła skinieniem głowy.

- Poszła do nieba. Nienawidzę Boga! - krzyknęła ze złością. - Musi być okrutny, jeśli zabrał mi mamę, choć tak bardzo jej potrzebowałam.

- Opowiesz mi o tym kiedy indziej - uspokajała ją Melita.

- Teraz jesteś zmęczona.

W sypialni pojawiła się Eugenie i zaczęła rozbierać dziewczynkę do snu. Melita patrzyła na obraz.

Bez wątpienia hrabina była piękną kobietą. Portret namalowano z pewnością, gdy była jeszcze bardzo młoda; wyglądała na nim na niewiele starszą od Rose - Marie. Miała

duże, ufne oczy. Artysta przedstawił ją w białej sukni. Szeroki koronkowy szal odsłaniał spadziste ramiona, poniżej smukłej kibici pieniała się suto marszczona spódnica. Włosy miała ciemne, lecz nie czarne; raczej kasztanowe, podobne w kolorze do włosów córki. Zwijały się w loki po obu stronach owalnej twarzy. Oczy także miały kolor brązowy.

Melita oderwała spojrzenie od obrazu słysząc płaczliwy głos Rose - Marie.

- Jestem zmęczona... jestem taka zmęczona!

- Ty spać, ma petite - odezwała się Eugenie. - Jak się obudzić, bawić się znowu.

- Chcę moją lalkę, tę od Philippe'a.

- Przyniosę ci ją - obiecała Melita.

Schodząc na obiad zostawiły lalkę w pokoju lekcyjnym. Melita wiedziała dokładnie, na którym krześle dziewczynka położyła zabawkę. Jednak nie odnalazła jej tam.

Szukała lalki, sądząc, że ktoś ze służby gdzieś ją przełożył lub może Eugenie schowała ją do szafy - ale nowej zabawki nigdzie nie było. W końcu Melicie nie pozostało nic innego, jak wrócić do sypialni Rose - Marie. Dziewczynka już spała. Eugenie położyła palec na ustach i obie wyszły, zamykając za sobą drzwi.

- Nie znalazłam lalki - powiedziała Melita.

- Madame ją zabrać.

- Madame? Dlaczego?

- Nie lubić, jak la petite m'mselle odwiedzać Philippe'a. Ja ostrzec panienkę, ale nie wiedzieć, że m'mselle Rose - Marie pójść tam. Być wielkie zamieszanie, kiedy on ostatnim razem dać lalkę la petite m'mselle.

Rozmawiając weszły do pokoju lekcyjnego.

- Dlaczego? - spytała Melita. - Co złego może być w tym, że ten biedny kaleki chłopiec robi Rose - Marie takie piękne lalki?

- Madame nie pozwalać la petite m'nselle rozmawiać z niewolnikami. Ona mówi: „Jeśli Philippe móc robić lalki, móc pracować w polu.”

- Ależ to niemożliwe!

- On być niepotrzebna gęba do wyżywienia, panienko. Madame chcieć tylko robotników.

- A co na to monsieur le comte? - Musiała zadać to pytanie.

Eugenie milczała przez chwilę.

- Kiedy monsieur się nami opiekować, wszystko być inaczej. Wtedy każdy być szczęśliwy.

Czarnoskóra kobieta nie musiała mówić nic więcej. Melita usłyszała w jej wyrazistym głosie krzyki nadzorców, świst batów i nagłą ciszę, która ucięła śpiew, gdy w rafinerii zjawiała się madame Boisset.

Eugenie spojrzała przez ramię, jakby sprawdzała, czy nikt ich nie słyszy.

- Panienska musieć uważać, bardzo uważać - ostrzegła. - Inaczej madame wyrzucić panienkę z domu.

Melita wstrzymała oddech. Doskonale wiedziała, że o to właśnie chodziło madame Boisset. Chciała odesłać ją z powrotem do Anglii - pod jakimkolwiek pretekstem. I nawet jeśli hrabia będzie chciał uchronić ją przed takim upokorzeniem, mogło się zdarzyć, że byłby bezsilny.

Melita nie chciała wydać się Eugenie wścibska i zbyt dociekliwa. Wyszła z pokoju lekcyjnego i udała się do swej sypialni.

Zorientowała się już, że o tej porze dnia będzie miała czas dla siebie. Wiedziała, że najrozsądniej byłoby położyć się do łóżka i poczytać którąś spośród książek przywiezionych z domu. Właściwie nawet cieszyła się, że będzie mogła sięgnąć do tych, które zapakowała w kufry i których nie mogła czytać w czasie podróży.

Jednak lęk przed przyszłością nie dawał jej odpocząć. Myśli kłębiły się jej w głowie, była smutna i zdenerwowana. Przez jakiś czas chodziła po swoim pokoju w tę i z powrotem, aż wreszcie zdecydowała się wyjść do ogrodu.

Miała wrażenie, że madame Boisset udała się już na sjęstę, a i hrabia, jak wszyscy w tropikach, z pewnością także odpoczywał o tej porze. Tak więc nikt nie mógł jej zobaczyć, kiedy przemknęła się po schodach i wyslizgnęła tylnymi drzwiami prowadzącymi do ogrodu.

Na zewnątrz panował taki upał, że słońce paliło nawet przez jedwabną parasolkę. Przecięła trawnik śpiesząc pod osłonę drzew rosnących za kwitnącymi krzewami, wśród których Rose - Marie znalazła wielką żabę.

Poprzedniego wieczoru była zbyt oszołomiona towarzystwem hrabiego, by uważniej rozejrzeć się wokół, i dopiero teraz zauważyła, że tam, gdzie kończył się wypielęgnowany ogród, zaczynał się dziki, wielobarwny przepych. Wszędzie dookoła rosły drzewa owocowe, tak że wreszcie zrozumiała, dlaczego to miejsce nosiło miano „Vesonne - des - Arbres”.

Rozpoznała kwiaty na drzewach awokado, wiśni i mango, ale wokół rosło wiele innych, których nie umiała nazwać; szczególnie jedno zachwyciło ją swoją urodą - nigdy w życiu nie widziała, a nawet nie wyobrażała sobie czegoś tak pięknego. Różowobiałe kwiaty nie miały owalnych płatków, lecz składały się z maleńkich postrzępionych szyszeczek, miękkich i delikatnych jak puch anielskich skrzydeł. Był to widok tak piękny i niezwykły, że Melita przystanęła pod drzewem urzeczona, przyglądając mu się z odchyłoną do tyłu głową, co uwydatniało piękną linię jej szyi.

Wyglądała tak ślicznie, tak zwiewnie, że nieomal sama stanowiła część kwiecica, a mężczyzna, który ją ujrzał,

oczarowany stał przez chwilę bez ruchu, zanim się do niej zbliżył.

Choć go nie widziała, wyczuła jego obecność.

Nie poruszyła się. Stała z uniesioną głową, a słoneczny blask kładł na jej sukience świetliste plamy i migotał w jasnych włosach jak prawdziwe złoto.

Po dłuższej chwili dziewczyna zdecydowała się przerwać ciszę.

- Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego - powiedziała.

- Czy wie pani, jak się nazywa to drzewo? - spytał monsieur le comte.

Melita potrząsnęła głową.

Podniósł rękę, zerwał kilka kwiatów i wsunął jej w dłoń.

- To pomme d'amour.

- Jabłoń miłości - powtórzyła Melita prawie bez tchu.

Nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć mu w oczy. Napotkała jego wejrzenie i nie musiała zgadywać, dlaczego wymienił nazwę drzewa takim szczególnym tonem.

Hrabia odezwał się po chwili milczenia:

- Sądziłem, że udała się pani na sjęstę.

- Chciałam spokojnie pomyśleć - odparła zgodnie z prawdą - i jakoś... nie mogłam tego zrobić w domu.

- Ja także. A poza tym, choć nie wiedziałem, że pani tu przyjdzie, czułem, że tu panią znajdę.

Ich spojrzenia ponownie się spotkały.

- Wydaje mi się - powiedział hrabia - że winien jestem pani pewne wyjaśnienia. Chodźmy nieco dalej w cień, żeby nas nikt nie widział.

Nie musiał mówić, kto to miałyby być. Melita posłusznie ruszyła w cień pomme d'amour. Miała wrażenie, że zarówno ona, jak i mężczyzna idący obok stają się częścią piękna tego wspaniałego drzewa.



Hrabia nie odezwał się słowem, dopóki nie weszli pomiędzy drzewa rosnące tak gęsto, że promienie słońca ledwo się przesączały przez gałęzie. Wówczas wskazał małe pagórek porośnięty mchem. Melita usiadła, a on znalazł miejsce koło niej.

Odłożyła na bok niepotrzebną już parasolkę i przypięła kwiaty pomme d'amour przy wycięciu sukni.

- Nawet te kwiaty, najpiękniejsze na całej wyspie, nie mogą się równać z pani urodą - odezwał się monsieur le comte.

Melitę na dźwięk jego głosu przeniknął słodki dreszcz.

Hrabia z wysiłkiem odwrócił od niej wzrok.

- Nie mogę dłużej utrzymać pani w nieświadomości tego, co się dzieje tu, w Vesonne.

- Chyba na całym świecie nie ma piękniejszego zakątka - powiedziała cicho Melita. - To straszne, że w takim miejscu ludzie są... nieszczęśliwi. A poza tym - pan sam dobrze wie, jak zły wpływ ma to wszystko na Rose - Marie.

Zamilkła na chwilę.

- Dziś rano podjęłam decyzję, by porozmawiać z panem o tej sprawie. Rose - Marie jest bardzo wrażliwym dzieckiem i mocno przeżywa każde nieporozumienie między panem a madame Boisset. Drży cała, nie może jeść...

- Sądzi pani, że nie zdaję sobie z tego sprawy? - spytał hrabia, a w jego głosie dał się wyczuć chłód.

Melita zerknęła na niego i zauważyła, jak pięknie wygląda jego profil na tle zieleni. Hrabia nie miał na głowie kapelusza. Jego ciemne włosy, gęste i błyszczące, spływając falami odsłaniały dumne czoło. Zaciekawilo ją, co czułaby, gdyby mogła dotknąć tych włosów - i na samą myśl o tym spłonęła rumieńcem.

- Kiedy uznałem, że pani macocha miała dobry pomysł, sugerując mi zatrudnienie angielskiej guwernantki - odezwał

się hrabia po dłuższej chwili - brałem pod uwagę wyłącznie dobro mojej córki.

Odwrócił się i spojrzał na Melitę.

- Nie myślałem o sobie, dopóki nie zobaczyłem pani stojącej na pokładzie.

Melita pod spojrzeniem hrabiego spuściła wzrok i delikatnie muskała opuszkami palców kwiaty przypięte do sukni.

- Byłem w Saint - Pierre - ciągnął hrabia - nie tylko po to, by panią przywitać, lecz także dlatego, że opuściłem plantację przysięgając już nigdy tu nie wrócić.

- Och, nie!

- Nie mogłem dłużej żyć tak, jak do tej pory. Nawet przez ten krótki czas, jaki pani tu spędziła, musiała się pani zorientować, że mój status w tym domu jest nie do przyjęcia.

- Ale dlaczego tak się dzieje? Jeżeli w nazwie plantacji jest pańskie nazwisko, czemu zdaje się ona nie należeć do pana? - spytała rzeczowo Melita.

Hrabia westchnął.

- Właśnie o tym zamierzałem pani opowiedzieć. Położył się na trawie, podsunął splecione ręce pod głowę i zamknął oczy.

- Wychowałem się tutaj. Kocham Vesonne, ta ziemia jest częścią mnie samego. Wiązą mnie z tym miejscem wspomnienia młodości. Nigdy nie zapomnę szczęśliwych chwil, jakie przeżyłem tu z matką i z ojcem.

Melita pomyślała, że był na pewno ślicznym chłopcem. Doskonale sobie wyobrażała, jak dumni musieli być z niego rodzice.

- Mój ojciec nie był dobrym plantatorem - ciągnął monsieur le comte. - Nigdy nie mieliśmy zbyt wiele pieniędzy, ale byliśmy szczęśliwi, mimo że często musieliśmy się obywać bez różnych rzeczy, które inni ludzie uważają za

niezbędne. Kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, majątek znajdował się na skraju bankructwa. Na twarzy hrabiego pojawił się bolesny grymas.

- Ojciec zdecydował, że jedynym sposobem utrzymania plantacji jest mój ożenek z posażną panną.

Ostatnie słowa wymówił z wyraźnym naciskiem. Melita zerknęła na niego, ale się nie odezwała.

- Monsieur Calviare - mówił dalej - mój przyszły teść, wraz z moim ojcem poczynili wszelkie niezbędne przygotowania. Nie miałem nic do powiedzenia, a swoją przyszłą małżonkę spotkałem dopiero wówczas, gdy wszystko było już ustalone.

Melita wiedziała, że we Francji zwyczaj aranżowania małżeństw był dość powszechny, jednak nie przypuszczała, że odbywało się to w tak barbarzyński sposób. Dopiero słuchając hrabiego zrozumiała, co musiał wtedy czuć.

- Pogodziłem się z sytuacją - mówił hrabia. - Choć nie oczekiwałem dnia ślubu z radością, wiedziałem, że muszę się ożenić.

Westchnął głęboko.

- Pociągały mnie uroki miejskiego życia. Zakosztowałem uciech Paryża i bawiłem się w Saint - Pierre. Nie chciałem osiąść na plantacji.

- Był pan... bardzo młody - szepnęła Melita.

- I do tego, choć może mi pani nie uwierzyć, głowę miałem pełną ideałów.

Spojrzał na nią, siedzącą w trochę nienaturalnej pozie, z wyprostowanymi plecami i głową pochyloną nad bukietem kwiatów przy wycięciu sukni.

- Zawsze wyobrażałem sobie, że pewnego dnia się zakocham, że znajdę kobietę, która będzie ucieleśnieniem wszystkich ideałów, jakie w skrytości serca pielęgnowałem. I że poproszę ją, by została moją żoną.

- Tak... rozumiem.

- Jednak oczywiście - ciągnął zmienionym tonem - musiałem podporządkować się życzeniom ojca. A Cecile była śliczna i miła.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Kiedy braliśmy ślub, nie mogłem przewidzieć dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, że Cecile nigdy nie wydorosłeje. Na zawsze pozostała dzieckiem. Pięknym i czarującym, ale tylko dzieckiem. Nigdy nie stała się kobietą. Po drugie, że znajdzie się ponownie pod ogromnym wpływem swojej kuzynki Josephine.

Na wzmiankę o madame Boisset Melita odniosła wrażenie, że ogromna ciemna chmura przesłoniła słońce.

- Ale stało się. Kiedy się żeniłem, Josephine nie było już w domu państwa Calviare - opowiadał hrabia dalej. - Wyszła za mąż za monsieur Boisseta i mieszkała z nim w pobliżu Fort - de - France. Krewni często ją wspominali, więc dowiedziałem się, że była sierotą wychowywaną przez rodziców Cecile jak ich własną córkę.

Niewidzącym wzrokiem błędził pomiędzy zielonymi liśćmi i barwnymi kwiatami, tworzącymi wysoko w górze przepyszny baldachim.

- Była o dwanaście lat starsza od Cecile, więc nic w tym dziwnego, że moja żona ją uwielbiała i starała się naśladować we wszystkim.

Zacisnął usta w wąską kreskę, ale zmusił się, by mówić dalej.

- Dla mnie nie była ważna, miała swój własny dom, podczas gdy Cecile i ja zamieszkaliśmy w Vesonne.

Melita poruszyła się lekko. Nie mogła pojąć dlaczego, ale myśl o tym, jak hrabia wprowadził do domu poślubioną pannę młodą, sprawiała jej ból.

- Niedługo po naszym ślubie moi rodzice przeprowadzili się do Saint - Pierre - mówił hrabia. - Ojciec nigdy nie lubił pracy na plantacji, więc był zadowolony, że przejąłem jego obowiązki i próbowałem przywrócić majątkowi dawną świetność.

- Miał pan na to środki? - spytała Melita.

- Cecile wniosła bogate wiano. Monsieur Calviare, który był człowiekiem interesu, postawił jednak pewien warunek. Chociaż dał nam niebagatelną sumę na doprowadzenie plantacji do porządku, na remont i odnowienie domu oraz na pokrycie tysiąca innych koniecznych płatności, nalegał, by pieniądze Cecile pozostały jej wyłączną własnością.

Melita popatrzyła na hrabiego. Zaczynała rozumieć, do czego zmierzał.

- Oczywiście - ciągnął monsieur le comte - zgodnie z literą francuskiego prawa majątek żony z chwilą zawarcia małżeństwa staje się własnością męża. Jednak, choć kontrolowałem dochody Cecile, od chwili gdy podpisaliśmy kontrakt ślubny, obowiązywała pewna klauzula.

- Jaka?

- Cały osobisty majątek mojej żony należał wyłącznie do niej. Monsieur Calviare poczynił także odpowiednie kroki, by pieniądze, które miała dostać po nim w spadku, stanowiły również jej wyłączną własność.

Melita czekała na nieuniknioną konkluzję.

- Po śmierci ojca Cecile odziedziczyła ogromną fortunę, z której razem korzystaliśmy do woli. Moja żona nigdy nie dała mi odczuć, że jej pieniądze nie należą do mnie.

Hrabia westchnął ponownie.

- Była jak dziecko. Na uśmiech odpowiadała uśmiechem, a łzy pojawiały się w jej oczach tak łatwo jak wiosenny deszcz na niebie. Nigdy nie sprzeciwiła się żadnemu mojemu

zamiarowi, nigdy nie skrytykowała mojego zdania i mogę szczerze powiedzieć, że była ze mną szczęśliwa.

- Z pewnością - przytaknęła Melita, czując, że powinna go w tym utwierdzić.

Jednocześnie pomyślała, że to, czego nie dopowiedział, było zupełnie oczywiste. On - dorosły, inteligentny mężczyzna został ożeniony z niedojrzałą dziewczyną, która mogła go obdarować swoim uśmiechem... i niczym więcej.

- Potem Josephine owdowiała - powiedział hrabia. - Zostało jej niewiele pieniędzy, ponieważ jej mąż, choć uważany za człowieka majątnego, miał wielu ubogich krewnych. I tak Josephine zamieszkała z nami w Vesonne.

Twarz mu się zasepiła, mówił stłumionym głosem:

- Przywitałem ją z otwartymi ramionami. Cieszyłem się, że Cecile będzie miała towarzystwo i że ktoś bardziej doświadczony zajmie się prowadzeniem domu. Jednak stopniowo zacząłem zdawać sobie sprawę z dwóch rzeczy.

Po chwili milczenia Melita spytała:

- Co pan ma na myśli?

- Przede wszystkim moja żona była pod całkowitym wpływem Josephine. A do tego jeszcze Josephine była we mnie zakochana!

Melita spodziewała się to usłyszeć, a jednak te słowa nią wstrząsnęły.

- Co... co pan wtedy poczuł?

- Znajdowałem się w skrajnie krępującej sytuacji. Powiedziałem Cecile, że powinniśmy odesłać Josephine z naszego domu, ale ona tylko utonęła we łzach i przytuliła się do kuzynki, tak jak zapewne robiła to, gdy obie były jeszcze dziećmi.

- I... co dalej?

- Byłem wtedy bardzo zajęty, miałem nadzieję, że ten problem sam się rozwiąże. Pracowałem na plantacji bez chwili

wytchnienia. Uprawiałem ziemię, zwoziłem plony, zawierałem umowy sprzedaży, woziłem cukier, owoce i kawę na statki i doglądałem ich składowania, żeby nie ucierpiały w czasie podróży.

Na tych kilka chwil pojawiło się w jego głosie ożywienie, wyraźnie praca dawała mu dużo satysfakcji. Potem dokończył głucho.

- Cecile umarła. Zupełnie nagle, bez żadnej widocznej przyczyny.

- Jak to?!

Hrabia usiadł, objął kolana ramionami i zapatrzył się w dal.

- Nawet teraz trudno mi w to wszystko uwierzyć - powiedział. - Pojechałem do Saint - Pierre ze specjalną przesyłką cukru sprzedanego do Holandii. Nie było mnie w domu trochę ponad tydzień. Kiedy wróciłem, dowiedziałem się, że Cecile nie żyje, a doktor nie potrafił znaleźć żadnej przyczyny tej niespodziewanej śmierci.

- Ależ... musiało być jakieś wytłumaczenie - nalegała Melita.

- Ja go nie otrzymałem. Cecile trochę niedomagała, skarżyła się na bóle głowy i żołądka. Josephine myślała, że to tylko przejściowa niedyspozycja lub lekka niestrawność i nie posłała po doktora, a potem było już za późno.

- To straszne!

- Może pani sobie wyobrazić, jaki to był dla mnie cios. Po pogrzebie Josephine przedstawiła mi ostatnią wolę Cecile.

Melita czekała. Pytania były zbędne.

- Kiedy się pobraliśmy i monsieur Calviare nalegał, by Cecile samodzielnie dysponowała swoją fortuną, oboje spisaliśmy testamenty, wzajemnie czyniąc się spadkobiercami. Ja zostawiałem swoją posiadłość Cecile i dzieciom, które

mogły narodzić się z tego małżeństwa, a ona zostawiała mi swoje pieniądze - bez żadnych dodatkowych obwarowań.

- Czy po jej śmierci okazało się, że zmieniła swą ostatnią wolę? - spytała Melita, z góry znając odpowiedź.

- Cecile bez mojej wiedzy sporządziła nowy testament, w którym zapisała wszystkie pieniądze swojej kuzynce Josephine.

Nabrał głęboko powietrza i dokończył:

- Jedno tylko mogło zmienić ten zapis. Gdybym poślubił Josephine, cała fortuna stałaby się moją własnością.

Melita z trudem powstrzymała okrzyk cisnący się jej na usta. Dopiero po chwili zdołała zapytać:

- Czy ten testament był... prawomocny?

- Bez wątpienia. Podpisany w obecności dwóch świadków: księdza, który przyjeżdża na plantację od prawiac msze, i pewnego szanowanego Francuza, który akurat podróżował po okolicy.

- Madame Boisset zapewne... przyczyniła się do spisania nowego testamentu?

- Oczywiście! - potwierdził hrabia szorstko. - Mówiłem pani, że całkowicie zdominowała Cecile. Panowała nad jej umysłem, duszą i sercem. Podczas mojej nieobecności musiała ją przekonać, by podpisała ten potworny dokument, zredagowany w zdaniach, których Cecile nigdy by nie ułożyła.

- Ale przecież mógłby pan to chyba udowodnić?

- W jaki sposób? Niech pani nie sądzi, że nie zasięgałem wszelkiej możliwej porady. Konsultowałem się z najlepszym prawnikiem na wyspie. To rodowity Francuz. Wie pani, co od niego usłyszałem?

- Co takiego? - spytała Melita.

- Rzekł: „Mój drogi chłopcze, po prostu musisz się ożenić z kuzynką swojej żony. Dlaczego by nie? W ciemności wszystkie kobiety są takie same!”



Melita przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa czy choćby się poruszyć.

- Och... mój Boże... - Tylko tyle potrafiła powiedzieć.

- Nie powinienem zadrećzać pani moimi problemami! - rzucił hrabia gniewnie.

Potem spojrział na nią i dodał:

- Nie, to nieprawda! Chcę, żeby pani o tym wiedziała. Musiałem pani to wszystko powiedzieć! Boże, co ja mam zrobić?

## ROZDZIAŁ 4

Melita nie była w stanie odpowiedzieć. Słowa, których chciałyby użyć, nie mogły jej przejść przez gardło. Jednocześnie czuła, jak na dźwięk głębokich, żarliwych tonów w głosie hrabiego zalewa ją fala niepowstrzymanej radości.

Hrabia podniósł się, zszedł ze wzgórką, na którym siedzieli, i podszedł do najbliższego drzewa. Oparł dłonie na pniu, jakby nie mógł ustać o własnych siłach.

Potem, odwrócony do Melity plecami, powiedział:

- Jeszcze za wcześnie. Zamierzałem jeszcze poczekać, zanim pani cokolwiek powiem, ale to niemożliwe!

Melita spojrzała na niego, lecz wciąż siedziała nieruchomo i nie odezwała się nawet słowem.

- Kiedy na pokładzie statku ujrzałem panią, spowitą w świetlistą biel, w jednej chwili zrozumiałem wszystko.

W ciszy, która była częścią piękna kwiatów pomme d'amour nad nimi, Melita szepnęła:

- Co pan rozumiał?

Hrabia odwrócił się ku niej. Jego oczy płonęły.

- Zrozumiałem - powiedział wolno - że to pani jest kobietą, której szukałem przez całe życie, za którą tęskniłem, której potrzebowałem i której nie mogłem odnaleźć - bo nie znałem pani.

Melita podniosła wzrok, a gdy ich spojrzenia się spotkały, poczuła, że serce trwożnie trzepocze się w jej piersi.

- Nie może pan być pewien... - szepnęła cicho.

- Wiedziałem o tym od razu, a upewniłem się, kiedy rozmawialiśmy w restauracji przy obiedzie. Już wtedy była pani częścią mnie, pani myśli były moimi myślami, pani dusza moją duszą, a moje serce należało do pani.

Melita przypomniała sobie, jak dziwiło ją, że monsieur le comte zdawał się znać jej myśli i zamiary. Wiedziała, że właśnie wyraził to, co i ona czuła od chwili, gdy pierwszy raz

go ujrzała, i co uświadomiła sobie w pełni, gdy minionego wieczoru wyszła do ogrodu. Przyciągał ją wtedy sam głos, zanim jeszcze zobaczyła hrabiego między drzewami.

- Czy to znaczy... - zaczęła niepewnie - że... że pan mnie... kocha?

Hrabia uśmiechnął się lekko.

- Czy kocham? - powtórzył. - To tak ubogie słowo! Nie zawiera tego, co czuję i co dla mnie znaczysz! Jesteś moja, Melito, moja, choć nawet cię nie dotknąłem, moja, choć nie śmiem prosić, byś została moją żoną.

Dziewczyna słuchając jego słów zadrzała.

- Bóg mi cię przeznaczył na żonę, Melito! Jesteś moja, bo nasze dusze spotkały się już w niebie, a teraz wreszcie odnaleźliśmy siebie nawzajem, po zdającym się nie mieć końca błędzeniu w mrokach samotności.

Melita złożyła dłonie jak do modlitwy. Jego wyznania były tak wzruszające i jednocześnie tak cudownie oddawały jej własne uczucia, że mogłaby użyć tych samych słów.

Przez długą chwilę hrabia patrzył na nią w milczeniu. W końcu odezwał się cicho:

- Chodź do mnie, Melito!

Wstała, a on czekał nieporuszony. Krok za krokiem stapała po miękkiej trawie, aż znalazła się tuż przed nim, pod zwieszonymi nisko gałęziami obsypanymi kwieciami.

- Jesteś taka piękna - powiedział - tak niewiarygodnie piękna. Ale pociąga mnie nie tylko twoja uroda, lecz także twój umysł, twoja dusza i twoje serce, które należy do mnie od pierwszej chwili, kiedy spojrzałem ci w oczy.

Westchnął głęboko.

- Niewiele mogę ci ofiarować, nie mam nic! Ale czuję, że prócz nas samych i naszej miłości nic nie jest ważne. Nie myślę się, prawda? - W jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju, oczy mu pociemniały.

Nie uczynił żadnego gestu, a jednak czuła, jak coś ją nieprzeparcie ku niemu popycha, pragnęła znaleźć się w jego ramionach.

Wiedziała, że czeka na odpowiedź, więc po chwili szepnęła cichutko:

- Kocham... kocham cię!

Stali tak patrząc na siebie, a czas zatrzymał swój bieg. Potem hrabia bardzo delikatnie, jakby Melita była różowobiałym kwiatem z drzewa rosnącego nad nimi, otoczył ją ramionami. Nie pocałował jej, jedynie przytulił twarz do jej twarzy i trzymał dziewczynę w objęciach.

- Melita, Melita! - szeptał. - Czy to prawda? Powiedz mi, że to nie sen, że oboje nie śnimy.

- To nie jest sen - zapewniła go czule, jakby uspokajała dziecko.

- Kocham cię - powiedział. - Kocham cię z całego serca i przysięgam, że nigdy nie czułem tego, co czuję teraz.

Kiedy tak stał trzymając ją w ramionach, z twarzą przy jej twarzy, było w jego głosie coś uroczystego. Potem zaczął mówić jakby do siebie:

- A jeśli czynię źle? Moja najdroższa, jesteś taka młoda, tyle lat nas dzieli. Bóg mi świadkiem, że pragnę cię chronić i dbać o ciebie. Tak się boję, że mogę cię skrzywdzić.

- Od dnia śmierci tatusia nie czułam się tak... bezpieczna, spokojna i tak... szczęśliwa - powiedziała Melita cichutko.

Hrabia uniósł głowę.

- To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Tak się bałam, tak bardzo się bałam, że będę samotna, że nie będę wiedziała, co robić, nie będę miała się do kogo zwrócić... A teraz... teraz mam ciebie... Etienne...

Kiedy wymówiła jego imię, jej twarz się rozpromieniła, a oczy rozświeciły tak, że hrabia nie mógł jej słowom nie uwierzyć.

Nie potrafił się już powstrzymać. Przyciągnął Melitę do siebie i odnalazł wargami jej usta.

Nikt jej dotąd tak nie całował. W pierwszej chwili ogarnął ją lęk i wstyd.

Wargi hrabiego wzięły ją w niewolę i nagle poczuła, jak jej serce napełnia się słonecznym blaskiem. Doświadczała uczucia tak cudownego, tak wspaniałego i tak innego niż wszystko, czego dotąd zaznała, że musiało być ono zesłane przez Boga. Miała wrażenie, że ich ciała przenikają się nawzajem, że stają się jedną całością. Wiedziała też, że to cudowne olśnienie, to uniesienie, które hrabia w niej zbudził, było odbiciem jego własnych uczuć. Stanowili częśćkę ukwieconych drzew, upojnych woni i słonecznego blasku.

„To miłość... To sens życia!” - przemknęło Melicie przez głowę.

Nie mogła skupić myśli, mogła jedynie poddać się tej wszechogarniającej radości, której istnienia dotąd nawet nie podejrzewała.

Nie wiedziała, jak długo trwał ich pocałunek. Kiedy hrabia odsunął wargi od jej ust, wsparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy. Czuła się lekka i wyzwolona z wszelkich trosk, nie było w niej nic prócz uczucia szczęścia, które spłynęło na nią z samego nieba.

- Kocham cię, ma belle - powiedział hrabia. - Nic nie jest ważne, liczysz się tylko ty!

Spojrzał na jej twarzyczkę, na długie rzęsy rzucające cień na jasne policzki.

- Znajdziemy jakieś wyjście, najdroższa. Muszę pokonać przeciwności, które zgotował mi los, bo od tego zależy nasze szczęście. Przysięgam, że uwolnię się z matni, choćby to było nie wiem jak trudne.

Melita podniosła powieki.

- Musi być jakiś sposób - szepnęła cichutko.

- I ja go znajdę - oznajmił hrabia z mocą.

Jej usta były tak blisko niego. Nie mógł się powstrzymać, by ich znów nie pocałować. Potem, ciągle trzymając Melitę czule w ramionach, zmusił się, by oderwać od niej oczy.

- To jest moja ziemia, mój majątek i mój dom - rzekł. - Ale jak to wszystko utrzymać? Jak sprostać codziennym wydatkom, nie mając pieniędzy?

Melita wyswobodziła się z jego objęć, choć była to z pewnością najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiła. Odsunęła się i popatrzyła mu prosto w twarz.

- Jeśli tylko będziemy razem - powiedziała - z pewnością przezwyciężymy zły los.

- Czy naprawdę tak myślisz? - spytał hrabia.

- Tak, i ty wiesz o tym. Wierzę, że jeśli będziemy razem pracowali wytrwale - może na początek uprawialibyśmy tylko niewielką część majątku - damy sobie radę, przynajmniej na tyle, żebyśmy mogli przeżyć.

- Och, najdroższa! Czy naprawdę chciałabyś tego?

- Tak - zapewniła Melita. - Zupełnie się nie znam na uprawie ziemi, ale... ale może mógłbyś zaciągnąć pożyczkę? Tatusz tak robił... Na jakiś czas, dopóki nie wybrniesz z kłopotów, a potem mógłbyś ją spłacić po sprzedaniu zbiorów.

Stała tuż przed hrabią, lecz od chwili kiedy wyslizgnęła się z bezpiecznego schronienia jego objęć, nie próbował jej nawet dotknąć.

Dopiero teraz wziął ją za rękę.

- Czy jest na świecie ktoś doskonalszy - wyszeptał - ktoś mądrzejszy niż ty?

Pocałował ją w rękę. Następnie zagłębił usta we wnętrzu jej dłoni i całował, aż oddech Melity stał się szybszy, a jej ciało przebiegł dreszcz rozkoszy. Wówczas przyciągnął dziewczynę do siebie.

- A więc ty także mnie pragniesz - powiedział. - Och, kochanie, powiedz, że mnie pożadasz, bo ja ciebie pragnę do szaleństwa!

Melita nie musiała odpowiadać i nie mogła tego zrobić, bo hrabia znów dziko i namiętnie całował jej usta. Było w tym pocałunku też coś mistycznego, co upewniało Melitę, że ta miłość została zesłana przez samego Boga.

- Znajdziemy jakieś wyjście - oznajmił hrabia. Mimo iż słowa brzmiały pewnie, w jego głosie dało się wyczuć drzenie, a w oczach mignął cień niepewności.

- Tak, znajdziemy je. Razem - szepnęła. - Pozwól, bym ci pomogła... Chcę ci pomóc.

- Bez ciebie nie dałbym sobie rady. Przez całe życie szukałem kobiety, która zechciałaby dzielić ze mną wszelkie trudy.

- Chciałabym... chciałabym dzielić z tobą wszystko.

Hrabia odetchnął głęboko jak ktoś, komu olbrzymi ciężar spadł z serca.

- Od pierwszej chwili miałem przeczucie, że twoje przybycie tutaj jest doniosłym wydarzeniem nie tylko dla ciebie, ale i dla mnie. Pojutrze odchodzą do Saint - Pierre dwa furgony cukru. Pojadę razem z tym ładunkiem. Odwiedzę bank i zorientuję się, czy udzieliliby mi pożyczki, tak jak mówiłaś.

Kwestia pieniędzy przypomniała Melicie o obowiązkach.

- Zdaje się, że... że powinnam już wrócić do domu.

- Tak, chyba tak będzie lepiej - zgodził się hrabia. - Musimy unikać wzbudzania podejrzeń, dopóki nie będziemy mogli odeprzeć każdego zarzutu.

Oboje wiedzieli doskonale, o kim mowa. Melita poczuła, że mroczny cień madame Boisset przyćmiewa ich szczęście.

Hrabia po raz ostatni otoczył dziewczynę ramionami.

- Zobaczymy się jutro - powiedział - ale rano wyjadę wcześniej, żeby skontrolować odleglejsze ziemie majątku. Wydaje mi się, że od pewnego czasu są nieco zaniedbane.

- Chciałabym móc pojechać z tobą - Melita uśmiechnęła się smutno.

- Pewnego dnia - rzekł hrabia proroczo - nadejdzie ta chwila, kiedy wszędzie będziemy mogli być razem, ramię przy ramieniu. A wtedy wszyscy ludzie, którzy tutaj żyją, będą szczęśliwi.

Dostrzegł, że jego słowa bardzo się Melicie spodobały.

- Wróć teraz do domu, moje najdroższe kochanie - powiedział. - Musimy zachować ostrożność i nie zdradzić się niczym w czasie obiadu, ale już niedługo, już wkrótce połączymy się na zawsze i nic nas wtedy nie rozdzieli.

- Będę o tobie myślała - wyszeptała Melita. - I będę się za ciebie modliła.

Odwróciła się, wyszła spod ukwieconych drzew i nie oglądając się za siebie pośpieszyła ku przeciwległemu krańcowi trawnika.

Kiedy dotarła do krzewów obsypanych purpurowym kwieciem i odnalazła niewielki strumyk, nad którym Rose - Marie szukała żabek, przyszło jej do głowy, że gdyby ktoś zobaczył ją z okien domu, mógłby się zorientować, skąd przyszła. Chcąc temu zapobiec skrzyła nieco w lewo, wspięła się wyżej po zboczu wzgórza, na którym zbudowano dom, i dopiero gdy dotarła do szczytu, skrzyła na powrót w stronę budynku.

W drodze do tylnych drzwi wychodzących na ogród musiała przejść obok kuchni. Dobiegał stamtąd zgiełk głosów i śmiech młodych czarnoskórych dziewcząt pracujących w domu. Przechodząc pod oknami Melita zobaczyła wielki kosz wypełniony odpadkami, które - jak się domyśliła -



przeznaczone były do spalenia gdzieś dalej, w pewnej odległości od domu.

Kiedy podeszła bliżej, coś znajomego, leżącego na samym wierzchu, przyciągnęło jej wzrok.

Była to lalka, którą Philippe zrobił dla Rose - Marie. Ktoś ją rzucił pomiędzy skórki bananów, papai i wilgotne fusy herbaty.

„Dlaczego madame Boisset jest dla tego dziecka taka niedobra?” - zastanowiła się Melita.

Spojrzała uważniej i aż wstrzymała oddech - wyrzucona na śmietnik lalka była rozmyślnie podarta na strzępy. Z pięknych barwnych liści tworzących spódnicę zostały tylko pojedyncze włókna; poszarpano chustę okrywającą włosy, a głowa ledwo się trzymała na korpusie z liścia palmy kokosowej. Zabawka, która sprawiła Rose - Marie tyle prawdziwej radości, została zupełnie zniszczona.

Melita miała wrażenie, że jest świadkiem zbrodni. „Jak można być tak małostkowym, po co niepotrzebnie niszczyć?” - pytała samą siebie.

Takiego spustoszenia mogła dokonać chyba tylko osoba powodowana chorobliwą mściwością.

Melita z ulgą stwierdziła, że nikt, nawet Eugenie, która także zażywała sjesty, nie zauważył jej nieobecności. Rose - Marie zaraz po przebudzeniu zaczęła mówić o lalce.

- Znalazła ją pani, mademoiselle? - pytała, gdy Eugenie ubierała ją w białą muślinową sukienkę i czesała jej włosy.

- Niestety nie - odpowiedziała Melita.

- Przecież zostawiłam ją w pokoju lekcyjnym, na krześle.

- Tak, wiem - przyznała Melita. - Jednak wydaje mi się, że twoja ciotka nie życzy sobie, żebyś się nią bawiła.

- Ale Philippe zrobił ją specjalnie dla mnie! - krzyknęła Rose - Marie. - I wiem, że tata na pewno by mi pozwolił ją

mieć. Powiem mu, niech każe cioci Josephine, żeby mi ją oddała.

- Może pójdziemy teraz obejrzyć skarby, które przywiozłam w kufrach? - zaproponowała Melita. - Mam śliczną saszetkę na chusteczki do nosa, całą lamowaną koronką. Pomyślałam sobie, że mogłybyśmy wyszyć na niej twoje inicjały. Włożyłabyś do niej własne chusteczki i trzymała na toalecie.

- Och, tak bym chciała! - ucieszyła się dziewczynka.

Na jakiś czas Melita zdołała odwrócić jej uwagę od utraconej zabawki, jednak przy kolacji Rose - Marie znów sobie o niej przypomniała.

- Gdzie jest tatuś? - spytała. - Chce powiedzieć tatusiowi o lalce.

- Twój tatuś jest na plantacji - odparła Melita.

- Sama wiesz, że o tej porze roku jest mnóstwo pracy.

- Przecież plantacją zarządza ciocia Josephine - sprzeciwiła się Rose - Marie. - Tatusia to denerwuje i dlatego wyjeżdża do Saint - Pierre.

Melita nie mogła wstrzymać się od uśmiechu. Rose - Marie była zbyt inteligentnym dzieckiem, by nie rozumieć, co się wokół niej dzieje.

- Może tatuś wróci, zanim pójdziesz spać - usiłowała pocieszyć dziewczynkę.

- Poprosi go pani, żeby przyszedł powiedzieć mi dobranoc?

- Poproszę - obiecała Melita.

Otuliła Rose - Marie prześcieradłem. Dziecko oplotło ramionka wokół jej szyi.

- Tak się cieszę, że pani tu przyjechała, mademoiselle. Z panią jest o wiele weselej.

- Bardzo mi miło, że tak sądzisz. Mała pocałowała ją w policzek.

- Pani stąd nie odjedzie, prawda? - spytała.

- Każdy, kogo kocham, odjeżdża, a ja zostaję sama z ciocią Josephine.

Melita poczuła w sercu bolesny skurcz na dźwięk dojrzałej powagi w słowach dziecka.

Rose - Marie straciła matkę, a teraz lękała się, że może stracić ojca. W jej krótkim życiu nie było nic stałego,

- Zostanę z tobą, Rose - Marie - przyrzekła Melita. - Nigdy cię nie opuszczę.

Wiedziała, że składa tę obietnicę nie tylko dziecku, ale i hrabiemu.

Przezwyciężą wszelkie trudności. Nie będzie to łatwe. Być może będą musieli znosić ubóstwo i walczyć z przeciwnościami losu, ale będą razem.

„Tylko to - powiedziała sobie Melita - tylko to się liczy.”

Rose - Marie przytuliła się do niej.

- Jeśli pani zostanie, będę bardzo grzeczna - obiecała. - A kiedy Philippe zrobi mi nową lalkę, schowamy ją tak, że ciocia Josephine nigdy jej nie znajdzie.

- Na pewno coś wymyślimy - powiedziała Melita, czując, że nie może otwarcie zgadzać się na nieposłuszeństwo dziecka wobec poleceń madame Boisset.

Rose - Marie zadowolona ta odpowiedź. Melita ucałowała małą. Wychodząc z sypialni dziewczynki zostawiła otwarte drzwi, nie zamknęła także drzwi prowadzących do swojego pokoju.

„Kiedy usłyszę, że hrabia wraca - pomyślała - powiem mu, że córka go potrzebuje.”

Rose - Marie szybko usnęła, a hrabiego ciągle nie było. Nadeszła już prawie pora kolacji, gdy wreszcie Melita usłyszała, jak monsieur le comte wchodzi po drewnianych stopniach i idzie korytarzem na drugi jego koniec, do swoich apartamentów.

„Jest już za późno, żeby z nim teraz rozmawiać o Rose - Marie” - oceniła Melita.

Postanowiła skorzystać z tych kilku chwil i przebrać się do kolacji.

Miała wystarczająco wiele rozwagi, by nie zakładać którejś z bardziej wymyślnych sukien. Wybrała najprostszą, jaką znalazła. Za wszelką cenę nie chciała urazić madame Boisset.

Jednak nawet prosta sukienka z jasnego muślinu nie mogła ukryć przed ludzkim wzrokiem jej kształtnych piersi i szczupłej talii. Podkreślała też delikatność różowobiałej cery, a złote włosy Melity błyszczały wspanialej niż przy najbardziej wyszukanej kreacji.

Kiedy weszła do salonu, gdzie już czekał hrabia, nie była w stanie myśleć o niczym, tylko o tym, że on jest blisko. Wiedziała, że on czuje to samo, choć tylko skłonił się grzecznie:

- Bonsoir, mademoiselle.
- Bonsoir, monsieur. Nawet nie spojrzeli na siebie.
- Mam nadzieję, mademoiselle - odezwała się cierpko madame Boisset - że po południu dała pani Rose - Marie kilka prawdziwych lekcji?
- O tak, madame - odparła Melita. - Zapoznałyśmy się nieco z historią i określiłyśmy w atlasie pozycję Martyniki w odniesieniu do innych części świata. To była dosyć trudna lekcja geografii dla takiej małej dziewczynki.
- Jutro macie skoncentrować się na arytmetyce - rozkazała madame Boisset. - Im szybciej Rose - Marie pojmie wartość pieniądza, tym lepiej. To cecha, której brakuje niektórym jej krewnym.

Mówiąc to spojrzała na hrabiego, a Melita pomyślała, że przy stole będą skazani na kąśliwe uwagi madame Boisset.

Nie myliła się, niestety.

Jedzenie było wspaniałe - Melita wiedziała na pewno, że szef kuchni przeszedł samego siebie usiłując dogodzić monsieur le comte - ale wszystko niweczył fakt, że każde zdanie madame Boisset zawierało ukryty zarzut pod adresem Melity i otwartą wrogość w stosunku do hrabiego.

Kiedy po kolacji przeszli z powrotem do salonu i Melita zastanawiała się właśnie, czy wypada jej teraz pójść na górę, usłyszała głos monsieur le comte:

- Zamierzam jutro odwiedzić nasze ziemie w pobliżu Ajoupa Bouillon. Zdaje się, że dawno już nikt tam nie zaglądał.

- Rzeczywiście - potwierdziła krótko madame Boisset.

Po czym dodała innym tonem:

- Naprawdę chcesz się zainteresować prowadzeniem plantacji, Etienne? Jeśli tak, jest kilka spraw, o których chciałabym z tobą pomówić.

- Chętnie cię posłucham.

Madame Boisset spojrzała na hrabiego takim wzrokiem, jakby nie dowierzała własnym uszom. Potem odwróciła się do Melity i powiedziała ostrym tonem:

- Może pani odejść, mademoiselle. Nie będę pani już dziś potrzebowała.

Melita dygnęła.

- Bonsoir, madame. Bonsoir, monsieur.

Hrabia milcząc skłonił głowę, a Melita wiedziała, że walczył z pokusą, by zwrócić madame Boisset uwagę, żeby nie odnosiła się do niej w tak nieuprzejmy sposób.

Zamknęła za sobą drzwi i niemal bojąc się, że mogłaby usłyszeć, o czym będą rozmawiali, pobiegła do swojego pokoju na piętro.

Kiedy wybiegła z salonu, madame Boisset odwróciła się do hrabiego.

- A więc wróciłeś, Etienne? - spytała. - Czy naprawdę zamierzasz zostać?

- Mam nadzieję, że będę mógł tu zostać - odparł poważnie hrabia.

- Wiesz dobrze, jak tego pragnę. A pierwsze, co trzeba zrobić, jeśli zamierzasz zaszczyścić mnie swoją obecnością, to pozbyć się tej panienki o gładkiej buzi! Jest zupełnie bezużyteczna. Odeślij ją z powrotem do Anglii. Im szybciej, tym lepiej!

- Nie zamierzam tego robić - oznajmił hrabia. - Sprowadziłem ją tutaj dla Rose - Marie i sądzę, że nie tylko będzie tak uczyła moją córkę, jak sobie tego życzę, lecz także wywrze na nią doskonały wpływ.

- Sugerujesz, że ja mam na nią zły wpływ!

- Nie powiedziałem tego, Josephine. Ale jesteś obciążona wieloma obowiązkami i sądzę, iż młoda osoba pokroju mademoiselle Cranleigh, z nowymi pomysłami i zainteresowaniami, jest właśnie takim towarzystwem, jakiego trzeba Rose - Marie.

- Dobrze wiesz, że opiekuję się Rose - Marie, jakby była moim własnym dzieckiem - powiedziała madame Boisset - i wiesz także, Etienne, że ona ma wszystko, tak naprawdę brak jej tylko rodzeństwa.

Mówiąc to, postąpiła krok w kierunku hrabiego i ciągnęła głosem drżącym z emocji:

- Ożeń się ze mną, Etienne! Ożeń się ze mną, a ja dam ci dzieci! Dam ci syna, który przedłuży twój ród. I będziesz miał pieniądze, żeby przywrócić majątkowi dawną świetność.

Monsieur le comte westchnął głęboko i podszedł do okna. Zapatrzył się w niebo. Nad Vesonne - des - Arbres zapadał zmierzch.

- Rozmawialiśmy już o tym, Josephine.

- Tak, to prawda - przyznała madame Boisset.

- Ale wszystkie te rozmowy, wszystkie twoje wymówki i wątpliwości nie czynią cię bogatszym.

Ponieważ hrabia milczał, ciągnęła:

- Twój dom w Saint - Pierre obraca się w ruinę. A mógłbyś mieć pieniądze na jego odbudowę i moglibyśmy mieszkać tam, ilekroć znudziłoby ci się być tutaj. Moglibyśmy pojechać za granicę - do Europy, do Paryża, do Stanów Zjednoczonych albo do Ameryki Południowej, jeśli miałbyś ochotę. Dlaczego jesteś taki uparty? Dlaczego ciągle walczysz ze mną, zamiast mi ulec choćby dlatego, że nie masz innego wyjścia?

- Nie chcę rozmawiać na ten temat - powiedział hrabia.

- Jeśli nie zamierzasz się ze mną ożenić - głos madame Boisset zdradzał, że traci panowanie nad sobą

- w imię czego, powiedz mi, dlaczego miałabym żywić ciebie, twoje dziecko, tę śmieszłą guwernantkę i twoich niewolników?

Mówiła coraz głośniej:

- Jeżeli odjadę i zabiorę pieniądze, co będziesz jadł? Banany? Nic innego ci nie zostanie.

- Jakoś byśmy sobie poradzili. Madame Boisset roześmiała się pogardliwie.

- Etienne, czy ty wiesz, ile kosztuje utrzymanie tej plantacji? Czy zdajesz sobie sprawę, ile trzeba wydać rocznie na samo tylko wyżywienie dla niewolników? Najwyraźniej bawiąc w Saint - Pierre zapomniałeś już o tym, że pieniądze są niezbędne do życia, nawet jeśli próbujesz udawać, że cię one nie interesują.

- Nie zapomniałem - odparł cicho hrabia.

- Więc ożeń się ze mną, Etienne. Ożeń się ze mną! Ja ciebie kocham! Zawsze cię kochałam! Cecile także chciała, byśmy się pobrali, przecież wiesz o tym.

- Nie mieszajmy w to Cecile - poprosił ochryplym głosem.

- Dlaczego? Kochała mnie, kochała także ciebie i chciała, byśmy zostali małżeństwem. Opamiętaj się, Etienne, spójrz prawdzie w oczy. Beze mnie nie dasz sobie rady!

- Przykro mi, Josephine - rzekł hrabia. - Miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać bez ciągłego wracania do sprawy małżeństwa.

- W takim razie, skoro nie możesz płacić za własne utrzymanie, wyjedź stąd i nie wracaj! - krzyknęła gniewnie madame Boisset. - I zabierz ze sobą tę kobietę! Nie mogę znieść widoku tej jej gładkiej angielskiej twarzyczki.

Hrabia chciał się odciąć złośliwie, lecz zdołał się opanować i powiedział tylko:

- Sądzę, Josephine, że najrozsądniej będzie, jeśli odłożymy tę rozmowę na kiedy indziej. Jutro wyjeżdżam wczesnym rankiem, a wieczorem, kiedy wrócę, będę na pewno zmęczony. Pojutrze jadę do Saint - Pierre.

- Zostaniesz tam?

- Nie. Wrócę. I wtedy będziemy musieli poważnie porozmawiać o przyszłości. Doskonale zdaję sobie sprawę, Josephine, że nie możemy tak żyć obok siebie, jak do tej pory.

Mówiąc to spojrzał jej w oczy i dojrzał w nich nagły błysk nadziei, że może jednak mimo wszystko spełnią się jej pragnienia. Chciał na czas swojej nieobecności uchronić Melitę od kłopotów i dlatego jeszcze raz powtórzył spokojnie i z naciskiem:

- Odłóżmy to wszystko do soboty. Wówczas wrócimy do tej rozmowy. Mamy wiele do omówienia.

- Dobrze, Etienne, jak sobie życzysz. Madame Boisset zbliżyła się do hrabiego i położyła mu dłoń na ramieniu.



- Kocham cię, Etienne... tak cię kocham! Pocałuj mnie! Kochaj mnie, jak kochałeś tyle innych kobiet i pozwól mi udowodnić, że możemy być razem szczęśliwi.

Słowa nabrzmiałe pożądaniem z sykiem wydobywały się z jej ust. Hrabia ze wstrętem chciał strząsnąć rękę madame Boisset ze swojego ramienia. Z trudem powstrzymał ten odruch i zmusił się, by delikatnie podnieść do ust jej dłoń. Muskając ją wargami, rzekł;

- Zapomnij o wszystkich kłopotach, Josephine. Jak już powiedziałem, porozmawiamy, kiedy wrócę.

Skłonił się przed nią i mimo że ponownie wyciągnęła do niego ręce, szybko wyszedł z salonu. Słyszała jeszcze, jak idzie korytarzem i otwiera drzwi prowadzące do ogrodu, a potem zamyka je za sobą. Jakiś czas stała bez ruchu, spoglądając w stronę wyjścia z salonu, aż wreszcie powiedziała rozkoszując się własnymi słowami:

- Wygrałam! Ulegnie mi! Przecież nie ma innego wyjścia!

Z szelestem marszczonych halek obróciła się i spojrzała na swoje odbicie w ogromnym lustrze o połączonych ramach, stojącym pod przeciwległą ścianą.

Przez chwilę widziała w nim swoje ciemne oczy o triumfującym spojrzeniu. Potem na ten obraz nałożył się inny - zobaczyła złote włosy, delikatną jasną cerę i miękko zarysowane usta. Zmrużyła powieki.

Melita nie mogła zasnąć.

Noc była parna i morska bryza, która zazwyczaj przychodziła o zachodzie słońca, zamarła w oddali. Nie było czym oddychać. W powietrzu wisiała burza.

Dziewczyna przewracała się z boku na bok, aż wreszcie wstała, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Księżyc płynął po czystym niebie między gwiazdami błyszczącymi jak brylanty.

Tu, gdzie za dnia rozlegał się zgiełk głosów, gdzie brzmiały pieśni niewolników i słychać było skrzypienie wodnego młyna, teraz wszystko spowijała cisza.

Melita zastanawiała się, co też mogło się dzieć po jej wyjściu z salonu. Bojaźliwie uciekała od myśli o monsieur le comte i madame Boisset pozostałych sam na sam.

Przywołała na pamięć cudowne uczucie, jakiego zaznała, gdy Etienne pod jabłonią trzymał ją w ramionach, gdy poznała nieziemskie uniesienie, jakie wzbudziła w niej magia miłości. Jakież to było wspaniałe, jakie cudowne!

Czuła, że jej serce wyrywa się do niego. A potem, jak echo uderzeń własnego serca, usłyszała dźwięk, którego źródła nie potrafiła z początku rozpoznać. Zdawał się napływać nie z ciemności ogrodu, ale z głębi jej duszy.

Pomyślała, że to tylko złudzenie i przeszła od okna wychodzącego na ogród przed domem do drugiego, z którego widać było w oddali morze. Spojrzała na plantację i wtedy wyraźnie uświadomiła sobie, że to, co słyszała, nie było biciem jej serca, lecz odgłosem uderzeń w bębny, dochodzącym z daleka. Nadśluchiwała, lecz dźwięk był tak cichy, że niemal nieuchwytny. Po chwili znowu dał się słyszeć wyraźniej.

„Chodź do mnie! Chodź do mnie!” - zdawał się powtarzać w kółko, aż Melita zorientowała się, że bezwiednie wymawia te słowa po francusku i w rodzimym języku.

- Venez a moi. Chodź do mnie. Venez a moi.

„To na pewno bęben - zdecydowała w końcu. - Ale co to ma znaczyć?”

A bęben wzywał ją do siebie. Słuchała i nie mogła się oprzeć pragnieniu, by pójść za tym wezwaniem.

Stała jakiś czas, aż wreszcie, kiedy rytm pulsował już nie tylko w jej mózgu, ale w każdej cząstce ciała, pojęła, że musi się dowiedzieć, kto ją przywołuje.

Nie czuła strachu. Zarzuciła na ramiona przywieziony z Anglii atlasowy szlafroczek, który okazał się za ciepły na Martynikę. Wsunęła stopy w domowe pantofelki bez obcasów i Otworzyła drzwi swojego pokoju. Na korytarzu nie było słycać dudnienia bębnów, ale ich wezwanie nadal ją przyciągało. Bardzo, bardzo ostrożnie, niemal bezszelestnie zeszła po schodach. Drzwi do ogrodu były zamknięte jedynie na rygiel. Melita odsunęła go bez wysiłku i wyszła w mrok nocy.

Teraz, w ogrodzie, słyszała bębny wyraźnie. Nie zastanawiając się, co robi, ruszyła przez trawnik w stronę sadu, gdzie tego popołudnia spotkała hrabiego. Kiedy już nikt nie mógłby jej zobaczyć z okien domu, skręciła w lewo. Srebrny księżyc roztaczał nad sadem eteryczny, nieziemski blask, oświetlając Melicie drogę. Szła w dół zbocza, aż znalazła się w miejscu, gdzie drzewa owocowe rosły gęściej, przeplecione sosnami i dzikimi, egzotycznymi roślinami. Odgłosy bębna stawały się głośniejsze z każdym krokiem.

Raz... dwa, trzy. Raz... dwa, trzy. Chodź... do mnie...

Po pierwszym uderzeniu wibrowała drżąca, hipnotyczna pauza. Prymitywne, dzikie, głuche dźwięki wprowadzały w trans, prześladowały, nie dawały spokoju.

Teraz Melita słyszała dudnienie bardzo wyraźnie. Stała przy - jak się jej zdawało - żywopłocie z krzewów hibiskusa. Przez moment nie była pewna, dokąd iść, ale zaraz się zorientowała, że bicie bębnów rozlega się niemal tuż przed nią.

Weszła między krzewy i posuwała się powoli, torując sobie drogę wśród zielonych gałązek, aż dojrzała światło i - w następnej chwili - pomiędzy liśćmi spostrzegła to, czego szukała.

Na małej polance osłoniętej krzewami siedziało w kręgu dziesięciu Murzynów. Cztery ustawione na ziemi świece

migotały drżącymi płomykami, oświetlając twarz Leonore, starej kobiety, którą Melita poznała, kiedy wraz z Rose - Marie odwiedziły Philippe'a. Przed Leonore stało kilka miseczek. Obok staruszki siedział Murzyn uderzający w niewielki bębenek, Dźwięk zdawał się narastać w pulsującym egzotycznym takcie. Drgała w nim żałobna nuta.

Melita zobaczyła, że ciała siedzących poruszają się w rytm uderzeń.

Ruchy zebranych były niemal niedostrzegalne, na ich twarzach malowała się błogość. Leonore miała zamknięte oczy. Kołysała się w przód i w tył. Obok miseczek stojących przed nią Melita dojrzała coś jeszcze, co z początku wzięła za rzucone na ziemię zmięte jasne ubranie.

Kiedy jednak jej oczy oswoiły się z migotliwym blaskiem świec, spostrzegła, że to nie ubranie, lecz martwy biały ptak. Przyjrzała się uważniej i zobaczyła, że był to kogut. Jego ostrogi połyskiwały w nikłym blasku świec. Wówczas z drżeniem serca pojęła, co się rozgrywa tuż przed jej oczyma. To był obrzęd voodoo!

Ci Murzyni byli wyznawcami voodoo, kultu, który przybył tu z Afryki wraz z nimi i jak Melita doskonale wiedziała, był dość rozpowszechniony na Martynice. Słyszała opowieści o przywoływaniu duchów, ale nigdy się nie spodziewała, że kiedyś zobaczy to na własne oczy. A teraz te budzące lęk obrzędy odbywały się tuż przed nią.

Rytm bębna zmienił się znowu i Leonore zaczęła mówić. W języku, którego Melita nie rozumiała, wzywała Yemanję - dziewczynie przypomniało się z jakiejś lektury, iż jest to imię bogini voodoo.

- Yemanja! Yemanja! - zawodziła Leonore.

Towarzyszył jej cichy szmer licznych głosów. To mamrotali coś Murzyni jednostajnie kołyszący się w rytm bębna.

Leonore jeszcze raz zawołała imię bogini, a w jej głosie brzmiało błaganie o pomoc. Potem wyciągnęła przed siebie obie ręce, a Philippe, siedzący tuż obok, pochylił się i coś jej podał.

To była lalka.

Melita widziała wyraźnie figurkę ubraną w strój z liści czerwonych jak... jedwab, z którego suknię nosiła poprzedniego dnia madame Boisset. Lalkę o białej twarzy i ciemnych włosach.

Melita wstrzymała oddech.

Nie było najmniejszej wątpliwości, kogo miała przedstawiać ta lalka. Leonore wzięła ją w obie ręce, uniosła do góry i zawołała ponownie:

- Yemanja! Yemanja!

Bęben jak echo powtarzał jej słowa. Nagle Leonore krzyknęła głośno, przenikliwie:

- Ratuj Etienne'a! Ratuj go!

W powietrzu dźwięczał głos młodej dziewczyny, wysoki, jeszcze niemal dziecięcy, a słowa wypowiedziane były z doskonałym francuskim akcentem!

Melicie zbrakło tchu.

W następnej chwili, zdjeta panicznym strachem, odwróciła się i zaczęła uciekać.

Biegła między drzewami. Nie myślała, co robi, instynktownie odnajdywała drogę. Uciekała szukając schronienia w swej sypialni.

Ostatkiem sił dotarła do domu i tu przystanąła na chwilę. Oparta plecami o drzwi próbowała przezwyciężyć strach, odzyskać panowanie nad sobą.

„To było voodoo - pomyślała. - Poświęcili koguta, a Leonore mówiła nie swoim głosem. Kiedy ludzie wpadają w trans, może się zdarzyć wiele dziwnych rzeczy, obojętnie, czy są biali czy czarni.”

Brzmiało to dość rozsądnie, ale Melita, skradając się po schodach do swojego bezpiecznego pokoju, wiedziała, że nie jest w stanie pojąć tego, czego świadkiem była przed chwilą.

Jak to możliwe, by Leonore, z którą przecież rozmawiała w barakach niewolników, ta stara kobieta o pomarszczonej twarzy, zapewne babka Philippe'a, mówiła głosem młodej dziewczyny i z tak wspaniałym francuskim akcentem, z jakim mówił monsieur le comte albo... - Melita wstrzymała oddech - albo jego zmarła żona, Cecile?

A więc taka była prawda.

Leonore to kapłanka czy też mambo voodoo i ktoś przemówił jej ustami. Może loa, duch kogoś zmarłego? O to prosili swoją boginię, Yemanję. Ofiara z koguta i święte naczynia - wszystko to stanowiło część rytuału mającego przywołać duchy zmarłych.

Melita drząc na całym ciele wsunęła się do łóżka, ale nie potrafiła wyrzucić z myśli tego, co widziała, rytmu bębna, obrazu czarnych ciał kołyszących się w takt muzyki i Leonore, która przemawiała głosem młodej dziewczyny. Ciągłe na nowo odtwarzała w pamięci scenę, której była świadkiem, przypominała sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszała lub czytała o voodoo, i ciągle nie mogła uwierzyć w to, co przecież widziała na własne oczy.

Mambo przywołała bogów i wstąpił w nią loa. Uczestnicy ceremonii wierzyli, nawet jeśli Melita próbowała temu zaprzeczać, że to był duch Cecile. Kiedy Leonore uniosła przed sobą podobiznę madame Boisset, rozległ się głos Cecile wołającej o ratunek dla Etienne'a, jej ukochanego męża.

- To nie może być prawda. To wszystko mi się przyśniło - powiedziała Melita do siebie.

Cecile, dawno zmarła nieszczęsna żona hrabiego, przemówiła przez usta starej Murzynki. To wprost nie mogło się zdarzyć, a przecież Melita widziała to i słyszała!

Bardzo pragnęła odnaleźć Etienne'a i opowiedzieć mu o wszystkim. Przez chwilę zastanowiła się, czy on jej nie wyśmiej, czy nie nazwie łatwowierną i naiwną, ale doszła do wniosku, że tego nie zrobi.

Na pewno ją zrozumie.

Znał tych ludzi i kochał ich, a jeśli mówił o bogach zamieszkujących górskie szczyty Martyniki, z pewnością zdawał sobie sprawę również z istnienia niepojętych bogów dżungli.

Niewolnicy, wyznając wiarę w Boga swoich właścicieli, instynktownie czcili także bóstwa, które przywieźli ze swej rodzinnej ziemi.

Voodoo!

Już sama nazwa budziła lęk, ale Melita zaraz zadała sobie rzeczowe pytanie:

„Czy takie ceremonie mogą komukolwiek zaszkodzić?”

„Lepiej wierzyć w jakiegoś bożka, niż nie mieć w sercu żadnego boga” - powtarzał często ojciec. A voodoo dawało tym ludziom szczęście, którego zaznali tak mało. Poza tym, może to dobrze, że mając tak niewiele, znajdowali pociechę w duchowej sile potężniejszej niż ich fizyczne upokorzenie?

„Jednak nawet to nie wyjaśnia - myślała Melita - w jaki sposób mogłam słyszeć głos młodej dziewczyny wydobywający się spomiędzy pomarszczonych warg Leonore.”

- Ratuj Etienne'a! Ratuj go!

Ten okrzyk ciągle brzmiał jej w uszach, aż zalekniona zaczęła modlić się słowami, które znała od dzieciństwa.

Modlitwy powoli ją uspokajały, wciąż jednak powracało natrętne pytanie:

„Dlaczego trzeba ratować Etienne'a? Przed kim albo przed czym?”

## ROZDZIAŁ 5

Obudził Melitę nagłący głos Eugenie.

- Panienko! Panienko!

Dziewczyna drgnęła i zdała sobie sprawę, że musiała przysnąć już po tym, jak zbudziła ją Jeanne. Dopiero przed samym świtem zapadła w niespokojną drzemkę i śniła jej się Leonore i dudnienie bębna.

Spojrzała na pokojówkę spod ciężkich od snu powiek i spytała rozespanym głosem:

- Która... która godzina?

Ale zanim Eugenie zdążyła jej odpowiedzieć, usiadła szybko, mówiąc:

- Zaspałam! Och, tak mi przykro! Już wstaję!

- Kłopoty, panienko. Duże kłopoty!

- Co się stało?

Z ust Murzynki popłynął wartki strumień słów w trudnym do zrozumienia, łamanym francuskim. Dopiero po dłuższej chwili Melita pojęła, co się wydarzyło.

Rose - Marie obudziła się wcześniej rano i ubrana jedynie w nocną koszulę, poszła szukać swojej lalki w pokoju lekcyjnym. Zastała ją tam Eugenie, a ponieważ dziewczynka nie chciała już wrócić do łóżka, pokojówka ubrała ją i dała śniadanie. Nakazała Rose - Marie bawić się grzecznie i zostawiła dziewczynkę samą, jako że musiała się zająć nadzorowaniem całego gospodarstwa domowego. Zeszła na dół, kiedy usłyszała, że ktoś wchodzi do domu. Któryś z nadzorców chciał się widzieć z madame Boisset, by jej powiedzieć, że brakuje jednego z ćwiczonych kogutów.

W tym miejscu Melita przerwała Eugenie:

- Ćwiczonych kogutów?

- To ptaki, które madame hodować specjalnie do walk kogutów - wyjaśniła Eugenie.



- Madame hoduje ptaki do walk kogutów? - powtórzyła Melita z niedowierzaniem.

Doskonale wiedziała, że na Martynice walki kogutów uchodzą za sport narodowy. Opowiadano jej, że odbywają się w całym kraju od listopada do czerwca na specjalnych „arenach”. Wywoływały zawsze ogromne poruszenie, a kibice tracili w zakładach niebagatelne sumy. Jeden z marynarzy opowiadał jej o tym w czasie podróży z Anglii:

- Koguty do walk są specjalnie hodowane i taka hodowla to oczko w głowie właściciela. Ptaki są starannie odżywiane i - choć nikt o tym głośno nie mówi - prawdopodobnie podaje się im narkotyki.

Uśmiechnął się i dodał:

- Nikt nie może tego udowodnić. Z całą pewnością te koguty mają naostrzone ostrogi i przystrzyżone pióra. Zanim zacznie się walka, wyglądają bardzo dziko i bojowo.

Wtedy, na statku, Melita zdecydowała, że walki kogutów to jedyna rzecz, której nie chce zobaczyć na Martynice, o której nie chce nawet słyszeć. Nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że Francuzki z towarzystwa, jak madame Boisset, z własnej woli uczestniczą w tym wstrętnym, okrutnym widowisku.

Oczywiście natychmiast odgadła, co się stało ze wspaniałym kogutem madame.

Eugenie mówiła dalej o tym, jak nadzorca powiedział madame, że słyszał nocą bębny, ale nie miał odwagi wysledzić, skąd te odgłosy dochodzą, a potem, kiedy zauważył brak koguta, był pewien, że w lesie odbyły się obrzędy voodoo.

Wtedy madame Boisset wpadła we wściekłość. Rozkazała wychłostać Leonore, znaną jako mambo niewolników.

Melita słysząc to wstrzymała oddech, bo ojciec opowiadał jej, jak okrutne i barbarzyńskie były chłosty niewolników.

Był to rytuał sam w sobie. Odarty z ubrania niewolnik przywiązywany był za ręce i nogi skórzanymi rzemieniami do leżącej na ziemi ciężkiej drewnianej platformy. Następnie ustawiano platformę pod kątem dwudziestu pięciu stopni, by katu wygodniej było zadawać baty.

- Zawsze odbywało się to publicznie - mówił sir Edward - bo miała to być nie tylko kara dla tego, kto popełnił przewinienie, lecz także przestroga dla innych.

Myśl o wymierzeniu chłosty kobiecie tak starej jak Leonore napełniła Melitę przerażeniem.

- Ona mieć dwadzieścia batów - powiedziała Eugenie. - Ona umrzeć!

- Jak można wymierzyć tak okrutną, nieludzką karę!

- To nie być wszystko, panienko.

- Nie wszystko? Cóż mogło się zdarzyć jeszcze gorszego?

- spytała Melita wstając z łóżka.

Ruszyła w stronę umywalni i usłyszała głos Eugenie:

- Niewolnicy uwięzić la petite m'nselle! Melita zamarła w pół kroku i obróciła się do Murzynki.

- Co powiedziałaś?

Eugenie powtórzyła ostatnie zdanie, a potem mówiła dalej, wyrzucając z siebie słowa tak szybko, że trudno ją było zrozumieć.

Najwidoczniej Rose - Marie, pozostawiona bez opieki, zdecydowała się iść do Philippe'a i poprosić go, żeby zrobił jej jeszcze jedną lalkę. Poszła do baraków, a w tym czasie niewolnicy dowiedzieli się, że Leonore, ich mambo, ma być wychłostana. Thumnie opuścili destylarnię, a ci, którzy wychodzili do pracy na plantacji, zawrócili mimo wysiłków nadzorców próbujących ich powstrzymać. Zanim ktokolwiek zdołał im przeszkodzić, ze ściętych drzew zbudowali barykady zagradzające przejścia do grupy baraków. Wszystko to - jak opowiadała Eugenie - stało się bardzo szybko. Działali

w szaleńczym tempie, jak ludzie obłąkani. Nadzorcy pobiegli na poszukiwanie madame Boisset, nie wiedząc, co powinni przedsięwziąć.

Zanim zaalarmowana madame Boisset zdążyła się ubrać i pójść na kopiec, gdzie każdego wieczoru modliła się z niewolnikami, barykady były już wzniesione, a ukryci za nimi ludzie odmówili wydania Leonore. Pod osłoną zwalonych pni Murzyni mogli się nie obawiać biczów nadzorców, a jedyne zagrożenie stanowiły kule pistoletów.

Według słów Eugenie, madame Boisset miała właśnie wydać rozkaz nadzorcom, by zaczęli strzelać, gdy dowiedziała się, że wśród niewolników jest Rose - Marie.

Murzyni, którzy zorientowali się, że mają w rękach cennego zakładnika, odmówili wypuszczenia la petite m'mselle, zanim nie dostaną gwarancji, że Leonore nie poniesie żadnej kary.

Kiedy Melita zrozumiała wszystko, szybko zdecydowała:

- Trzeba zawiadomić monsieur le comte.
- Monsieur wyjechać wcześniej rano, panienko!
- Więc trzeba kogoś za nim posłać! Czy jest tu ktoś, kto umie jeździć konno?
- Tak, panienko, Jacques. On objeżdżać konie, kiedy monsieur nie być tutaj.

- Powiedz mu, żeby natychmiast ruszał do Ajoupa Bouillon - rozkazała Melita. - Niech pędzi co koń wyskoczy i poprosi hrabiego, by jak najszybciej wrócił do domu.

- Ja powtórzyć - zgodziła się Eugenie. Zniknęła za drzwiami i Melita słyszała, jak biegnie korytarzem.

Skończyła się ubierać, chwyciła parasolkę, wyszła z domu i pośpieszyła w stronę kopca. Widziała na nim czerwoną suknię madame Boisset. Kobieta rozmawiała z jednym z nadzorców. Melita nie miała wątpliwości, że madame jest

rozniewana, bo słyszała piskliwy, wznoszący się coraz wyżej głos, choć z początku nie rozumiała słów.

Pośrodku kopca stał biały słup, na którym umieszczono krzyż. Melita zastanowiła się, czy madame Boisset, która tak chętnie wygłaszała kazania do niewolników, przeczytała im kiedykolwiek ewangeliczną opowieść o biczowaniu Chrystusa.

Dotarła do kopca, ale nie zaczęła się nań wspinać. Ominęła go i skierowała się prosto w stronę barykady zagradzającej wejście do baraków niewolników. Prawie dotarła do celu, kiedy madame Boisset zauważyła jej obecność.

- Dokąd pani idzie, mademoiselle? - spytała. Melita nic nie odpowiedziała, więc madame Boisset krzyknęła:

- Mademoiselle, zwracałam się do pani! Proszę tu podejść natychmiast!

Melita doszła do barykady. Widziała czarne oczy zerkające na nią spomiędzy pni drzew, a wtedy jeden z mężczyzn ukrytych za barykadą podniósł się i rozpoznała starszego Murzyna, którego widziała w destylarni.

- Panienska iść stąd - nakazał. - Nie wchodzić tutaj.

- Jeśli la petite m'nselle jest waszym więźniem - odparła Melita - albo raczej, powinnam powiedzieć, zakładnikiem, ja także chcę nim być, bo powinnam zawsze jej towarzyszyć.

Murzyn patrzył na nią zdumiony. Melita przypomniała sobie, że widziała go także poprzedniej nocy. Siedział obok Philippe'a.

- Wpuście mnie - poprosiła głośno i dokończyła ciszej, żeby nikt inny nie mógł usłyszeć, co mówi: - Posłałam po monsieur le comte. Nie poddawajcie się, dopóki nie wróci.

Odpowiedział jej błysk białych zębów odsłoniętych w uśmiechu; nieomylny znak, że ten człowiek doskonale ją zrozumiał. Murzyn wyciągnął rękę, a kiedy dziewczyna

postawiła nogę na pierwszym pniu, pomógł jej wdrapać się na górę.

Melita, stojąc przez krótki moment na szczycie barykady podtrzymywana ramieniem czarnoskórego człowieka, słyszała madame Boisset wrzeszczącą w oszalałej złości:

- Proszę tu wrócić, mademoiselle! Jak pani śmie zachowywać się w ten sposób! Jeśli zostanie pani zastrzelona, będzie pani mogła winić jedynie samą siebie!

Melita nie odpowiedziała, nawet nie odwróciła głowy. Doskonale wiedziała, że madame Boisset nie odważy się wydać rozkazu strzelania, dopóki Rose - Marie jest między niewolnikami.

Ktoś pomógł jej zejść na ziemię i zaraz od strony chaty Philippe'a nadbiegła Rose - Marie.

- Mademoiselle! Mademoiselle!

Melita pochyliła się, by ją pocałować, a Rose - Marie zarzuciła jej rączki na szyję.

- Nie boisz się, kochanie? - spytała Melita.

- Nic a nic - odparła z dumą Rose - Marie. - Ciocia Josephine jest bardzo rozgniewana, ale to złe i niegodziwe, że kazała wychłostać biedną Leonore. Ona jest już za stara, prawda, mademoiselle?

- O wiele za stara - zgodziła się Melita.

- Chodźmy do Philippe'a - poprosiła Rose - Marie. - Robi bardzo ładną lalkę.

Melita zachodziła w głowę, co się stało z lalką w czerwonej sukni, która ostatniej nocy odgrywała tak ważną rolę w obrzędach voodoo. Pomyślała jednak, że w tej chwili powinna się skupić na tym, by Rose - Marie czuła się szczęśliwa i nie zaznała strachu.

Była pewna, że może się nie obawiać szturmów na barykadę i, jakby na potwierdzenie własnych myśli, usłyszała donośny

głos jednego z nadzorców, niewątpliwie instruowanego przez madame Boisset.

- Nie dostaniecie jedzenia ani wody, dopóki się nie opamiętacie - krzyczał ten człowiek. - Kiedy zgłodniejecie, będziecie się łąsić jak zbite psy. Wtedy się przekonacie, kto tu rządzi!

Melita poczuła, że rączka Rose - Marie sztywnieje w jej dłoni.

- Czy będziemy musieli głodować, mademoiselle? - spytała dziewczynka.

- Nie, kochanie - uspokajała ją Melita. - Twój tatuś niedługo się tu zjawi i myślę, że nie pozwoli skrzywdzić Leonore.

- Ciocia Josephine jest bardzo zła. I będzie zła na tatusia, jeśli się wtrąci.

- On na pewno będzie wiedział, co zrobić - stwierdziła Melita ufnie.

Wiedziała, że niewolnicy czekali na powrót hrabiego równie niecierpliwie jak ona.

Philippe siedział w drzwiach swojej chaty. Obok niego leżała sterta liści, a za nim w biednym, pustym wnętrzu czekała Leonore.

Melita przestąpiła próg ubogiego domostwa.

- Nic ci nie grozi, Leonore - powiedziała. - Kiedy monsieur le comte o wszystkim się dowie, natychmiast wróci i jestem pewna, że nie pozwoli, byś została ukarana.

Leonore spojrzała na Melitę swoimi przenikliwymi czarnymi oczyma, które zdawały się młode mimo otaczających je zmarszczek.

Po chwili odezwała się cicho:

- Ty widzieć.

Melita nie próbowała udawać, że nie rozumie, o co jej chodzi.

- Tak, widziałam - przyznała. - Przywołało mnie dudnienie bębna, poszłam za jego wezwaniem.

Zapadła cisza. Wreszcie Leonore powiedziała:

- Ty znaleźć szczęście.

Po tych słowach odwróciła się, jakby nie miała już nic więcej do dodania.

Melita patrzyła na jej plecy, zastanawiając się, skąd ta staruszka tak dużo wie. Nie wątpiła nawet przez moment, że Leonore wie, iż była świadkiem obrzędów ostatniej nocy, a także wie o uczuciu, jakie łączy ją i hrabiego. Czuła, że nie powinna o nic pytać. Usiadła obok Rose - Marie i patrzyła, jak Philippe układa liść palmy kokosowej, który miał stanowić korpus nowej lalki.

Zacząła opowiadać dzieciom bajki, które kochała będąc w ich wieku: o Kopciuszku, o Jasiu i Małgosi... Za każdym razem, kiedy kończyła bajkę, Rose - Marie klaskała w dłonie i prosiła o następną. Dwoje dzieci całkowicie zasłuchanych w baśnie zapomniało o bożym świecie.

Melita jednak nie mogła nie pamiętać o niewolnikach skulonych za barykadami, o madame Boisset i nadzorcach obserwujących ich ze szczytu kopca.

Zrobiło się gorąco. Melita zaczynała pojmować, że trudno im będzie długo stawiać opór, jeśli zabraknie wody. Trzeba było ją przynieść z potoku, który obracał młyńskie koło. Mężczyźni pojedynczo odchodzili od barykady i znikali w chatach, by wysączyć ostatnie krople z wielkich glinianych dzbanów, które ich żony napełniły wodą i dźwigając na głowach przyniosły do domów poprzedniego wieczoru.

- Ciekawa jestem, kiedy ostatni raz jedli - odezwała się Melita zapominając na chwilę, że Philippe jest niemy.

Odpowiedziała jej Leonore. Melita drgnęła na dźwięk jej głosu, bo wydawało się jej, iż stara Murzynka zniknęła w

cieniach pod ścianą chaty - nie wiedziała, że stoi tuż za jej plecami.

- My jeść w południe i kiedy skończyć pracę. Madame dawać mało jeść. Dosyć tylko tym, co pracować.

Melita przygryzła wargi. Wydawało jej się nieprawdopodobne, by madame Boisset, dysponująca ogromną fortuną Cecile, naprawdę musiała ograniczać jedzenie dla niewolników i ich rodzin.

„Po niej można było się tego spodziewać” - pomyślała dziewczyna.

Gdy była w barakach niewolników po raz pierwszy, widziała murzyńskie dzieci bawiące się na trawie. Teraz matki zatrzymały je w chatach, by nie stało im się nic złego. Co jakiś czas któreś jednak wychodziło na słońce i Melita patrząc na nie zdała sobie sprawę, że wyglądają bardzo mizernie.

Jeżeli przedtem czuła do madame Boisset zwykłą niechęć, to w tej chwili szczerze ją znienawidziła.

„Trudno znaleźć coś bardziej okrutnego niż rozmyślane pozbawianie jedzenia dzieci, szczególnie jeśli nie ma ku temu najmniejszego powodu.”

Mimo że Leonore milczała, Melita miała wrażenie, że stara Murzynka czyta w jej myślach.

Po jakimś czasie Melita zapytała:

- Co dostajecie do jedzenia?
- Solone śledzie.
- Nie ryby łowione w okolicznych morzach?
- Nie. Solone śledzie z Ameryki.

Melita domyśliła się, że są one tańsze niż świeże ryby, które można było kupić na miejscu.

- Monsieur dawać nam kraby, gulasz z prosiaka, orzechy kokosowe i palącą paprykę, ale teraz już nic.

Melita wyraźnie słyszała w głosie starej kobiety żal i głód.



Nie chcąc denerwować Rose - Marie, wróciła do historyjek i wierszyków, które pamiętała z własnego dzieciństwa. Opowiadała bajki i recytowała wyliczanki, jakie sprawiały jej wtedy radość.

Minęło już południe, gdy Rose - Marie odgarnęła włosy z czoła i odezwała się płaczliwie:

- Tak mi gorąco, mademoiselle. Chce mi się pić. Melita pomyślała, że sama mogłaby użyć dokładnie tych samych słów. Baraki niewolników otoczone były drzewami, więc jeśli nawet znad morza wiała chłodna bryza, tutaj nie docierała. Melita czuła suchość w ustach i coraz trudniej było jej mówić.

- Twój tatuś niedługo wróci, kochanie - pocieszyła dziewczynkę.

W tym samym momencie serce zabiło jej mocniej, bo w oddali na drodze dostrzegła obłok kurzu! W chwilę później dojrzała pędzącego wyciągniętym cwałem konia z jeźdźcem na grzbiecie.

Hrabia wjechał na kopiec i tam wstrzymał wierzchowca.

Madame Boisset, która mniej więcej godzinę wcześniej opuściła swój posterunek, właśnie wróciła. Melita nic nie mówiąc dzieciom obserwowała przebieg wydarzeń. Nawet z takiej odległości widziała, że madame Boisset trzyma coś w dłoni. Podejrzewała, że to pistolet.

- Co się tu dzieje? - zapytał hrabia na tyle głośno, by usłyszała go nie tylko madame Boisset, lecz także niewolnicy za barykadą.

- Ach, więc wróciłeś, Etienne - odezwała się zimno madame Boisset. - Zrób użytek ze swojego autorytetu i uwolnij córkę z rąk tych kryminalistów!

- Dlaczego ją uwięzili? - spytał hrabia.

- Mamy tu rebelię - odparła madame Boisset. - Wszyscy biorący w niej udział zostaną przykładowo ukarani, a prowodyrów każę stracić. Mogą być tego pewni!

Melita zorientowała się, że madame Boisset celowo mówi głośno, by zastraszyć niewolników.

- Jeśli to rzeczywiście rebelia - odezwał się hrabia - w co mocno wątpię, chciałbym znać jej przyczynę.

Zsiadł z konia, oddał wodze jednemu z nadzorców i podszedł do barykady.

Wówczas Murzyn, który pomógł przejść Melicie. wychylił głowę znad drewnianej przeszkody.

- O co chodzi, Frederic? - zapytał hrabia.

- My nie chcieć. Leonore być wychłostana, monsieur. Ona być za stara. Ona być dla nas mambo.

- Kara nie zostanie wymierzona - oznajmił hrabia. - Nie zezwolę na jakąkolwiek chłostę w tym majątku, dopóki należy on do mnie.

Przez chwilę wszystko wskazywało na to, że niewolnicy nie pojmują tego, co właśnie usłyszeli, aż nagle wszyscy poderwali się ze swych miejsc, a powietrze wypełniły okrzyki radości.

- Wpuście mnie? Chciałbym porozmawiać z córką.

Chętne ręce pośpiesznie usunęły pnie drzew i po chwili w barykadzie powstało przejście.

Rose - Marie siedząca u boku Melity zerwała się na równe nogi i podbiegła do ojca.

- Tatku! Tatusiu! - krzyczała, zarzucając mu rączki na szyję. - Nie było cię tak długo! I chce mi się pić!

- Chodź, poszukamy czegoś do picia - rzekł spokojnie hrabia.

Spojrzał nad głową dziewczynki prosto w oczy Melity. Bez słów wyraził, że dobrze zrobiła posyłając po niego i że bardzo jest jej za to wdzięczny.

Melita podeszła bliżej.

- Niewolnicy są spragnieni i głodni - powiedziała cicho. - Dostają za mało jedzenia. Spójrz na dzieci. Jakie są chude!

Monsieur le comte zapłonął gniewem. Z Rose - Marie na rękach podszedł do nadzorców stojących u podnóża kopca.

Madame Boisset zniknęła.

- Wydać każdemu potrójną rację żywności - rozkazał hrabia. - I nie rozpoczynać pracy, aż wszystko zostanie zjedzone. Zrozumieliście?

- Tak, monsieur.

Nadzorczy wyraźnie czuli się nieswojo i unikali wzroku pana na Vesonne - des - Arbres.

- Słyszeliście, co powiedziałem - ciągnął hrabia surowo. - Nigdy więcej nie będzie w tym majątku kary chłosty.

Odwrócił się do niewolników, którzy burzyli barykadę.

- Zostawcie to teraz - polecił. - Skończycie po jedzeniu. Idźcie do magazynu, tam czeka na was posiłek. I niech kobiety przyniosą wodę. Wszystkim wam przyda się coś do picia.

Ponownie rozległy się wiwaty. Hrabia zaczekał, aż Melita podejdzie do niego i niosąc córkę na rękach, ruszył w górę zbocza, do domu.

- Zawróciłem natychmiast, jak tylko usłyszałem, co się stało - powiedział hrabia. - Nie spodziewałem się, że i ciebie zastanę w barakach niewolników, choć właściwie powinienem był się domyślić, że będziesz przy Rose - Marie.

W jego głosie słyhać było pieszczotliwe nuty, które w uszach Melity brzmiały jak najpiękniejsza muzyka.

- Wiesz, tatusiu - odezwała się Rose - Marie - mademoiselle opowiadała nam cudowne historie! Philippe'owi także się podobały, chociaż nie mógł tego powiedzieć.

Nagle przypomniała sobie powód, dla którego znalazła się w barakach niewolników.

- Ciocia Josephine zabrała mi lalkę, którą dostałam od Philippe'a. Musisz jej powiedzieć, tatusiu, że Philippe może robić dla mnie lalki. One mi się bardzo podobają.

- Powiem jej, córeczko - obiecał hrabia tonem, który nie wróżył madame Boisset nic dobrego.

Jednak tego popołudnia nie miał okazji z nią porozmawiać.

W domu zastali stół przygotowany do obiadu, ale posiłek jedli tylko we troje. Zawiadomiono ich, że madame Boisset odpoczywa w swoim pokoju.

Kiedy skończyli jeść i Eugenie przyszła zabrać Rose - Marie na sjęstę, hrabia zwrócił się do Melity:

- Nie mogę czekać do jutra. Wyjadę do Saint - Pierre natychmiast. Ta sytuacja jest nie do zniesienia. Im szybciej się zmieni, tym lepiej.

- Masz rację - zgodziła się Melita. Czuła, że nie zniesie jeszcze jednej burzliwej sceny między madame Boisset i człowiekiem, którego kocha.

- Wiesz, że wrócę najszybciej, jak będę mógł.

- Mam przecucie, że ci się powiedzie. I... nieważne, ile zdołasz pożyczyć. Jakoś damy sobie radę.

Hrabia uśmiechnął się do niej. Nie potrzebował słów, by wyrazić ogrom swej miłości.

Stali tak nie mogąc oderwać od siebie oczu, aż wreszcie hrabia się odwrócił, wziął swój cylinder i rękawiczki, przeszedł przez werandę i ruszył ku stajniom.

Melita poszła do swojej sypialni. Dziś nie miała powodu, by wychodzić do ogrodu albo spacerować pod gałęziami pomme d'amour.

Jej serce przepelniała miłość, oddychała miłością, miłość zajmowała każdą jej myśl. Miłość do Etienne'a zmieniła cały jej świat.

- Kocham go!

Szczęście ją upajało, w uszach jej brzmiała niebiańska muzyka. Chciała tańczyć w tej radości, która zda się była zbyt wielka, by pomieścić się w dziewczęcym sercu.

Rose - Marie, zmęczona wrażeniami minionego poranka, spała dłużej niż zazwyczaj. Kiedy się obudziła, Melita grała dla niej na fortepianie. Potem poszły na spacer do ogrodu, przyglądały się papugom i nakarmiły małpki. Dziewczynka zadawała mnóstwo pytań, a Melita nie miała ochoty prowadzić tego dnia prawdziwych lekcji.

Dopiero w drodze do domu dziecko zapytało:

- Ciekawa jestem, gdzie ciocia Josephine schowała moją lalkę. Poszukamy jej, dobrze?

- Nie dzisiaj, kochanie. Zaczekajmy, aż wróci tatuś i wtedy poprosimy go, by powiedział cioci Josephine, że Philippe może robić zabawki dla ciebie. Wówczas nie trzeba już będzie się z tym ukrywać.

- Przez ten czas Philippe będzie mógł mi zrobić nową piękną lalkę, prawda? - spytała Rose - Marie.

- Najpiękniejszą ze wszystkich - przytaknęła Melita.

Rose - Marie zjadła kolację i w dobrym humorze położyła się do łóżka. Czule ucałowała Melitę na dobranoc i zapytała:

- Czy pani zna jeszcze dużo różnych bajek, mademoiselle?

- Tak, kochanie.

- I opowie mi je pani?

- Nie wszystkie naraz - uśmiechnęła się Melita - a kiedy nauczysz się czytać, może będziesz wołała niektóre z nich poznać sama.

- Tak, chciałabym. Bardzo się cieszę, że pani tu jest, mademoiselle.

- I ja się cieszę, że tu jestem - powiedziała Melita szczerze.

Przebierając się do kolacji Melita pełna najgorszych przeczuczeń zastanawiała się, co zastanie w salonie.

Madame Boisset przez pokojówkę zawiadomiła, że oczekuje, iż guwernantka dotrzymania jej towarzystwa przy stole.

Melita nie mogła odmówić, choć miała głębokie przeświadczenie, że będzie to bardzo nieprzyjemny posiłek.

Kiedy schodziła na dół, nogi się pod nią uginały. Musiała trzymać się poręczy. Z każdym krokiem wiodącym do salonu coraz trudniej było jej iść.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Melity madame Boisset, stojąca przy oknie salonu, odwróciła się do niej z uśmiechem na ustach.

- Dobry wieczór, mademoiselle - odezwała się miłym głosem. - Jako że jesteśmy dziś wieczorem same, sądzę, iż możemy sobie pozwolić na nieco swobody. Naszykowałam dla nas po kieliszku madery. Mam nadzieję, że nie odmówi mi pani swego towarzystwa?

Jeśli przed chwilą Melita poczuła się zaskoczona życzliwym tonem madame Boisset, to teraz była całkowicie zdumiona, widząc na stoliku z drzewa satynowego, przysuniętym do sofy, kieliszek madery. Drugi kieliszek, najwyraźniej przeznaczony dla niej, ustawiono przed prostym twardym krzesłem, które zajmowała poprzedniego wieczoru. Nie lubiła madery, ale przecież nie mogła tego powiedzieć w tej chwili.

Madame Boisset zamierzała właśnie zająć swoje miejsce na sofie, gdy do pokoju weszła Eugenie.

- Kolacja poda... - zaczęła.

Z cichym okrzykiem wskazała odległy kąt salonu.

- Wąż! Madame! Wąż! Madame Boisset obróciła się szybko.

- Gdzie? Gdzie? - spytała. - Przepędź go stąd, Eugenie! - Patrzyła w miejsce wskazane przez służącą.

Ku zdumieniu Melity, Eugenie, mijając stolik z satynowego drzewa, zamieniła miejscami kieliszki z maderą!

Zrobiła to tak szybko, że Melita ledwie zdała sobie z tego sprawę. Już w następnej sekundzie kieliszek madame Boisset

stał przed Melitą, a przeznaczony dla niej - przed miejscem, które miała zająć madame.

- Nie widzę żadnego węża! - powiedziała madame z niepokojem.

- Tam rano być wąż, madame - tłumaczyła Eugenie. - Ale madame się nie obawiać. Mężczyźni go zabić.

- Aż drzę cała! - wykrzyknęła madame Boisset. Odwróciła się do stolika i zajęła swoje miejsce na sofie.

- Chyba pani słyszała, mademoiselle, że na Martynice żyje kilka gatunków bardzo jadowitych węży? Szczególnie niebezpieczna jest żararaka, jej ukąszenie przynosi pewną śmierć.

- Kolacja podana... - odezwała się Eugenie.

- Nie powinniśmy pozwolić, by nam wystygło pierwsze danie - powiedziała madame. - Proszę wypić maderę, mademoiselle, i przejdziemy do stołu. - Mówiąc to, wypła wino ze stojącego przed nią kieliszka.

Melita zmusiła się, by przełknąć trunek, i ruszyła śladem madame, szeleszczącej suknią.

W czasie kolacji dziewczynie trudno było uwierzyć, że siedzi przy stole z tą samą osobą, która od samego początku była dla niej tak nieprzyjemna i opryskliwa. Teraz prowadziła uprzejmą rozmowę o wyspie, o ojcu Melity i jego wspaniałej karierze dyplomatycznej. Opowiadała o cesarzowej Józefinie i opisywała jej dom w Trois - Llets.

- Moja ciotka doskonale знаła tę rodzinę - mówiła. - Z tego co mi wiadomo, Józefina zawsze, nawet jako mała dziewczynka, miała opinię nieco lekkomyślnej i zbyt swobodnej.

- Jednak zrobiła świetną partię - zauważyła Melita.

- Och, Napoleon! Mimo tych wszystkich wojennych sukcesów to tylko Korsykanin - odparła madame Boisset.

Jej głos przepęniała pogarda Francuzki, w której żyłach płynie błękitna krew.

Melita pomyślała, że jej ojciec byłby ubawiony takim snobizmem.

- Kiedy Józefina miała dziesięć lat, pewien indiański czarownik przepowiedział jej, że będzie królową Francji - powiedziała madame.

- Wierzy pani w przepowiednie? - spytała Melita.

- Niekiedy - odparła w zadumie madame Boisset - choć wielu jasnowidzów to zwykli oszuści i szarlatani.

- Jednak w przypadku cesarzowej Józefiny przepowiednia się sprawdziła.

- Kiedyś wróżbita przepowiedział mi... - madame Boisset urwała.

Melita czekała w milczeniu.

- Jego przepowiednia się nie spełniła - dodała madame po dłuższej chwili. - Nie sprawdziła się... jeszcze.

Melita mogła z łatwością odgadnąć, czego madame chciała się dowiedzieć od jasnowidza, ale nie śmiała zadawać pytań.

Kolacja, o wiele mniej wystawna niż posiłki podawane w czasie obecności hrabiego, szybko dobiegła końca. Kiedy wstały od stołu, Melita złożyła ceremonialny ukłon.

- Dziękuję pani, madame. Bonsoir.

- Dobrej nocy, mademoiselle, dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa,

- Ja także pani dziękuję, madame - odparła Melita i poszła na górę.

Była zaintrygowana. Cóż mogło aż tak odmienić madame Boisset? Co się wydarzyło? Trudno było uwierzyć, że się jej spodobało dzisiejsze zachowanie Melity. która przecież przeciwstawiła się jej rozkazom, kiedy postanowiła towarzyszyć Rose - Marie w barakach niewolników.



Niemożliwe też, by nie doprowadził jej do wściekłości sposób, w jaki hrabia przyznał rację niewolnikom, ani fakt, że właściwie nagroził ich dodatkowymi racjami żywności i obietnicą uwolnienia od kar.

„Czyżby naprawdę madame Boisset pogodziła się z takim upokorzeniem? - zastanawiała się Melita idąc po schodach. - To zupełnie nie pasuje do jej charakteru!”

Choć powtarzała sobie, że to absurdalne, nie mogła się pozbyć uczucia, iż w uprzedzająco grzecznym zachowaniu madame kryło się coś złowieszczonego. Wiedziała na pewno, że madame zamierzała ją odprawić i odesłać z powrotem do Anglii. Przecież nieposłuszeństwo wobec jej rozkazów było doskonałym po temu pretekstem. A tymczasem madame Boisset była wprost ujmująca.

„To bardzo dziwne. Zupełnie tego nie rozumiem” - pomyślała Melita.

Pragnęła, żeby hrabia już wrócił. Chciała opowiedzieć mu o wszystkim, co się wydarzyło. On na pewno potrafiłby to wyjaśnić. Wiedziała, że do tej pory dotarł już do Saint - Pierre i być może właśnie szedł do banku. Ta myśl sprawiła, że Melita zaczęła się modlić o powodzenie jego przedsięwzięcia. Skoro rodzina hrabiego była tak dobrze znana, to chyba bankierzy mu zaufają?

Błędem byłoby zaciągnięcie zbyt dużej pożyczki. Mogłaby się kiedyś okazać kamieniem u szyi. Na początek nie była im potrzebna wysoka suma. Chociaż Melita niewiele wiedziała na temat rolnictwa, nie mogła się pozbyć wrażenia, że zbiory, które widziała, kiedy hrabia wiozł ją do Vesonne - des - Arbres, były obfite i wyglądały nad wyraz dorodnie. Dzięki pożyczce mogliby przetrwać zimę. Jedno było pewne - bez względu na to czy bieda zajrzy im w oczy, ich niewolnicy nigdy nie będą głodować.

Melita dotarła do szczytu schodów i skierowała się do pokoju lekcyjnego, by poukładać zabawki i złożyć nuty.

Potem zajrzała do sypialni Rose - Marie. Dziecko spało mocno. Pochyliła się nad dziewczynką i okryła ją prześcieradłem, które Rose - Marie odrzuciła, bo kiedy szła spać, było jeszcze bardzo ciepło.

Wyprostowała się, popatrzyła na śpiącą dziewczynkę, a potem na zawieszony nad łóżkiem portret matki. Obie były do siebie uderzająco podobne. Ten sam wykrój oczu, ust, niemal identyczne owale twarzy. Głos który Melita słyszała z ust Leonore ostatniej nocy. mógłby należeć do Rose - Marie.

Ta myśl nasuwała dziewczynie dziesiątki pytań, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Melita poszła do swojej sypialni.

Zapaliła świece stojące przy łóżku, a kiedy się odwróciła, z zaskoczenia krzyknęła cicho. W drugim końcu pokoju, na stole, leżała lalka!

Było to dzieło Philippe'a i dziewczyna w pierwszej chwili pomyślała, że to on musiał ją tu położyć, wiedząc, że Melita ją znajdzie i da Rose - Marie. Podeszła bliżej i spostrzegła coś znajomego w kształcie i kolorze sukni lalki. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że portret w dziecinnej sypialni i figurka z liści przedstawiały tę samą osobę.

Bez najmniejszych wątpliwości była to podobizna Cecile!

Biały liść zastępował twarz, a brązowe zwoje po bokach wyobrażały włosy. Suknia z odsłoniętymi ramionami i biały koronkowy szal były dokładnie takie same jak te, które malarz przedstawił na portrecie zawieszonym nad łóżkiem Rose - Marie.

Szeroka spódnica została uformowana z białych liści jakiejś dziwnej rośliny, niemal takich samych jak połyskliwy muślin, który miała na sobie Cecile.

Melita stała patrząc na lalkę i czuła w głowie zamęt. Dlaczego Philippe zrobił dla niej lalkę wyobrażającą Cecile?

Oczywiście nie był to pomysł kalekiego niemego chłopca, lecz jego babki, Leonore, mambo, dla której jak Melita wiedziała, nie było żadnych tajemnic.

„Dlaczego? - zachodziła w głowę. - Dlaczego?”

To pytanie powtarzała w myślach bez ustanku. Stała i przyglądała się lalce. Podobieństwo uchwycone przez Philippe'a nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Lalka była tak śliczna, że żal było pomyśleć, iż za tydzień czy dwa precudna figurka stanie się kupką zwiędłych liści.

Melita długo stała wpatrując się w lalkę. Potem, ciągle nie mogąc znaleźć odpowiedzi na pytanie, które nieustannie do niej wracało, powoli zaczęła się rozbierać.

Znalazła się w sypialni dosyć wcześnie. Zastanawiała się, czy nie poczytać jeszcze w łóżku, ale doszła do wniosku, że jednak pójdzie spać. Poprzedniej nocy nie wypoczęła należycie i była bardzo znużona po emocjach i niepokojach minionego dnia. Zmęczyły ją niespodziewane wydarzenia, następujące tak szybko jedno po drugim, uwieńczone dziwnym zachowaniem madame Boisset przy kolacji. Nie miała już siły nawet myśleć.

Wsunęła się do łóżka i odwróciła, żeby zdmuchnąć świecę. Wyraźnie czuła obecność lalki w pokoju. Z trudem powstrzymywała się, by nie patrzeć w tamtą stronę. W ciemności przytuliła twarz do poduszki.

Przez sen usłyszała czyjeś wołanie.

Obudziła się i natychmiast pomyślała o Rose - Marie. Nadśłuchiwała, podobnie jak poprzedniej nocy, kiedy wyławiała z ciszy nieuchwytnie pomruki bębna. Nagle usłyszała głos tak bliski i wyraźny, że nie miała pewności, czy przypadkiem nie rozlega się w jej własnych myślach:

„Zajrzyj za obraz, zajrzyj za obraz!”

To był głos Cecile! Głos, który poprzedniej nocy. w lesie, wydobywał się z ust Leonore.

Melita usiadła. Była tak wzburzona, że bicie jej serca rozlegało się chyba głośnie echem w sypialni.

„Zajrzyj za obraz!” - usłyszała znowu.

Ktoś do niej mówił. Ale kto? Musiała działać natychmiast. Doświadczała tego samego uczucia, które poprzedniej nocy kazało jej pójść do dżungli. Podniosła się z łóżka.

W pokoju kładły się długie cienie, ale przez odsłonięte okna wpadało wystarczająco dużo blasku księżyca, by mogła rozróżnić zarysy mebli.

Otworzyła drzwi i poszła do sypialni Rose - Marie. W pokoju unosiła się woń kwiatów, której Melita nie czuła wcześniej. Dziewczyna podeszła do łóżeczka. Mała poruszyła się sennie i wyszeptała:

- Mamo! Mamusiu!

Melita zamarła w bezruchu. Dziecko miało zamknięte oczy i z całą pewnością nie mówiło do niej. Podniosła wzrok na obraz.

Czy to było złudzenie, czy rzeczywiście postać Cecile przez chwilę emanowała jasną poświatą? Melita czuła czyjąś obecność w pokoju. Obecność kogoś, kogo nie mogła zobaczyć.

Potem, jakby wykonując czyjeś polecenia, chwyciła ramę portretu i odsunęła go od ściany.

Nic się nie stało.

Drugą dłonią przesunęła po tylnej stronie obrazu. Coś tam było!

Pociągnęła delikatnie i tajemniczy przedmiot, przyklejony do bocznej ramy, pozostał jej w palcach. Opuściła obraz na miejsce. W ciemnościach widziała jedynie, że trzyma w ręku kartkę papieru i kopertę. Pomyślała, że właśnie to miała znaleźć.

Kiedy wychodziła, Rose - Marie nawet się nie poruszyła.

Melita wróciła do swojej sypialni. Zapaliła świece przy łóżku, by móc sprawdzić, co zostało tak przemyślnie ukryte.

Była to zwykła złożona kartka papieru oraz zapieczętowana koperta z jednym słowem: „Etienne”. Melita, rozkładając kartkę, czuła, jak narasta w niej podniecenie. Nachyliła się ku świecy. Pismo było okrągłe, nie wyrobione i łatwe do odczytania, jak pismo dziecka.

3 maja 1839

Ja, Cecile Marie Louise, hrabina de Vesonne, ustanawiam niniejszym moją ostatnią wolę.

Zapisuję wszystko, co posiadam, mojemu najukochańszemu mężowi, Etienne'owi, hrabiemu de Vesonne.

Cecile de Vesonne

Niżej dodano jeszcze: „Eugenie - podpis. Jeanne - podpis.” Przy każdym imieniu widniał krzyżyk nakreślony niewprawną dłonią.

Melita przez dłuższą chwilę wpatrywała się w wykaligrafowane litery, potem zamknęła oczy.

Jej modlitwy zostały wysłuchane! Etienne był ocalony, tak jak chciała Cecile.

## ROZDZIAŁ 6

Melita ubrała się w kostium do jazdy konnej. Nie zapaliła Świec, poruszała się prawie po omacku. Nim się przygotowała do wyjścia, niebo pojaśniało, a gwiazdy zaczęły blednąć. Zbliżał się świt.

Idąc na palcach przemknęła do pokoiku Eugenie. Mieścił się on obok sypialni Rose - Marie, by Murzynka mogła słyszeć, czy dziecko nie zbudziło się w nocy i czy jej nie potrzebuje.

Melita bała się zapukać do drzwi, żeby nie zaalarmować madame Boisset, która mogłaby pokrzyżować jej plany. Bardzo wolno nacisnęła klamkę i w bladym świetle poranka wpadającym przez drzwi zobaczyła Eugenie śpiącą na wąskim drewnianym łóżku. Dotknęła jej ramienia i pokojówka zbudziła się natychmiast.

- Zachowuj się cicho - szepnęła Melita. - Potrzebuję twojej pomocy.

Eugenie wstała z łóżka, wzięła szal ze stojącego obok krzesła i zarzuciła go na ramiona, okrywając nocną koszulę.

- Posłuchaj - szeptała Melita. - Muszę natychmiast pojechać do Saint - Pierre odszukać hrabiego. To bardzo ważne! Potrzebny mi koń.

- Ja zaprowadzić do stajni - powiedziała Eugenie. - Panienska zaczekać na dole. Ja zaraz zejść.

Melita ruszyła w stronę drzwi, a kiedy była już przy nich, Eugenie odezwała się nieco głośniejszym głosem:

- Nie bać się obudzić madame. Ona spać bardzo mocno.

Melita nie zadawała już żadnych pytań, a kilka minut później, gdy Eugenie, ubrana w swoją zwykłą perkalową sukienkę i biały fartuch, zeszła na dół i stanęła obok niej u stóp schodów, otrzymała wyjaśnienie:

- Madame zawołać mnie w środku nocy. Straszny ból! Ja dać jej zioła na sen. Ona spać długo.

Melita odetchnęła z ulgą. Idąc szybko w kierunku stajni zapytała:

- Eugenie, zaopiekujesz się Rose - Marie? Wrócę najszybciej, jak będę mogła.

- Nie trzeba się śpieszyć - uspokoiła ją pokojówka. - Madame się nie dowiedziec, że panienka wyjechać.

Melita mocno w to wątpiła i niepokoiła się, czy zdoła odjechać, zanim wszyscy zaczną wstawać.

Eugenie obudziła Jacques'a, który zarzucił damskie siodło na zwawego kasztanka. Przy innej okazji Melita byłaby szczęśliwa na samą myśl, że może osiąść tak wspaniałego konia. Teraz jednak myślała tylko o jednym, miała jeden cel, jedno jedyne pragnienie - odnaleźć hrabiego i przekazać mu to, co tkwiło schowane za portretem Cecile.

Jacques pomógł jej wspiąć się na siodło. Ułożyła fałdy spódnicy i skierowała konia na zachód, ku Saint - Pierre.

Wiedziała na szczęście, że do miasta prowadzi tylko jedna droga i trudno byłoby zabłądzić. Jednak lękała się nieco samotnej jazdy przez tropikalną dżunglę.

Jak się okazało, obawy te były płonne. Skoro tylko straciła z oczu Vesonne - des - Arbres, nadszedł świt, a wówczas promienie słońca rozproszyły nocne cienie i strachy. Wszystko dokoła spowijał złoty blask, choć Melita nie miała pewności, czy kwiaty i egzotyczne rośliny rozświetlają promienie słońca czy też radość, która przepełniała jej serce. Kasztanek, z początku swawolny, uspokoił się szybko i szedł równym, płynnym kłusem, tak że Melita spodziewała się, iż dotrze do Saint - Pierre najdalej za dwie godziny.

W rzeczywistości podróżowała nieco dłużej. Kiedy w cieniu drzew zjeżdżała zboczem wzgórza do miasta, uprzytomniła sobie, że zapomniała już, jak duże jest Saint - Pierre i jak wiele w nim ulic, wśród których łatwo się zagubić.

Zatrzymała jakiegoś człowieka i poprosiła, by wskazał jej drogę do chateau Vesonne. Wiedziała, że tak się nazywa dom, w którym zamieszkali rodzice Etienne'a, gdy opuścili plantację. Nie miała pojęcia, przy jakiej ulicy ani nawet w jakiej części miasta się on znajduje i obawiała się, że wiele razy będzie musiała pytać o drogę, nim go w końcu znajdzie.

Tymczasem okazało się, że hrabia jest znany w mieście lepiej, niż przypuszczała, bo stary Murzyn wskazał palcem w lewo i powiedział niskim, gardłowym głosem:

- Za katedrą, madame. Duży dom. Pani trafić na pewno.

Białe wieże katedry, które Melita widziała, gdy statek wpływał do portu, wznoszące się wysoko ponad czerwonymi dachami domów, stanowiły znak rozpoznawczy trudny do przeoczenia.

Mimo wczesnej pory ulice były już zatłoczone. Kobiety w jaskrawych - czerwonych, pomarańczowych i niebieskich - sukniach niosły na głowach kosze pełne owoców. Mężczyźni w słomkowych kapeluszach o szerokich rondach śpieszyli dźwigając wielkie wiklinowe kosze. Środkiem ciągnęły osły objuczone wielkimi pakami i konne wozy wyładowane świeżo ściętą trzcina cukrową i ananasami.

Za katedrą ruch był znacznie mniejszy. Po obu stronach ulicy stały domy bardziej okazałe i zbytkowne. Jeden wyglądał wspanialej od drugiego, a każdy otoczony był ogrodem pełnym kwiatów. Melita próbowała odgadnąć, który z nich należy do hrabiego.

Po jakimś czasie ukazał się jej oczom uroczy pałacyk, inny niż pozostałe. Stał w majestatycznym odosobnieniu. W otaczającym go ogrodzie kwitły bugenwille, a do wejścia prowadził rząd strzelistych cyprysów jak oddział zielonych wartowników. Dom zbudowano na wzór francuskich chateau, dodano mu jedynie, jak we wszystkich siedzibach w mieście, cieniastą werandę.



Melita była pewna, że pomalowane na perłowy kolor ściany i okiennice miały przypominać ojcu Etienne'a jego rodzinny kraj, pozostawiony za oceanem. Nie musiała nikogo pytać, czy dobrze trafiła. Nie miała żadnych wątpliwości, że odnalazła dom hrabiego. Kiedy podjechała do kutej z żelaza bramy, ujrzała na jej szczycie złoty herb hrabiów de Vesonne. Wąski podjazd prowadził do kilku stopni wiodących do drzwi.

Melita była wreszcie na miejscu. Nie bardzo wiedziała, co powinna teraz zrobić. Bezradnie zastanawiała się, czy ma zsiąść z konia i pociągnąć za dzwonek wiszący przy drzwiach.

Wówczas zza rogu chateau wyszedł jakiś człowiek. Melita rozpoznała w nim lokaja, który towarzyszył hrabiemu, gdy monsieur le comte przyjechał po nią do portu.

Lokaj spojrział na dziewczynę zdumiony, lecz zaraz pośpieszył ku niej.

- Bonjour, mademoiselle - powitał ją z uśmiechem.

- Bonjour - odpowiedziała Melita. Poczowała się pewniej widząc znajomą, przyjazną twarz.

Zsiadła z konia i ruszyła w stronę drzwi, ale zanim tam doszła, ukazał się w nich starszy Murzyn.

Miał siwe włosy i ubrany był w biały płócienny strój służącego.

- Czy monsieur le comte jest w domu? - spytała Melita drżącym głosem. Po raz pierwszy zastanowiła się, co miałyby zrobić, gdyby nie zastała Etienne'a. Trudno byłoby go znaleźć w tak dużym mieście.

- Monsieur le comte właśnie je śniadanie, panienko. Melita weszła do hallu. Jak w większości domów w krajach podzwrotnikowych, wszystkie drzwi były szeroko otwarte, dzięki czemu widziała wyraźnie salon, a za nim werandę, gdzie siedział hrabia de Vesonne. Czytał gazetę. Podniósł głowę i spojrział na Melitę, jakby go zawołała bez słów.

Pobiegła do niego przez hall i salon tak szybko, że zdążył zrobić w jej kierunku tylko dwa kroki i już była przy nim.

- Melito, kochanie, skąd się tutaj wzięłaś? - spytał zdumiony.

- Och, Etienne, mam coś dla ciebie, coś tak wspaniałego, że wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Przyjechałaś z Vesonne - des - Arbres? Sama? - Hrabia był zaniepokojony.

- Tak, tak, nie było w tym nic trudnego - rzuciła pośpiesznie Melita. - Musiałam się z tobą zobaczyć, nie mogłam czekać. - Mówiąc to rozpięła górne guziki żakietu i wydobyla ukrytą na piersi kartkę wraz z kopertą, znaną za portretem w pokoju Rose - Marie.

Podala mu papiery w wyciągniętej ręce, a on wziął je nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że jesteś tutaj - powiedział. - Przez całą noc myślałem o tobie, całą noc za tobą tęskniłem.

- Przeczytaj to, proszę - nalegała Melita. - Przeczytaj!

Uśmiechnął się rozbawiony jej niecierpliwością i rozłożył kartkę, na której Cecile nakreśliła swą ostatnią wolę. Spojrzał na papier, przeczytał, potem przeczytał jeszcze raz.

- Powiedziałaś, że to znalazłaś? - odezwał się po długim milczeniu, które dla Melity trwało całą wieczność.

Przyglądała mu się uważnie.

- Tak, znalazłam - odpowiedziała po krótkiej chwili. - Wszystko ci opowiem. Czy to jest... prawomocne?

W głosie dziewczyny brzmiała obawa, która czaiła się w zakamarkach jej myśli przez całą drogę do Saint - Pierre. Jeśli ten testament byłby nieważny w obliczu prawa? Wówczas niepotrzebnie rozbudziłaby w hrabim nadzieję.

Monsieur le comte spojrział na datę.

- Ten testament został sporządzony dwa dni po poprzednim - stwierdził po chwili.

- Miałam nadzieję, że tak będzie. - Melita odetchnęła z ulgą i osunęła się na najbliższe krzesło.

Hrabia położył ostatnią wolę Cecile na stoliku i obejrzał kopertę. - Co jest w środku?

- Nie wiem, jest zaadresowana do ciebie.

Wziął srebrny nóż, rozciął kopertę i wyjął z niej kartkę papieru. Czytał powoli, a Melita nie odrywała od niego oczu.

Wreszcie, z dziwnym wyrazem twarzy, podał jej papier.

Kiedy dziewczyna wzięła kartkę, odszedł kilka kroków, stanął na progu werandy i oparty o jedną z podtrzymujących ją kolumn niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w ogród zalany słonecznym blaskiem.

Melita z lękiem spojrzała na pismo, które jej podał, i zaczęła czytać:

Najdroższy Mężu!

Josephine zmusiła mnie do podpisania haniebnego testamentu, w którym ustanawiam ją moją jedyną spadkobierczynią. Wiem, że postąpiłam źle, ale nie mogłam inaczej. Błagam, wybacz mi! Napisałam drugi testament i schowałam go tak, że Josephine nigdy go nie znajdzie.

Twoja kochająca żona Cecile.

Dalej staranne pismo zmieniało się w prawie nieczytelny tekst upstrzony kleksami.

Myślę, że Josephine chce mnie zabić. Dała mi do wypicia kieliszek madery. Przez całą noc cierpiałam straszne bóle.

Dzisiaj znów poczęstowała mnie kieliszkiem wina, a kiedy odmówiłam, przyniosła mi kawę, która bardzo dziwnie smakowała. Zmusiła mnie, żebym wypła choć trochę, i obawiam się... jestem pewna, że ona chce, bym umarła! Ratuj mnie, Etienne! Tylko Ty możesz mnie ocalić! Jeśli nie wrócisz szybko do domu, może być za późno...

Tu pismo się urywało, pod nim była tylko wielka plama z atramentu, jakby pióro upadło na papier. Melita podniosła wzrok.

Teraz już rozumiała, dlaczego madame Boisset była tak serdeczna poprzedniego wieczoru i dlaczego poczęstowała ją kieliszkiem madery.

Ale Eugenie zamieniła miejscami kieliszki i to madame Boisset źle się czuła tej nocy.

Wczoraj wszystko to wydawało się jej niepojęte. Dziś wiedziała, że o włos uniknęła śmierci.

- Etienne - szepnęła cichutko - muszę ci coś powiedzieć.

Kiedy spojrzała na niego, zdała sobie sprawę, jak bardzo cierpi. Nie mógł znieść myśli, że jego młodzianka żona została zamordowana tylko dlatego, że Josephine Boisset chciała go mieć dla siebie.

Melita wiedziała, że to, co chce powiedzieć hrabiemu, przyniesie mu ukojenie. To przecież Cecile wróciła z grobu, by ocalić go od szatańskich knowań swojej kuzynki. Cecile przemawiała ustami Leonore, Cecile zbudziła Melitę i wskazała jej miejsce, gdzie ukryła testament.

Przez chwilę Melita czuła się zbyt słaba, dziecinna i niedoświadczona, by stawić czoło tej sytuacji. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że musi pocieszyć Etienne'a i podtrzymać go na duchu, ponieważ go kocha.

Zdjęła z głowy kapelusz, podeszła do hrabiego i wsunęła dłoń w jego rękę.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się cicho. - Może pójdziemy do ogrodu? Czuję, że tam, wśród kwiatów i w cieniu drzew, łatwiej nam będzie porozmawiać.

Hrabia nie odpowiedział. Wziął ją tylko za rękę, jakby była małym dzieckiem, i poprowadził przez cudownie zielony trawnik do miejsca, gdzie w cieniu palm biała balustrada z marmuru.

Roztaczał się stamtąd niewiarygodnie piękny widok na morze, a po prawej stronie, pod białymi obłokami wznosił się wulkan Montagne Pelee. Zaraz za balustradą zbocze opadało tak stromo, że kiedy usiedli na drewnianej ławeczce, nie widzieli czerwonych dachów miasta, a jedynie błękit morza i zamglony horyzont.

Melita trzymała rękę hrabiego w swoich dłoniach. Nie patrząc na niego, ze wzrokiem skierowanym w morską dal, w najprostszych słowach opowiedziała mu wszystko, co się wydarzyło od czasu, kiedy ją całował w sadzie. Gdy opowiadała o obrzędzie voodoo, hrabia zacisnął dłonie, ale nie odezwał się słowem. Nie przerywał jej i nie zadawał żadnych pytań.

Dopiero gdy mówiła o tym, jak madame Boisset zaproponowała jej maderę i jak Eugenie zamieniła kieliszki, poczuła, że cały zeszywniał i jego twarz wykrzywił gniew.

Opowiadała dalej, jak znalazła w sypialni lalkę zrobioną przez Philippe'a i jak rozpoznała, że to podobizna Cecile.

- Obudziłam się, słysząc głos... bardzo wyraźny głos, który kazał mi szukać za obrazem - mówiła Melita. - To był... ten sam głos, który słyszałam w dżungli. Głos... bardzo podobny do głosu twojej córeczki.

Zamilkła na chwilę.

- Kiedy poszłam do sypialni Rose - Marie, usłyszałam, jak dziecko szepcze przez sen; „Mamo! Mamusiu!” i miałam wrażenie, że... że ktoś jeszcze jest w tym pokoju.

Przerwała, starając się przypomnieć sobie każdy szczegół.

- Portret nad łóżkiem zdawał się... emanować blaskiem, a kiedy znalazłam to, co było schowane za obrazem, światłość zniknęła!

Na długi czas zaległa cisza, aż w końcu odezwał się hrabia.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć, ale przecież znalazłaś testament i list.

- To prawda.

Hrabia westchnął ciężko.

- Mogę winić tylko siebie samego - powiedział. - Powinienem był nalegać na odesłanie Josephine wtedy, kiedy podjąłem tę decyzję. Czułem, że jej obecność w jakiś sposób szkodzi Cecile.

Ciągnął smutnym głosem:

- Jednak miałem tyle pracy, a nie chciałem, żeby Cecile była sama. Poza tym ona przez całe życie tak bardzo lgnęła do swojej kuzynki.

- Rozumiem... rozumiem, co czujesz - powiedziała Melita. - Ale, Etienne, ukochany... nawet największy żal nie zmieni tego, co się już stało... Musimy pomyśleć o przyszłości. O wspólnej przyszłości twojej i... i Rose - Marie.

Hrabia wyprostował przygarbione ramiona.

- Masz rację - rzekł. - Teraz najważniejsza jest przyszłość i to nie tylko nasza, ale wszystkich, którzy mieszkają i pracują w majątku. Aż do wczoraj nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak źle byli traktowani, a skąpienia im żywności nie potrafię wybaczyć.

- Jedli tylko solone ryby - powiedziała Melita.

- Mój ojciec byłby wściekły! - wykrzyknął hrabia. - Nawet kiedy byliśmy biedni, niewolnicy jedli jak należy. Dostawali urozmaicone jedzenie, nawet ulubione dania afrykańskie.

- Leonore opowiadała mi, że dawałeś im kraby, gulasz z prosięcia, tarte orzechy kokosowe i ostrą paprykę...

- Brzmi to dość egzotycznie - uśmiechnął się hrabia. - Tak samo jak sansam, czyli tłuczona gotowana kukurydza z solą albo z cukrem. Kolorowi mieszkańcy tych wysp mają własne

nazwy dla tych posiłków. Na Barbadosie najchętniej jedzą coucou i jug - jug.

- Będą mieli to wszystko, kiedy wrócisz do majątku? - spytała Melita.

- Dzięki tobie, najdroższa.

- Nie... winni jesteśmy wdzięczność... Cecile i... Leonore.

Hrabia nic nie odpowiedział, ale Melita wiedziała, że podziela jej zdanie.

Po chwili odezwała się cichutko:

- Na Barbadosie Murzyni są już wolni.

- Od ośmiu lat. Od roku 1834.

- Dlaczego tutaj ciągle są niewolnikami?

- Bo Francuzi to ostrożny naród. Jednak sądzę, że nadanie wolności Murzyńom jest już bliskie.

- Oby! - wykrzyknęła Melita.

- Nasi plantatorzy się obawiają - ciągnął hrabia - że wyzwolenie ich siły roboczej będzie równoznaczne z katastrofą gospodarczą. A przecież na Antigui sytuacja wygląda dokładnie przeciwnie!

- Chcesz przez to powiedzieć, że właściciele majątków osiągają zyski? - spytała Melita.

- Są bogatsi niż kiedykolwiek przedtem. Wychodząc do ogrodu Melita wzięła ze sobą testament Cecile i list adresowany do Etienne'a.

Teraz, kiedy rozmowa zeszła na temat pieniędzy, włożyła papiery w ręce hrabiego.

- Myślę, że powinieneś jak najszybciej pójść do adwokata i upewnić się, że ten testament naprawi całe zło, które spowodował poprzedni.

- Zrobię tak. Jestem pewien, że nie napotkam żadnych trudności. Prawnik, który zajmował się sprawami Vesonne - des - Arbres, był przerażony, kiedy się dowiedział, że

wszystkie pieniądze Cecile odziedziczyła Josephine, ale nie mógł nic na to poradzić.

- Próbował coś zrobić?

- Nie mógł nic zdziałać. Testament był ważny, prawnie poświadczony, a ojciec Cecile zadbał o to, by mogła całkowicie dowolnie rozporządzać swoją fortuną.

- Już idź - prosiła Melita. - Nie zaznam spokoju, dopóki się nie upewnię, że ten testament jest prawomocny. Przecież Eugenie i Jeanne nie potrafią się podpisać.

Hrabia uśmiechnął się słysząc obawę w jej głosie.

- Najdroższa, krzyżyk zamiast podpisu jest prawnie przyjętym znakiem w tym kraju, gdzie tak niewielu ludzi umie posługiwać się piórem. Przy tym jestem pewien, że list, który zostawiła Cecile, będzie świadczył, iż Josephine jest umyślowo chora.

Nagle objął Melitę i przyciągnął ją do siebie.

- Moja najdroższa, moja ukochana, a gdyby się jej udało zabić także ciebie? Jak mógłbym żyć ze świadomością, że zostawiłem cię samą z tą szaloną kobietą?

- Uratowała mnie Eugenie. Ona chyba wiedziała, jak umarła Cecile. Nie rozumiem, dlaczego nikomu o tym nie wspomniała.

- Zapewne sądziła, nie bez racji, że trudno by mi było dać wiarę jej słowom. Josephine oczywiście zaprzeczyłaby temu oskarżeniu z całą stanowczością, a słowo białego człowieka ma zawsze większe znaczenie niż twierdzenia Murzyna.

Hrabia pograżył się w myślach.

- Eugenie na pewno zdecydowała, że lepiej będzie milczeć i opiekować się Rose - Marie. Kocha ją od pierwszych dni jej życia.

- Czy twoja córka jest bezpieczna? - spytała Melita, nagle przestraszona.



- Eugenie nie pozwoli, żeby choć jeden włos spadł jej z głowy - oznajmił hrabia stanowczo. - A i my niedługo tam wrócimy.

Nie pocałował Melity, ale przytulił ją do siebie czule.

Wiedziała, jakim wstrząsem dla niego musiała być wiadomość, że jego młodzianka żona została zamordowana tylko dlatego, że on jest atrakcyjnym mężczyzną.

Przytulił policzek do jasnych włosów Melity i powiedział:

- Pójdę teraz do mecenasa. Na dzisiaj mam wyznaczone spotkanie w banku, ale przecież już nie muszę się tam stawić.

- Nie prosiłeś jeszcze o pożyczkę? - zapytała Melita.

- Prosiłem, ale powiedziano mi, że zarząd banku musi się naradzić w tej sprawie i odpowiedź otrzymam dziś rano.

Z tonu jego głosu Melita zorientowała się, jak trudno było mu prosić o pieniądze, jak bardzo raniło to jego dumę.

„Teraz - pomyślała - jeśli się wszystko powiedzie, zostanie właścicielem ogromnej fortuny.”

Hrabia podniósł się z ławki.

- Chodź, najdroższa - powiedział. - Zaprowadzę cię do domu. Na pewno będziesz chciała się odświeżyć i odpocząć, kiedy mnie nie będzie. - Spojrzał na nią. Pierwszy raz widział ją w amazonce. - Chciałbym cię zobaczyć na koniu... ale będzie jeszcze na to czas. Moja siostra wyjeżdżając stąd w zeszłym roku zostawiła kilka sukien. Możesz wziąć którąś z nich.

Uśmiechnął się.

- Powiedziała, że są za lekkie, żeby mogła je zabrać wracając do męża, do Szwecji.

Kiedy znaleźli się u podnóża schodów, hrabia ucałował dłoń Melity. Idąc w głąb domu dziewczyna słyszała, jak każe służącemu przyprowadzić bryczkę.

Dopiero w sypialni należącej do siostry hrabiego poczuła, że jest zupełnie wyczerpana. Zmęczyła ją nie tylko długa

podróż, ale także niepokój i obawa - teraz wiedziała, jak bardzo uczucia te były uzasadnione - że nie zdoła uciec z Vesonne - des - Arbres.

Pokojówka przygotowała kąpiel, po której Melita poczuła się odświeżona i wypoczęta. W garderobie znalazła śliczną kwiecistą suknię z muślinu.

Sukienka była nieco zbyt szeroka w talii, ale Melita ściągnęła ją szarfą w takim samym odcieniu błękitu jak jej oczy. Potem ułożyła włosy. Bardzo chciała, by hrabia uznał, że ślicznie wygląda.

Kąpiel i przebieranie zajęły jej sporo czasu, a jednak kiedy zeszła na dół do salonu, hrabiego jeszcze nie było.

Na zewnątrz zrobiło się tak gorąco, że trudno było wytrzymać nawet na werandzie. Melita znalazła sobie miejsce na wygodnej sofie i pomyślała, że nie od rzeczy byłoby wyciągnąć na niej także nogi i oprzeć głowę na jedwabnych poduszkach. Rozejrzała się po salonie. Był to elegancki pokój umeblowany na modłę francuską. Zauważyła jednak, że zasłony i pokrycia połączonych mebli wyblakły, a dywan jest niemal przetarty.

„Trzeba odmalować ściany - pomyślała. - Wszystko tak szybko niszczy w tym klimacie!”

Westchnęła głęboko.

Jeśli tylko prawomocność drugiego testamentu Cecile zostanie udowodniona, hrabia będzie miał wystarczająco dużo pieniędzy na wykonanie niezbędnych napraw zarówno tutaj jak, i w Vesonne - des - Arbres.

„On jest taki... piękny” - pomyślała jeszcze.

Uświadomiła sobie, że ktoś budzi ją pocałunkiem.

Otworzyła oczy i ujrzała hrabiego, który klęcząc całował ją namiętnie. Poczowała, jak całe jej ciało ogarnia fala gorąca. Hrabia tulił ją tak mocno, że ledwie mogła zaczerpnąć tchu.

- Ukochana! Moja śliczna, najdroższa! Wszystko będzie dobrze! Prawnicy orzekli, że nie ma najmniejszych wątpliwości. Ostatni testament Cecile unieważnia wszystko, co podpisała wcześniej. O najukochańsza, jak mam ci dziękować?

Zaczął całować ją znów i Melicie trudno było zebrać myśli. Wzbudził w niej jakieś niepojęte, cudowne uczucie, drżenie przenikało jej ciało i miała wrażenie, że się wznosi do nieba.

- Kocham cię! Kocham! - powtarzał hrabia.

Wreszcie przemógł się, by uwolnić ją ze swych ramion. Wstał i z góry patrzył na zarumienione policzki Melity, jej błyszczące oczy i usta gorące od pocałunków.

- Czeka na nas obiad - powiedział. - Spóźniony o godzinę, ale miałem dużo spraw do załatwienia.

Melita stanęła na drżących nogach. Kochała go tak bardzo, że aż trudno jej było zrozumieć jego słowa. Hrabia przyciągnął ją do siebie.

- Będziemy bardzo zajęci dziś wieczorem - powiedział. - Ale najpierw obiad. Domyślam się, że jesteś głodna, a ja mógłbym zjeść konia z kopytami!

- Pokojówka przyniosła mi kawę, kiedy brałam kąpiel - przypomniała sobie Melita - ale nic jeszcze dziś nie jadłam.

- Więc obiad będzie ci smakował. - Hrabia się uśmiechnął. - Nie mamy wiele czasu.

- Wracamy do Vesonne - des - Arbres? - spytała Melita.

- Nie dzisiaj. Dzisiaj się pobierzemy!

- Pobierzemy...?

Melita patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Pobierzemy, najdroższa - powtórzył hrabia. - Sądziłaś, że mógłbym choć na chwilę stracić cię z oczu? Albo wypuścić z ramion? Przeszłaś już w życiu wystarczająco wiele, będę o ciebie spokojny dopiero wtedy, kiedy zostaniesz moją żoną.

Urzekł go blask opromieniający twarz Melity.

- Czy nie działałam zbyt szybko, najdroższa? - zapytał. - No tak, powinienem najpierw zapytać cię o zgodę, moje najśłodsze kochanie. Czy zechcesz mnie poślubić?

- Wiesz, że... że chcę być twoją żoną - powiedziała Melita.

- Byłem tego pewien! Dlatego już widziałem się z burmistrzem, a także pojechałem do katedry. Zostaniemy zaślubieni przy ołtarzu Najświętszej Panienki.

Melita przytuliła policzek do ramienia hrabiego. Nie potrafiła znaleźć słów, by wyrazić ogrom swego szczęścia.

- A ponieważ wiem, że ślub dla kobiety jest ważnym wydarzeniem - ciągnął hrabia - i stara się ona wtedy wyglądać jak najlepiej, jednym z powodów, dla którego tak długo pozostawałem z dala od ciebie, było to, że kupiłem ci suknię ślubną!

- Suknię ślubną! - wykrzyknęła Melita.

- Mam nadzieję, że dobrze wybrałem. Ale po kolei, kochanie. Teraz najważniejszy jest obiad.

Powiódł ją do sali jadalnej. Melita z trudem zmuszała się do jedzenia, choć na stół podano wyśmienite potrawy. Widziała tylko oczy hrabiego wpatrzone w nią i słuchała jego głosu przepełnionego miłością.

Wypili nieco szampana, a potem objęci wpeł poszli na górę, by się przebrać do ceremonii zaślubin.

Hrabia przystanął pod drzwiami sypialni Melity.

- Chciałbym, kochanie, żebyś wyglądała jak najpiękniej - powiedział. - Choć właściwie to niemożliwe, byś była jeszcze piękniejsza niż w tej chwili.

Melita roześmiała się uszczęśliwiona.

W sypialni czekała na nią ta sama pokojówka, która przygotowała jej kąpiel, oraz kucharka, żona lokaja.

Rozpakowały już suknię kupioną przez hrabiego. Była zjawiskowo piękna.

Na szerokiej spódnicy podkreślającej smukłą talię pieniały się rzędy tiulowych falbanek. Rękawy także ozdobiono falbanami, a obcisły stanik uwydatniał wypukłość piersi.

Do skromnego wianka ze świeżych kwiatów pomarańczy przypięty był welon z brabanckiej koronki, który według słów kucharki stanowił rodową pamiątkę hrabiów de Vesonne.

Melita wiedziała, że jeszcze nigdy w życiu nie wyglądała tak ładnie. Patrząc w zwierciadło dostrzegła na swojej twarzy niezwykłą, natchnioną tkliwość.

- Pozwól mi spojrzeć na siebie - usłyszała głos hrabiego dobiegający od drzwi.

Odwróciła się. Monsieur le comte wyglądał olśniewająco. Miał na sobie wytworny strój, tradycyjnie wkładany przez Francuzów w dzień ślubu. Biała koszula, jedwabny krawat i dopasowany frak nadawały mu nowy, władczy wygląd. Wydawał się wyższy. Wreszcie zrzucił z ramion ciężar niepokoju i lęku o przyszłość.

- M'mselle est ravissante, monsieur! - mruzczała stara kucharka, gdy hrabia zbliżał się do Melity.

- Tout a fait ravissante! - zgodził się hrabia i dodał cicho:  
- Piękniejsza niż najpiękniejsze marzenie!

Uniósł jej dłoń do ust i Melita poczuła przenikający jej ciało słodki dreszcz. Potem, prowadzona przez hrabiego, szeleszcząc halkami, zeszła po schodach do frontowych drzwi, przed którymi czekała na nich bryczka.

Był to odkryty powóz, więc dla ochrony przed słońcem osłonięto go białym baldachimem obszytym jedwabną frędzlą.

Kiedy hrabia pomógł Melicie wsiąść, znalazła na swoim siedzeniu bukiet białych orchidei, tak piękny i delikatny, że w zachwycie krzyknęła:

- Jakie śliczne!

- Tak jak i ty, najśladza - powiedział hrabia. . Lokaj puścił końskie uzdy i wskoczył na tylną ławeczkę. Ruszyli wąskimi uliczkami do ratusza.

Podpisali kontrakt ślubny w obecności burmistrza wystrojonego w błyszczący łańcuch - oznakę pełnionego urzędu - oraz trójkolorową szarfę. Potem, odebrawszy od niego gratulacje, jako że zgodnie z prawem byli już mężem i żoną, ruszyli do katedry.

We wnętrzu wielkiego kościoła panował chłód i mrok. Przed figurami świętych migotały blade płomyki. Na ukwieconym ołtarzu w kaplicy Najświętszej Panienki paliło się dwanaście świec. Ksiądz już na nich czekał, a ponieważ Melita nie była katoliczką, uroczystość nie trwała długo.

Melicie zdawało się, że słyszy anielskie chóry i przyłączyła się do nich w dziękczynnym peanie. Słuchała, jak monsieur le comte uroczyście powtarza słowa przysięgi i wiedziała, że Etienne ofiarowuje jej siebie tak samo, jak ona jemu oddała swą duszę i ciało. Została zaślubiona mężczyźnie, którego kochała!

Modliła się o to, by potrafiła być dla niego dobrą żoną. Wierzyła, że ojciec stoi u jej boku, że jest świadkiem jej niewyobrażalnego szczęścia.

A potem już nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o tym, że hrabia klęczy tuż obok i o obrączce na serdecznym palcu lewej dłoni.

Kiedy wyszli w słoneczny blask, okazało się, że u progu katedry zebrał się spory tłumek.

W Saint - Pierre każdy ślub wywoływał poruszenie. Większość zgromadzonych rozpoznała hrabiego, rozległy się wiwaty, okrzyki i życzenia szczęścia, a kobiety i dzieci obsypały nowożeńców płatkami kwiatów.

Wrócili do pałacyku, gdzie oczekiwała ich służba z gratulacjami. W salonie podano szampana.

Kiedy zostali sami, hrabia zerknął na zegar stojący na kominku, objął Melitę ramieniem i powiedział:

- Chodź, najdroższa.

Spojrzała na niego zdziwiona, zastanawiając się, dokąd mają iść. Poprowadził ją przez hall, po schodach i korytarzem, aż na samym jego końcu otworzył jakieś drzwi. Znaleźli się w ogromnym pokoju o trzech oknach wychodzących na morze i ogród. Największą uwagę w tym pomieszczeniu zwracało wielkie łóże.

Łóże zdobione złotymi ornamentami, z jedwabnym drapowanym baldachimem w kształcie kwiatowego kielicha, na wzór królewskich łóżnic w Wersalu. Na wezglowiu obitym błękitnym aksamitem wyszyto czterodzielny barwny herb hrabiów de Vesonne.

- Mój ojciec przywiózł je ze sobą z Francji - wyjaśnił hrabia. - Kiedy byłem dzieckiem, stało w Vesonne - des - Arbres i teraz z powrotem znajdzie się na właściwym miejscu.

Zamknął za sobą drzwi, podszedł do Melity i otoczył ją ramionami.

- Nareszcie - rzekł. - Nareszcie mogę ci okazać, jak bardzo cię kocham. Nareszcie jesteś moja, tak jak tego pragnąłem od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. Jesteś moja duszą i ciałem. Jesteś moją żoną!

Jego wargi znalazły się na ustach Melity, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Całował ją z pasją, żarliwie i porywająco.

Odkryli w sobie nieokiełznaną namiętność, która trochę przerażała Melitę. Dziewczyna czuła, że hrabia rozniecił w niej prawdziwy ogień, i chciała, by nie przestał jej całować do końca życia.

Pragnęła już na zawsze pozostać w jego objęciach, ale on odsunął usta od jej twarzy i zdjął z jej włosów wianek i welon.

Rzucił je niedbale na krzesło, a potem znów przycisnął dziewczynę do siebie i z ustami na jej ustach zaczął rozpinać guziczki na plecach ślubnej sukni.

Melita spojrzała na niego pytająco, a on jak zwykle od razu odgadł jej myśli.

- Jesteśmy na francuskiej ziemi, najdroższa - powiedział. - Czy wiesz, co we Francji oznacza cinq - a - sept?

Melita powróciła myślami w przeszłość. Wiedziała, że ojciec mówił jej coś o tym, kiedy byli w Paryżu, jednak w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć jego słów.

- Nie mieliśmy dzisiaj czasu na sjęstę - ciągnął hrabia - a dla Francuza w Europie godzina za pięć siódma to czas przeznaczony na miłość!

- Myślałam, że... że to czas na... odpoczynek.

- Sądziłaś, że pozwolę ci odpocząć?

Porwał ją w objęcia. Poczowała, jak suknia zsuwa jej się z ramion i opada na podłogę. Chwilę potem znalazły się tam wszystkie halki.

Hrabia wziął Melitę na ręce. Z ustami na jej ustach otrzymał dziką, ekstatyczną odpowiedź płynącą prosto z serca dziewczyny i z głębi jej duszy. Poniósł Melitę w stronę wielkiego rodowego łoża.

Zrobiło się znacznie chłodniej, za oknami w ogrodzie kładły się na trawie fioletowe cienie. Melita ocknęła się z pólśnu.

- Nie śpisz? - szepnęła.

- Jestem taki szczęśliwy, że nie mógłbym zasnąć.

- Czy... czy dałam ci szczęście?

- Wiesz przecież, że tak, najśłodsza.

Długie jasne włosy Melity były rozrzucone na poduszkach. Hrabia odsunął kosmyk z twarzy dziewczyny i ucałował delikatnie jej powieki, potem czoło i maleńkie uszko.



- Czy jest na świecie ktoś piękniejszy niż ty? - zapytał. - Ktoś bardziej doskonały?

- Nie wiedziałam, że miłość jest taka... cudowna.

- Chcę cię jeszcze wiele nauczyć, najdroższa. Westchnął lekko.

- Tak dużo mamy do dania jedno drugiemu, że nie starczy nam na to nawet tysiąca lat.

- Właśnie... właśnie myślałam o tym, że nigdy nie przestaniemy być... szczęśliwi.

- Oczywiście, to niemożliwe - obruszył się hrabia. - Już ci mówiłem: jesteś częścią mnie i tworzymy całość połączeni w jedno ciało i jedną duszę. Nic nas nie rozdzieli. Nawet po śmierci będziemy razem.

Melita zadrżała.

- Zapomnij teraz o lękach - powiedział hrabia - przynajmniej na tę jedną noc. Jutro odważnie stawimy czoło wszystkim trudnościom, ale ta noc należy do nas.

Obdarzył ją namiętym pocałunkiem.

- Jak chciałabyś spędzić tę noc, ma belle, pierwszą noc po naszym Ślubie? Chcesz może gdzieś pójść, tańczyć, słuchać muzyki?

Melita popatrzyła na niego skonsternowana, lecz po chwili zrozumiała, że się z nią przekomarza.

- Nie... nie. Chciałabym tylko... być z tobą...

- Miałem nadzieję, że to powiesz, i już poleciłem nakryć do kolacji, zaraz wszystko będzie gotowe. Mamy tej nocy dużo czasu, ale będzie nam się zdawało, że minie w mgnieniu oka, bo całą noc chcę cię kochać.

Melita spłonęła rumieńcem i odwróciła twarz.

- Zawstydzasz mnie... - szepnęła.

Wziął ją pod brodę i odwrócił jej twarz ku sobie.

- Jesteś, kochanie, jak kwiat rozkwitający w słońcu. W blasku mojej miłości.

Przytuliła się do niego i zapytała:

- Co będziemy robić?
- Najpierw zjemy kolację - powiedział hrabia.
- Ale nie będziemy schodzić do sali jadalnej - zjemy tu obok, w buduarze. Mam nadzieję, że ci się tam spodoba.

Pocałował ją jeszcze raz i dodał:

- W garderobie znajdziesz coś szczególnego. Kupiłem to razem z suknią ślubną. Chciałbym, żebyś się w to ubrała.
- Czy w garderobie tu... w tym pokoju? - spytała Melita.
- To jest teraz twój pokój, najukochańsza - odpowiedział hrabia. - To najważniejszy pokój w całym domu i do kogóż miałby należeć, jeśli nie do madame la comtesse?
- Pani hrabina... to zupełnie do mnie nie pasuje - zaprotestowała Melita.

- Ale to jesteś ty - odparł hrabia. - Moja comtesse, moja żona, moja pani, moja miłość!

Czułe nuty w jego głosie obudziły w Melicie znajome słodkie drżenie.

- Gdy cię zobaczyłem stojącą pod pomme d'amour, wiedziałem, że jeśli cię nie zdobędę, nie będę miał po co żyć. Teraz czuję, że żyję naprawdę. Jesteś wszystkim, o czym marzyłem, wszystkim, za czym tęskniłem, ucieleśniasz wszystkie moje plany na przyszłość, a wszystko to - w jednej małej ósóbce.

Melita podniosła na niego oczy.

- Kiedy opuszczałam Anglię, nie wiedziałam, że zmierzam do rajów... że znajdę szczęście, które jest dane tak niewielu ludziom na tym świecie.

- Ja także czuję, że weszliśmy do tajemnego rajów, rajów miłości.

- Tak... to prawda. I z całą pewnością nie ma na ziemi nic piękniejszego... żadnego zakątka bardziej przypominającego raj niż... niż Vesonne - des - Arbres.

Mówiąc to przypomniała sobie o madame Boisset, która zdała jej się złowrogim węzem w rajskim ogrodzie, ale zaraz postanowiła, że nie będzie zaprzętała sobie głowy tą szatańską kobietą teraz, w chwilach największego szczęścia.

Jednak hrabia natychmiast odgadł, dokąd zawiodły ją myśli.

- Zapomnij o niej - rzekł cicho. - Kiedy zawieraliśmy ślub w katedrze, nie tylko dziękowałem Bogu za ciebie i za to, że spotkało mnie tak wielkie szczęście, lecz także prosiłem Go, by pokierował naszymi uczynkami, a wówczas dobro zatriumfuje nad złem.

- Chciałabym... chciałabym być tego pewna - powiedziała Melita cichutko. - Chciałabym, żebyśmy oboje byli prawi i dobrzy i... i nieśli szczęście ludziom.

- Tak się stanie. - Słowa hrabiego zabrzmiały uroczyście, jakby składał przysięgę.

Zostawił Melitę samą, a ona umyła się i zajrzała do garderoby.

Znalazła tam negliż, najcudowniejszy, jaki kiedykolwiek widziała, i natychmiast odgadła, że hrabia kupił go dla niej, bo cieniowany szyfon miał te same kolory co kwiaty pomme d'amour. Dół i brzegi rękawów zdobiły piórka tak miękkie i delikatne jak płatki tych kwiatów. Cały strój był niemal przejrzysty i choć pod spód nakładało się koszulkę nocną, Melita czuła się trochę nieodpowiednio ubrana, kiedy skierowała się ku drzwiom prowadzącym do buduaru.

Wiedziała, że hrabia już na nią czeka. Wydawał polecenia służbie, słyszała jego głęboki głos. Otworzyła drzwi i przez chwilę nie widziała nic, tylko ukochanego.

- Wyglądasz jak uosobienie miłości! - zachwycił się hrabia.

Idąc w jego stronę Melita spostrzegła, iż cały buduar przybrano tyloma kwiatami, że przeobraził się w altankę

spowitą cudowną wonią. Było tu wiele kwiatów, których nie umiała nazwać, na stole w wazonie stała jej ślubna wiązanka z białych orchidei, a wazy wypełniono obsypanymi kwieciami gałęziami pomme d'amour. Tło stanowiły zielone paprocie, które tak jej się podobały w tropikalnej dżungli.

Ujęła dłonie hrabiego, bo tęskniła za jego dotykiem, i patrząc na kwiaty ledwie zdołała wyszeptać:

- To wszystko... wszystko dla mnie?

- Jako hołd dla twojej urody - odparł hrabia. - Ty sama jesteś jak kwiat.

Podniosła na niego spojrzenie lśniących oczu i chciała ofiarować mu swoje usta, ale akurat weszli służący niosący posiłek.

Była to najwspanialsza kolacja w jej życiu. Miłość upajała ich jak wino, którym się raczyli.

Kiedy skończyli jeść, długo jeszcze siedzieli rozmawiając, aż gwiazdy zabłyśły na niebie i światło księżyca osrebrzyło wiecznie kołyszące się morskie fale bijące o brzeg. Melicie zdawało się, że są jedynymi ludźmi na jakiejś maleńkiej wyspie, wyspie kwiatów. Ta wyspa była ich wspólną tajemnicą, ich sekretnym światem, do którego nikt nie mógł się wdrzeć. Znajdowali się w swoim własnym świecie, świecie, gdzie mogli być razem, i gdzie niezależnie od tego co się działo na zewnątrz, nic nie mogło zniweczyć jedności, jaką się stali po ślubie.

Hrabia podniósł się od stołu i poprowadził Melitę do okna. Stali tam długo, spoglądając na światło księżyca.

- Dzisiaj zaczęliśmy nowe wspólne życie - powiedział hrabia - życie, które przyniesie nam szczęście, najdroższa. Wiele przed nami wzlotów i upadków, trudności i kłopotów - to nieuniknione - ale wierzę, że nasza miłość będzie głębsza, silniejsza i wspanialsza z każdym mijającym dniem.

- Jestem... jestem tego pewna - wyszeptała Melita.

- Dzisiaj w katedrze przysięgłem sobie, że uczynię cię szczęśliwą - mówił dalej hrabia. - W przeszłości nie zawsze udawało mi się sprawiać, by ludzie byli szczęśliwi, jak tego chciałem, ale z tobą będzie inaczej.

Ucałował jej włosy i przyrzekł uroczyście:

- Dla ciebie i twojego szczęścia zdobędę szturmem niebo lub rzucę się w piekielne otchłanie. Zrobię dla ciebie wszystko!

- Kocham cię... kocham - powiedziała Melita.

- Te dwa krótkie słowa... nie są w stanie wyrazić tego, co do ciebie czuję. Pokazałeś mi inny świat, otworzyłeś przede mną nowe horyzonty, których istnienia nawet nie podejrzewałam...

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Pomóż mi, żebym cię nie zawiodła - błagała.

- Pomóż mi dać ci... wszystko, co chcesz otrzymać od... od kobiety.

- Nie tylko od kobiety, ale i od siebie samego - rzekł hrabia. - Jesteśmy jednością, Melito, i wspólnie będziemy przeżywać nasze dobre i złe chwile.

Uśmiechnął się i przytulił ją do siebie.

- Nie, nie będzie żadnych złych chwil. Między nami będzie tylko miłość. Miłość i zrozumienie, od dziś aż po wszystkie czasy.

## ROZDZIAŁ 7

- To prawdziwy cud! - wykrzyknęła Melita. Siedziała przy śniadaniowym stoliku i spoglądała przez ogród na morze.

- O czym mówisz? - zapytał hrabia opuszczając gazetę, którą przeglądał po jedzeniu.

„Czy może być coś piękniejszego - myślała Melita - niż ten ogród tonący w kwiatach i zielone liście drzew błyszczące w porannym słońcu na tle błękitu nieba?”

Aromat świeżo zaparzonej kawy i zapach chrupiących croissants połączone z wonią kwiatów i uczuciem szczęścia tworzyły jedność ze świetlistym pięknem świata.

Melita uśmiechnęła się do męża.

- Kiedy statek, którym tu przybyłam z Anglii, wpływał do portu - powiedziała - bałam się... bałam się obcego kraju, ale najbardziej... najbardziej bałam się tego, jaki będzie mój pracodawca.

- A teraz, kiedy go już znasz...?

- Uważam, że jest najwspanialszym mężczyzną na świecie! - wykrzyknęła Melita.

Wyciągnęła do niego rękę. Hrabia ujął dłoń dziewczyny i ucałował ją.

- Dla mnie to wszystko także jest cudem - powiedział. - Tak wspaniałym, tak niepojętym, że aż trudno mi uwierzyć, że to prawda.

Melita poczuła, jak na dźwięk jego głosu ogarnia ją drżenie. Pochyliła się ku mężowi, a słońce zapaliło blaski w jej ślubnej obrączce na serdecznym palcu.

Uchwyciła kątem oka ten blask, promienny jak ich szczęście.

Kiedy po kąpieli osuszała ciało ręcznikiem, pomyślała z żalem, że nie ma do założenia nic poza amazonką, w której przyjechała z Saint - Pierre. W tej samej chwili weszła

pokojówka z ogromnym kartonem, w jaki zwykle pakowano suknie.

- Właśnie przysłano to dla pani, madame.

- Dla mnie? - zdziwiła się Melita. Otworzyła pudło i natychmiast zrozumiała, że hrabia raz jeszcze uprzedził jej życzenie.

Doskonale odgadł, choć nie wspomniała o tym ani słowem, że tego pierwszego dnia po ślubie, kiedy mieli wrócić do Vesonne - des - Arbres jako mąż i żona, chciałyby wyglądać dla niego jak najpiękniej.

Wybrał suknię w odcieniu turkusowym, nadającym cerze Melity barwę olśniewającej bieli i podkreślającym głęboki błękit jej oczu.

Suknia uszyta była z miękkiego materiału, który zdawał się chłodny w najupalniejszy nawet dzień. Dołączono też wytworną atlasową narzutkę z szerokimi rękawami i czepeczek przybrany tym samym kolorem turkusowym. Delikatna koronka miała ocieniać twarz.

Melita ubrała się z pomocą pokojówki i ledwie rzuciwszy okiem na swoje odbicie w lustrze pobiegła do pokoju Etienne'a.

Kiedy tam weszła, hrabia stał przy toalecie, trzymając w rękach dwie szczotki do włosów inkrustowane kością słoniową. Miał na sobie jedynie wąskie, obcisłe spodnie i białą koszulę z delikatnego płótna. Ten strój podkreślał jego szerokie ramiona i wąskie biodra.

Melita przystanąła w drzwiach, myśląc raz jeszcze, że nigdy nie widziała przystojniejszego mężczyzny. Kiedy hrabia odłożył szczotki i odwrócił się w jej stronę, podbiegła do niego.

- Przyszedłam pokazać ci moją nową sukienkę - powiedziała. - Dziękuję ci, Etienne... dziękuję, że o tym pomyślałeś.

Monsieur le comte objął jej smukłą kibić i przyciągnął do siebie.

- Jesteś zadowolona?

- Jestem naprawdę szczęśliwa. Tak doskonale wiesz, w czym mi jest do twarzy, a ja chciałabym, żebyś uważał, że wyglądam... ślicznie.

- Nie mógłbym uważać inaczej.

Jego wargi odnalazły jej usta i pocałował ją z pasją, tuląc do siebie, aż zaczęło jej brakować tchu.

- Uwielbiam cię! - powiedział głosem nabrzmiałym namiętnością. - Czy mogę zabrać cię z powrotem do sypialni?

- Etienne!

Usiłowała wyglądać na zgorzowaną, zaczerwieniona dodała tonem pełnym nagany:

- Przyszłam tylko... pokazać ci nową sukienkę...

- Bardzo ci w niej ładnie - przyzna! hrabia - ale mnie znacznie bardziej interesuje to, co ona przesłania.

Melita roześmiała się zawstydzona, wyswobodziła z jego objęć i podeszła do drzwi.

- Śniadanie czeka - przypomniała.

- Widzę, że moja żona jest kobietą skromną i dobrze wychowaną. To prawdziwa hrabina.

Skrzywiła się żartobliwie i już miała opuścić pokój, ale ją zatrzymał.

- Podejdź tutaj! - rozkazał.

Przystanęła niepewnie i spoglądała na niego podejrzliwie, wiedząc jednocześnie, że od chwili kiedy ją pocałował, nie jest w stanie niczego mu odmówić.

- Podejdź tu, Melito - powtórzył. Ruszyła w jego stronę powoli. Patrzyła pytająco.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział, gdy stanęła tuż przy nim.

- Jeszcze jeden? Ale przecież dałeś mi już tak wiele...



- Nie mogłem ci ofiarować tego drobiazgu wczoraj, bo trzeba go było dopasować.

Podniósł ze stolika obite atłasem pudełeczko, a kiedy je otworzył, Melita ujrzała w środku pierścionek. Ogromny szafir w kolorze morskich fal otoczony był wianuszkami brylantów.

- Och, Etienne!

Nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Piękniejszego pierścionka nie widziała nigdy w życiu.

Hrabia wyjął klejnot z pudełka, ujął dłoń Melity, ucałował serdeczny palec, na którym połyskiwała ślubna obrączka, i wsunął nań pierścionek.

- Dla mojej żony - powiedział z czułością.

- Przepiękny!

Melita zarzuciła hrabiemu ręce na szyję.

- Dziękuję ci, och, tak ci dziękuję! Wszystko, co robisz, jest takie wspaniałe, takie cudowne. Kocham cię! Och, Etienne, jak ja cię kocham!

Całował ją do utraty tchu. A potem, trzymając się za ręce, zeszli na śniadanie podane na werandzie.

Po posiłku, kiedy hrabia całował palce Melity, ona odezwała się z wahaniem w głosie:

- Chciałabym... chciałabym, żebyśmy mogli tu zostać. Boję się opuszczać miejsce, gdzie byliśmy tak szczęśliwi.

- Niedługo tu wrócimy - pocieszył ją hrabia.

- Musimy przecież kupić ci wyprawę, a poza tym zamówiłem naszyjnik do twojego pierścionka.

- Nie obsypuj mnie tak prezentami - zaprotestowała Melita. - Przykro mi, że ja nie mogę ci nic ofiarować.

- Dzięki tobie nie tylko odzyskałem fortunę i spokój duszy - uśmiechnął się hrabia - ale jeszcze podarowałaś mi coś znacznie ważniejszego. Mam ciebie, najdroższa.

Melita zacisnęła palce na jego dłoni.

- Czuję, że to za mało - szepnęła. - Chciałabym ci dać... o wiele więcej.

- To jeden z powodów, dla których wrócimy tutaj - rzekł hrabia - gdzie nic nas nie będzie rozpraszać i gdzie będę, moja najukochańsza, maleńka żono, uczył cię miłości.

Monsieur le comte wstał.

- Chodź - powiedział. - Musimy stawić czoło trudnościom, a im szybciej to zrobimy, tym lepiej. Pozwól, Melito, że zrobię jedno zastrzeżenie. Nie zamierzam dać się pozbawić miodowego miesiąca! Miodowego miesiąca, podczas którego będziemy zupełnie sami, tak jak ostatniej nocy.

Melita na wspomnienie cudownej ekstazy, jakiej razem doświadczyli, uniesienia i zachwytu, jakie ogarniały ją pod jego pocałunkami i dotykiem jego dłoni, znowu się zarumieniła.

Hrabia przyciągnął ją do siebie.

- To, co musimy zrobić, nie będzie łatwe - powiedział cicho - ale natchnęłaś mnie odwagą, jakiej nigdy nie miałem.

Wyruszyli z chateau bryczką hrabiego. Żar słońca chłodziła morska bryza. Kiedy przejeżdżali przez Saint - Pierre, to śliczne miasto rozweselone czerwonymi dachami domów, Melita nie mogła opanować uczucia smutku.

Minęli katedrę, która budziła drogie wspomnienia, bo tu w kaplicy Najświętszej Paniienki składali sobie przysięgę; potem ratusz, gdzie zostali zaślubieni zgodnie z prawem francuskim - budowle równie imponującą jak urzędujący w niej burmistrz. Mijali drzewa owocowe lśniące od kwiecica i rozkołysane na wietrze, jechali wzdłuż nadbrzeża, gdzie na chwilę się zatrzymali przy sklepie z zabawkami.

Wreszcie zostawili miasto za sobą i konie zaczęły się wspinać ocienioną drogą prowadzącą w dżunglę. W miarę jak byli coraz bliżej Vesonne - des - Arbres, Melita mimo

obecności hrabiego czuła się bardziej zaleźniona. Nie bała się tego, że madame Boisset mogłaby im w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Byli małżeństwem i mieli pewność, że testament Cecile jest prawomocny.

Drżała na myśl o scenie, jaką madame Boisset zrobi im na powitanie, bała się jej gniewu i prostactwa.

W dodatku wiedziała doskonale, że taka scena będzie bardzo przykra dla Rose - Marie.

Pomyślała, że niezależnie od tego, ile dzieci urodzi hrabiemu, a miała nadzieję, że będą stanowili liczną rodzinę, nigdy nie przestanie kochać tej słodkiej dziewczynki, która straciła matkę i tak długo wiodła smutny, samotny żywot sieroty.

„Zrobię wszystko, żeby w przyszłości Rose - Marie była zawsze szczęśliwa - przyrzekła sobie Melita. - Ona i wszyscy mieszkańcy Vesonne - des - Arbres.”

Wyjechali z gęstwy tropikalnej dżungli, znaleźli się na wyżynie, a po obu stronach drogi zaczęły się pojawiać pola trzciny cukrowej.

- W przyszłym roku chcę rozszerzyć uprawy - odezwał się monsieur le comte. - Zajmę się eksperymentami, których do tej pory nie mogłem przeprowadzić.

- Wspaniale - powiedziała Melita, ale jej głos brzmiał dość niepewnie. W oddali widać już było krzyż, pod którym co wieczór modlili się niewolnicy.

Hrabia przytrzymał lejce jedną ręką, a drugą położył na dłoniach Melity.

- Nie pozwolę cię skrzywdzić, najdroższa - rzekł.

- A potem stworzymy w Vesonne - des - Arbres prawdziwy dom. Będzie to dom, jaki pamiętam z dzieciństwa. Wtedy byłem pewien, że to najwspanialsze miejsce na ziemi.

- Ja będę szczęśliwa... wszędzie, gdzie będziesz ty - wyznała Melita - ale najbardziej w Vesonne - des - Arbres, bo nigdzie na świecie nie jest piękniej niż tu.

Hrabia odwrócił ku niej twarz, a Melita widząc jego spojrzenie wiedziała, że myśli o tym, iż ona także jest piękna.

„Jestem szczęśliwa, jestem kochana - pomyślała Melita. - Boże, proszę Cię, spraw, by madame Boisset nie powiedziała nic, co by zniszczyło nasze szczęście.”

Konie niosły ich przez most i na podjazd, skąd widać już było młyn i koło wodne, a Melita szeptała modlitwy.

Zbliżyli się do zabudowań i wówczas, jak na dany sygnał, z destylarni oraz z baraków tłumnie wylegli niewolnicy. Melita poczuła, że hrabia zeszywniał cały, lecz nie ściągnął wodzy. Zdjęta nagłym lękiem zastanawiała się, co podczas ich nieobecności mogło się wydarzyć.

Potem dostrzegła uniesione w powitalnym geście dłonie, błyszczące w uśmiechu zęby i usłyszała rozradowane głosy.

Hrabia wstrzymał konie.

- Hura! Hurrra!

Powietrze rozbrzmiewało okrzykami pełnymi entuzjazmu, aż Frederic, który zwykle występował w imieniu wszystkich niewolników, wyszedł spośród grupy Murzynów i powiedział:

- My chciec, panie, gratulować! My wiedziec pan bardzo szczęśliwy!

Melita spojrzała na hrabiego zdumiona, ale nic nie powiedziała, bo i tak nie byłoby jej słyszać w tym radosnym zgiełku.

Jakaś mała dziewczynka podeszła do bryczki. Niosła bukiet prawie tak wielki jak ona sama.

Melita schyliła się po kwiaty i wtedy w falującym tłumie otaczającym bryczkę dostrzegła ciemne oczy Leonore.

Patrząc na starą kobietę zrozumiała, kto wiedział, że ona i hrabia się pobrali, i kto zawiadomił o tym wszystkich niewolników, by mogli uczcić ich powrót.

Hrabia wysiadł i podał rękę Melicie. Poprowadził ją na stopnie destylarni i uciszył wszystkich gestem dłoni.

- Dziękuję wam za wspaniałe powitanie w imieniu madame la comtesse i własnym.

Znów rozległy się gromkie okrzyki, a kiedy nieco przycichły, hrabia powiedział:

- Dzisiaj jest święto. Dostaniecie pieczoną wieprzowinę, a prócz tego każdy będzie mógł zjeść swoje ulubione danie. Potem moja żona i ja chcielibyśmy zobaczyć, jak tańczycie, i usłyszeć wasz śpiew.

Niewolnicy zaczęli krzyczeć z radości. Hrabia poda! Melicie ramię i poprowadził ją do domu.

Kiedy odeszli od wiwatującego tłumu na tyle daleko, że nikt nie mógł ich usłyszeć, Melita zapytała:

- Skąd oni to wiedzą? Kto im powiedział, że wzięliśmy ślub?

- Na Martynice wieści roznosi wiatr - uśmiechnął się hrabia. - Można znaleźć na to pytanie dziesiątki rozsądnych odpowiedzi, ale ja podejrzewam, że pierwsza wiedziała o tym Leonore.

- Mnie też się tak wydaje - przyznała Melita. Weszli na werandę i dziewczyna wstrzymała oddech.

W salonie ktoś był i dopóki nie znaleźli się w środku, Melita była pewna, że to madame Boisset. Okazało się jednak, iż był to mężczyzna.

Na ich widok wydał cichy okrzyk zdumienia i ruszył do hrabiego z wyciągniętą dłonią.

- Niemożliwe, żeby mój posłaniec odnalazł pana tak szybko, monsieur le comte.

- Doktor Dubocq! - wykrzyknął hrabia. - Czy coś się stało?

- Niestety tak.

Lekarz zerknął na Melitę i dokończył:

- Pardon, monsieur, ale wolałbym porozmawiać z panem na osobności.

- To nie jest konieczne - rzekł hrabia. - Melito, pozwól, że ci przedstawię: doktor Dubocq, przyjaciel rodziny i nasz lekarz od wielu lat. Doktorze, moja żona. Pobraliśmy się wczoraj.

Doktor zdawał się nieco zdziwiony, ale uśmiechnął się ciepło.

- Do usług, madame - zgiął się przed Melitą w staroświeckim ukłonie. - Moje serdeczne gratulacje, monsieur le comte. Proszę przyjąć życzenia wszystkiego co najlepsze!

Hrabia podziękował uprzejmie.

- Przykro mi, że oczekują pana w domu tak niemiłe wieści - mówił lekarz z wahaniem.

- Rose - Marie! - wybuchnęła Melita przerażona.

- Nie, madame la comtesse. Rose - Marie ma się doskonale. Nie chciałem, żeby widziała, jak zabieramy z domu madame Boisset, więc zasugerowałem jej, żeby poszła z pokojówką odwiedzić tego kalekiego chłopca, który tak przemyślnie robi lalki.

- Powiedział pan, że madame Boisset opuściła dom? - zapytał cicho hrabia.

- Właśnie o tym chciałem panu opowiedzieć. Zostałem wezwany wczesnym rankiem. Eugenie zawiadomiła mnie, że madame jest chora.

Melita wstrzymała oddech.

- Wszystko wskazuje na to - ciągnął lekarz - że zażyła, rzecz jasna nieumyślnie, jakąś truciznę, która spowodowała

straszliwe bóle i nudności. To objawy typowe, ale w tym przypadku niestety trucizna zaatakowała również umysł.

Hrabia słuchał w napięciu.

- Pan oczywiście wiedział, monsieur - mówił dalej lekarz - o chorobie, którą obciążona była prawdziwa rodzina madame Boisset?

- O jakiej chorobie? - zapytał hrabia. Lekarz wydawał się zdziwiony.

- Sądziłem, że monsieur Calviare wspomniał panu o tym.

- Nic mi nie powiedział.

Doktor zacisnął usta. Po chwili podjął temat.

- Matka madame Boisset cierpiała na nieuleczalną chorobę umysłową.

- Nic o tym nie wiedziałem! - wykrzyknął hrabia.

- Rodzina wstydziła się jej szaleństwa i usiłowała utrzymać ten fakt w tajemnicy. Ta choroba to przypadłość dziedziczna. Zarówno matka, jak i babka madame Boisset zmarły w zakładzie dla obłąkanych.

- Powinienem zostać o tym poinformowany - powiedział hrabia ochryłym głosem.

- Ponad wszelką wątpliwość ma pan rację - przytaknął doktor. - Jednak kiedy zdarzało mi się w ciągu ostatnich lat badać madame Boisset, zawsze wydawała mi się zrównoważona i zupełnie normalna.

- A dziś rano?

- To zupełnie co innego. Widoczne były nie tylko skutki działania trucizny, która, jak mi powiedziała Eugenie, mogła znajdować się w winie, ale także oznaki zachwiania równowagi umysłu.

Doktor przerwał, a Melita zorientowała się, że coś go wprawia w zakłopotanie. Wreszcie powiedział:

- Uchybiłbym mojej powinności, monsieur, gdybym nie wspomniał, że madame w majakach nieustannie oskarżała siebie o spowodowanie śmierci pańskiej pierwszej żony.

Zapadła cisza. Wreszcie odezwał się hrabia:

- To, co od pana usłyszałem, doktorze, potwierdza pewne fakty, które poznałem w ciągu minionej doby.

Po dłuższej chwili dokończył:

- Mam nadzieję, że nie istnieje żaden powód, by ta informacja musiała zostać podana do publicznej wiadomości?

- Nie, oczywiście, że nie - zgodził się doktor Dubocq. - Zabrałem madame Boisset do szpitala, gdzie zostanie otoczona troskliwą opieką, ale jeśli mam być szczery, z tego co widzę, nie ma nadziei na jej powrót do zdrowia ani nawet na to, że będzie jeszcze długo żyła.

Zamilkł na chwilę.

- Nie jestem specjalistą od chorób umysłu - ciągnął - ale wiem z doświadczenia, że guzy atakujące mózg zazwyczaj rosną bardzo szybko, więc byłbym zdziwiony, gdyby madame Boisset żyła jeszcze dłużej niż miesiąc.

- Jestem panu wdzięczny za szczerość - powiedział hrabia - i za to, że zajął się pan wszystkim. Dzięki panu to nieszczęście nie zaciąży na dalszym życiu mojej córki, ani - mam nadzieję - mojej żony.

Mówiąc to spojrzał na Melitę, a ona zdała sobie sprawę, że nie chciałby w jej obecności omawiać z doktorem szczegółów ostatnich wydarzeń.

Położyła tylko dłoń na jego ramieniu, wyrażając tym gestem całą swoją miłość i zrozumienie. Następnie skłoniła się przed doktorem i opuściła salon.

Wbiegła po schodach na górę, do pokoju lekcyjnego.

Tak jak się spodziewała, zastała tam Eugenie siedzącą przy stole i zajętą szyciem. Na widok Melity Murzynka zerwała się na równe nogi.



- Panienska wrócić!

- Wróciłam razem z monsieur le comte, wzięliśmy ślub, Eugenie!

- Ślub! - Pokojówka wyrzuciła w górę ramiona w geście radości, której nie potrafiła wyrazić słowami. - To dobre wieści, panienko...: to jest madame la comtesse. Bardzo dobre wieści. Teraz pan być szczęśliwy i wszystko być dobrze.

- Tak, Eugenie, wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Melita.

Umilkła na moment.

- Chcę ci podziękować, Eugenie - odezwała się po chwili.  
- Zrozumiałam, że ocaliłaś mi życie.

Murzynka pokiwała głową.

- Wiedziałas - ciągnęła Melita - że madame Boisset otruła matkę Rose - Marie?

Eugenie powtórnie przytaknęła. Melita zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Hrabia i ja naprawdę nie wiemy, jak ci dziękować za twoją miłość do Rose - Marie.

- Ona być moja kochana - odparła Eugenie. - Jeśli ja powiedzieć komuś o pani Cecile, madame odesłać mnie precz. Lepiej ja nie mówić nic i zostać.

- Tak, oczywiście. Dobrze postąpiłaś - przyznała Melita. - Teraz już wszystko się odmieni. Nie będzie awantur i gniewnych słów, których tak się bała Rose - Marie.

- To dobrze, pani, bardzo dobrze.

Melita uśmiechnęła się, słysząc słowo „pani”. Oznaczało, że została prawdziwie zaakceptowana. Należała teraz do tej plantacji razem z hrabią, który był „panem”.

- Teraz pani być madame la comtesse, ja przenieść rzeczy - oznajmiła Eugenie. - Pani mieć ładną nową sukienkę.

- W bryczce jest jeszcze piękna suknia ślubna - napomknęła Melita.

Odruchowo skierowała się do swojej dawnej sypialni.

Pokój wyglądał dokładnie tak jak wtedy, kiedy go opuściła. Poza jednym wyjątkiem - nie było tu lalki przedstawiającej Cecile.

Melita popatrzyła na stół, na którym ją zostawiła.

A może jej się to śniło? Może to było tylko przywidzenie? Miała ochotę zapytać Eugenie, co się stało z lalką, ale czuła, że lepiej do tego nie wracać. Niech przeszłość odejdzie w przeszłość. Tylko przyszłość była teraz ważna.

Podeszła do okna. Spojrzała na plantację i lazururowe morskie fale w oddali.

To z tego okna usłyszała bicie w bębny, które wzywało ją do dżungli.

Nie miała jednak czasu na wspomnienia. Usłyszała wołanie Rose - Marie biegnącej po schodach:

- Mademoiselle! Mademoiselle! Wróciłaś! Dziecko wbiegło do pokoju i rzuciło się Melicie na szyję.

- Wróciłaś! Jak ja za tobą tęskniłam! Tatusz też jest w domu, tak się cieszę! Tak bardzo się cieszę!

- Ja też się cieszę, że wróciłam, kochanie - wyznała Melita.

Przyklękła na podłodze przed Rose - Marie i zaczęła łagodnie:

- Chciałabym ci coś powiedzieć.

- A ja wiem co - przerwała jej Rose - Marie. - Leonore mi powiedziała. Ty wyszłaś za męża za tatusia i teraz jesteś moją mamą!

- Tak, to prawda... - Melita lękała się, czy dziewczynka nie będzie się czuła dotknięta, że usiłuje zająć miejsce jej matki.

Dziecko ponownie oplótło jej szyję ramionkami.

- Teraz mam tatusia i mamusię - powiedziała Rose - Marie - tak jak inne dzieci, a ty już nigdy mnie nie opuścisz, prawda?

- Nigdy - obiecała Melita. - Czasem twój tatuś i ja będziemy wyjeżdżać we dwoje, ale zawsze wrócimy do domu.

Rose - Marie przytuliła się do niej impulsywnie. Melita poczuła łzy pod powiekami, więc powiedziała szybko:

- Myślę, że bryczka stoi już przy frontowych drzwiach. Jeśli tam pobiegiesz, to pewnie znajdziesz pod siedzeniem ogromny pakunek przeznaczony specjalnie dla ciebie.

Rose - Marie krzyknęła z zachwytu i popędziła na dół.

Melita zdjęła czepeczek, przygładziła włosy. Wstydziła się wejść tam, gdzie Eugenie już przenosiła jej rzeczy. Nigdy nie widziała sypialni hrabiego, ale wiedziała, że stanowi ona część domu, którą Eugenie i inne pokojówki nazywały apartamentami pana. Wiedziała, że są to dwie sypialnie oraz bawialnia o oknach wychodzących na ogrody i sady, gdzie hrabia po raz pierwszy ją pocałował.

Melita nie potrafiła znieść myśli o tym, co się stało z madame Boisset, jej umysł trwożliwie uciekał przed rozpamiętywaniem budzących grozę uczynków tej szalonej kobiety. Jednocześnie czuła niewymowną ulgę, że nie będzie już wzajemnych oskarżeń, jakich się obawiała po powrocie do Vesonne - des - Arbres. Hrabia nie musiał udowadniać, że testament, do którego podpisania madame Boisset zmusiła Cecile, nie jest ważny, ani oskarżać jej przed sądem o spowodowanie śmierci swojej pierwszej żony.

Melita czuła, że słoneczne promienie z bezchmurnego nieba rozproszyły wszystkie cienie w jej życiu.

Nic dziwnego, że niewolnicy wiwatowali, szczęśliwi i uradowani. Monsieur le comte odzyskał władzę nad majątkiem, znowu, jak przedtem, był ich panem.

Melita wolno ruszyła ku schodom. Nie zamierzała iść do salonu, gdzie jak sądziła, hrabia mógł jeszcze rozmawiać z doktorem, lecz do mniejszego pokoju tuż obok, a stamtąd na werandę, poszukać Rose - Marie.

Drzwi do salonu były otwarte na oścież. Doktor widocznie już wyszedł. Melita zobaczyła Rose - Marie i hrabiego, jak wyjmują z pudła ogromną lalkę z zamykanymi oczami, kupioną w Saint - Pierre.

- Tatusiu! Jaka ona jest śliczna! - wykrzyknęła Rose - Marie. - Najpiękniejsza na świecie! Ale te od Philippe'a też kocham, chociaż nie mogę się nimi długo bawić.

- Zdaje się, że Philippe zrobił ci nową zabawkę dziś rano, prawda? - spytała Melita wchodząc do salonu.

Zobaczyła, jak oczy hrabiego rozbłysły na jej widok, i czekając na odpowiedź dziewczynki, uśmiechnęła się do niego.

- Tak - odparła Rose - Marie. - Philippe powiedział, że to będzie niespodzianka dla mnie i dla ciebie. Chcesz ją zobaczyć?

- Tak, kochanie.

- Jak wróciłam do domu, zostawiłam ją na werandzie - wyjaśniła Rose - Marie. - Bałam się, że mogę ją upuścić, jak będę biegła po schodach.

Dziewczynka wyszła z salonu, a hrabia wyciągnął ramiona do Melity.

Podeszła do niego, mając poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie zaznała nigdy przedtem. Była bezpieczna jak żaglowiec, który wpływa na spokojne wody przystani i nie grozi mu już żaden sztorm.

Hrabia przytulił ją do siebie, jakby rozumiał, co czuje.

Rose - Marie wróciła z nową lalką.

- Spójrz, tatusiu! - wykrzyknęła. - Philippe zrobił dla mnie pannę młodą!

Dłoń Melity znieruchomiła w palcach hrabiego. Żadne z nich nie powiedziało nic przy Rose - Marie, a potem w ciągu dnia mieli tak wiele zajęć, że dopiero wieczorem, po kolacji, mogli spokojnie porozmawiać we dwoje.

Wówczas monsieur le comte poprowadził Melitę po trawniku, a ona domyśliła się, że wiedzie ją pod pomme d'amour, gdzie po raz pierwszy wyznał jej miłość.

Miała na sobie białą suknię ślubną, a w świetle księżyca płynącego po niebie wyglądała jak delikatny kwiat muskany wonnym powietrzem tropikalnej nocy.

Bez słowa poszli w dół zbocza po miękkiej trawie, aż dotarli do drzewa, gdzie hrabia spotkał Melitę zapatrzoną w kwiecie.

- Tak wiele się zdarzyło od czasu, gdy byliśmy tutaj - odezwała się Melita po raz pierwszy, od kiedy opuścili dom.

- Moje sny się sprawdziły - powiedział hrabia. - Jesteś moją żoną, Vesonne - des - Arbres znów należy do mnie i otaczają nas, kochanie, szczęśliwi ludzie.

- Ja także mam takie uczucie. - Melita spojrzała na męża.

Hrabia pomyślał, że w blasku księżyca oczy Melity błyszczą jak gwiazdy.

- Jestem taka szczęśliwa, że boję się mówić o tym, co się wydarzyło - powiedziała Melita - a jednak wciąż wiele pytań wymaga odpowiedzi. To wszystko jest dziwne i tajemnicze, dla wielu zdarzeń trudno znaleźć wytłumaczenie.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał hrabia. - Jesteśmy razem. Jesteś moja i kocham cię bardziej, niż to można wyrazić!

- To cudowne - westchnęła - to wspaniałe, a jednak... chyba... chyba trochę się boję.

I znów hrabia wiedział od razu, o czym Melita myśli.

- Obawiasz się voodoo? Nie myśl o tym, najdroższa. Jeśli jest tak, jak wierzą Murzyni, i wyznawcy voodoo potrafią

przywołać duchy umarłych, jest to niebezpieczne tylko dla ludzi, którzy zasługują na karę.

Melita słuchała uważnie.

- Dobry człowiek obudzi dobre moce, a zły człowiek złe. Zatem voodoo nigdy nie zagrozi tobie, najdroższa, bo jesteś na wskroś dobra i nie ma w twoich myślach ani w twojej duszy najmniejszej odrobiny zła.

- Ale to... to jednak czary... magia - szepnęła Melita.

Hrabia roześmiał się cicho i uniósł jej twarz ku swojej.

- Jedyna magia, której możemy ulec - powiedział - to magia miłości. Magia, którą mnie obdarzyłaś i przez którą jestem z tobą związany czarem, jaki na mnie rzuciłaś, czarem, który uczynił mnie twoim niewolnikiem po wsze czasy.

Melita chciała mu odpowiedzieć, ale wargi hrabiego odnalazły jej usta i nie mogła myśleć już o niczym innym poza cudownym drzeniem, które jak ogień ogarniało jej ciało pod jego pocałunkami.

Wiedziała, że wzbudza w nim pożądanie i to samo pragnienie także w niej narastało.

Przytulił ją mocniej i Melicie zdało się, że cały świat przestał istnieć.

Nie było już sadu, gwiazd ani księżycy. Była tylko dzika, ekstatyczna namiętność warg Etienne'a, wspólny rytm dwojga serc i wzajemne pragnienie dwóch ciał i dusz.

To była magia silniejsza od czarnej i białej magii - to była magia miłości, która przewycięża zło.